

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ

# ŚMIERĆ W RZECE KURA

I INNE ZAGADKI KRYMINALNE



DWUDZIESTEGO DRUGIEGO LIPCA 1876 ROKU  
MIĘDZY DZIEWIĄTĄ A DZIESIĄTĄ WIECZOREM  
NINA ANDRIEJEWSKA ZNIKŁA Z DOMU W TYFLISIE,  
W KTÓRYM WRAZ Z MATKĄ ZATRZYMAŁA SIĘ NA  
KILKA DNI. NASTĘPNEGO DNIA RANO ZWŁOKI NINY  
ZNALEŻLI RYBACY W RZECE KURA AŻ CZTERDZIEŚCI  
WIORST OD MIASTA. NATYCHMIAST WSZCZĘTO  
DOCHODZENIE WSTĘPNE.

P  
I  
W

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ

---

# ŚMIERĆ W RZECIE KURA

I INNE ZAGADKI KRYMINALNE

MOWY OBROŃCZE Z LAT 1869–1878

PRZEŁOŻYŁY  
MAŁGORZATA MIGDALSKA  
JOLANTA SKRUNDA

---

 1946–2016  
70 lat PIW

# Spis treści

1

**Sprawa Dawida i Nikołaja Czchotua oraz innych**  
**(Sprawa tyfliska)**  
**(1878)**

przełożyła Małgorzata Migdalska

2

**Sprawa o przestępstwo przeciwko państwu**  
**(tak zwana sprawa nieczajewowska)**  
**(1871)**

przełożyła Jolanta Skrunda

3

**Sprawa o zabójstwo [Nikołaja] von Zona**  
**(1870)**

przełożyła Jolanta Skrunda

4

**Sprawa Diemientjewa**  
**(1873?)**

przełożyła Jolanta Skrunda

5

**Sprawa Mieczysława Strawinskiego i redaktora dziennika „Sankt-  
Pietierburgskije wiadomości” A[ndrieja] Somowa oskarżonych  
o opublikowanie w „Sankt-Pietierburgskich wiadomościach” artykułu,  
w którym Strawinski znieważył lokalne władze guberni estlandzkiej**  
**(1869)**

przełożyła Jolanta Skrunda

**Nota bibliograficzna**

**Spis ilustracji**

# 1

## **Sprawa Dawida i Nikołaja Czchotua oraz innych (Sprawa tyfliska)**

Dwudziestego drugiego lipca [trzeciego sierpnia]<sup>1</sup> 1876 roku między dziewiątą a dziesiątą wieczorem Nina Andriejewska zniknęła z domu w Tyflisie [Tbilisi], w którym wraz z matką zatrzymała się na kilka dni. Następnego dnia rano zwłoki Niny znaleźli rybacy w rzece Kura aż czterdzieści wiorst<sup>2</sup> [prawie czterdzieści trzy kilometry] od miasta. Natychmiast wszczęto dochodzenie wstępne.

Erast Andriejewski zapisał w testamencie córkom, Ninie i Jelenie, włości położone w różnych częściach powiatu tyfliskiego. Pod koniec 1875 roku mąż Jeleny, Gieorgij Szarwaszidze<sup>3</sup>, powierzył zarządzanie włościami Dawidowi Czchotui, który w związku z tym wkrótce przeniósł się do Tyflisu i zamieszkał w domu Gieorgija Szarwaszidzego. W czerwcu 1876 roku do Dawida Czchotuy przyjechał młodszy brat Nikołaj i przed rozpoczęciem służby wojskowej zamieszkał z nim. Wiosną 1876 roku Nina i Jelena postanowiły dokonać podziału zapisanych przez ojca włości. W tym celu Nina wraz z matką przyjechała do Tyflisu. Siostry bez problemu podzieliły włości. Po podziale mąż Jeleny wyjechał w interesach do guberni kutaiskiej, a Nina z matką zatrzymały się w jego domu. Była to jednopiętrowa kamienica frontem zwrócona w stronę dziedzińca i otoczona z trzech stron gęstym ogrodem. Ogród przylegał do pomieszczenia przeznaczonego na letnie rozrywki, znanego jako Kółeczko. Tylna fasada domu wychodziła na niewielki plac, za którym zaczynało się strome urwisko brzegu Kury. W domu oprócz gospodarzy mieszkali bracia Czchotua, kucharz Piotr Gabisonia, stróż Zurab Koridze i ogrodnik Iwan Mgeladze.

W czasie pobytu u Szarwaszidzego Nina i Warwara Andriejewskie wychodziły zazwyczaj z domu rano i wracały z miasta około siódmej, ósmej wieczorem. W dzień zniknięcia Niny obie panie wróciły również około ósmej wieczorem. Natknęły się na Dawida Czchotę, który po

dwudziestominutowej rozmowie z Niną wyszedł do miasta. Krótko po nim wyszedł także Nikołaj. Wrócił późno.

Nina Andriejewska przebrała się w domową suknię, włożyła znoszone trzewiki i wytrzepała na tarasie suknię, w której chodziła w ciągu dnia. Potem zajęła się pisaniem listu do szwagra, Georgija Szarwaszidzego. List chciała przekazać przez Dawida Czchotę wybierającego się do Szarwaszidzego, by odwieźć mu pozostawioną w domu szablę. O dziesiątej wieczorem Nina skończyła pisać list, wzięła świecę i wyszła z pokoju. Matce powiedziała, że idzie do Gabisonii po trzewiki, które miał oczyścić. Po dwudziestu minutach Warwara Andriejewska wyszła na korytarz i zobaczyła, że świeca wzięta przez córkę pali się na korytarzu przy drzwiach prowadzących na taras. Niny w korytarzu nie było, ale pojawił się Koridze. Na pytanie Warwary Andriejewskiej, gdzie jest Nina, odpowiedział, że zapewne poszła się przespacerować. Także w ogrodzie Niny nie było. Na prośbę Warwary Andriejewskiej Koridze obudził Nikołaja Czchotę, który razem z Andriejowską zaczął szukać Niny. Na krzyki zdenerwowanej Andriejewskiej odezwał się z piętra Dawid Czchotua i kiedy się dowiedział, o co chodzi, szybko zbiegł na dół. Poszukiwania Niny w ogrodzie nie dały rezultatu. Wówczas Dawid Czchotua zszedł na brzeg Kury, gdzie znalazł ubranie i bieliznę Niny leżące na kamiennym placu. Następnego dnia, 23 lipca [4 sierpnia], rybacy Menabdi-Szwili i Cziaberow odnaleźli martwą dziewczynę w nurcie Kury. Znajomi i rodzina rozpoznali zwłoki Niny Andriejewskiej. Pierwotna wersja śmierci Niny przyjęta przez śledczych i uznająca, że Andriejewska utonęła, kąpiąc się w Kurze, została odrzucona, gdyż świadczyły przeciwko niej następujące dane.

1. Nina Andriejewska raczej nie zdołałaby bez pomocy postronnych zejść nocą po stromej ścieżce nad brzeg rzeki.

2. Gdyby nawet zdołała zejść nad brzeg rzeki, to ponieważ ścieżkę pokrywało błoto, ubranie i trzewiki musiałyby być zabłocone. Tymczasem były czyste i suche.

3. Decydując się na kąpiel, nie weszłaby do wody w koszulce i w pończochach, ale jej zwłoki były w koszulce i w pończochach.

4. Nina była wstydliva i nieśmiała, zapewne więc nie próbowałaby wejść do wody, gdy – według zeznań świadków – na przeciwległym brzegu rzeki kąpała się grupa mężczyzn.



5. Wielokrotnie widziała kąpiących się w Kurze i zawsze się dziwiła, że można się kąpać w tak mętnej, błotnistej wodzie.

6. Nawet gdyby Andriejewska utonęła przez przypadek, to jej zwłoki w ciągu sześciu, ośmiu godzin nie mogłyby przepłynąć czterdziestu wiorst [prawie czterdziestu trzech kilometrów].

7. Na szesnastej wiorście [siedemnastym kilometrze] od Tyflisu rzeka z powodu niskiego stanu wody tworzy trzy wyspy i rozdziela się na trzy odnogi o głębokości od dwóch do czterech werszków<sup>4</sup> [od dziewięciu do osiemnastu centymetrów], więc zwłoki chyba nie mogłyby dalej odpłynąć. Gdyby nawet przepłynęły tę część rzeki, musiałyby nosić wyraźne ślady przesuwania się po kamienistym i nierównym dnie rzeki, ale zadrapań czy skaleczeń nie było.

Sądowo-lekarska sekcja zwłok wykonana na żądanie sądu 25 lipca [6 sierpnia] wykazała, że Nina nie mogła utonąć.

Śledczy zaczęli podejrzewać o zabójstwo Dawida i Nikołaja Czchotua. Obydwaj dobrze znali Ninę, świetnie orientowali się w terenie i mieli dość czasu na ukrycie śladów przestępstwa. Prowadzący śledztwo uważali, że Ninę Andriejewską zabili blisko związani z nią ludzie, ponieważ na dziedzińcu zawsze były groźne psy, które nikogo obcego blisko domu nie dopuszczały. Brak wyraźnych motywów przestępstwa (kradzież, gwałt) także wskazywał na to, że mogły się go dopuścić osoby pozostające w bliskich stosunkach z Niną Andriejewską. Ponieważ trudno było przypuszczać, że przestępstwa dokonano w domu, do odpowiedzialności pociągnięto nie tylko Dawida i Nikołaja Czchotua, ale także Koridzego, Gabisonię i Mgeladzego.

Wszyscy oskarżeni początkowo zaprzeczali, by doszło do przestępstwa i by brali w nim udział. Jednak później Zurab Koridze i Iwan Mgeladze, odrzucając oskarżenie o udział w zabójstwie Niny Andriejewskiej, złożyli następujące wyjaśnienia.

Dwudziestego drugiego lipca [trzeciego sierpnia] po powrocie pań Andriejewskich z miasta Dawid Czchotua polecił Zurabowi Koridzemu i Iwanowi Mgeladzemu, by osiodłać konia dla wybierającego się na przejażdżkę Nikołaja. Po powrocie Nikołaja Dawid nakazał Koridzemu dobrze oporządzić konia, który był bardzo zmęczony i spieniony. W tym samym czasie Dawid wezwał Iwana Mgeladzego i kazał mu zabić największego i najgroźniejszego psa, a pozostałe zamknąć w szopie. Na pytanie Iwana, po co zamykać psy w szopie, odpowiedział: „To nie twoja

sprawa”. Następnie Dawid nakazał Iwanowi położyć się spać, sam zaś poszedł do miasta, by się spotkać z jakimiś ludźmi. Niedługo potem pojawił się w ich towarzystwie na dziedzińcu. Iwan jeszcze nie spał i z ciekawości poszedł za nimi. Mimo że Dawid, który go zauważył, polecił mu, by wrócił do domu, nadal ich śledził. Mgeladze oświadczył, że przebywający w ogrodzie ludzie zaczęli się szybko poruszać i że w tym czasie usłyszał lekkie charczenie. Obserwując nadal, co się dzieje w ogrodzie, zobaczył, że Dawid i towarzyszący mu ludzie niosą do rzeki zwłoki kobiety. Nie wie, czy rzucili ciało do Kury, bo tak mocno się przeraził, że chciał uciec. Jednak Dawid nie pozwolił mu się ukryć. Schwycił Mgeladzego za włosy i nakazał, aby o tym, co widział, nikomu nie mówił.

Podobnie przedstawił przebieg wydarzeń Zurab Koridze, obserwujący je z placyku przed domem. Zobaczyli go Nikołaj i Dawid Czchotua. Dawid powiedział bratu, by zabił Koridzego. Nikołaj jednak się nie zgodził, puścili więc Koridzego dopiero wówczas, gdy pod przysięgą obiecał, że ich nie wyda.

Mimo tych zeznań wszyscy podejrzani o udział w przestępstwie byli pociągnięci do odpowiedzialności karnej za dokonanie zabójstwa Niny Andriejewskiej z premedytacją, wspólnie i w porozumieniu. Za inicjatorów zabójstwa uznano Dawida i Nikołaja Czchotua. Motywy zabójstwa w akcie oskarżenia scharakteryzowano następująco. Dawid Czchotua żywił skrywaną urazę do Niny Andriejewskiej. Andriejewska nie ufała Czchotui, pozbawiła go pełnomocnictwa uprawniającego do udziału zamiast niej w podziale włości i odsunęła od zarządzania przypadającą jej częścią. Dochodziło między nimi do zatargów. Powodem były rzeczy Niny znajdujące się w nadzorowanym przez Dawida domu Szarwaszidzego.

Sąd przysięgłych rozpatrujący tę sprawę uznał za winnych zabójstwa Niny Andriejewskiej Dawida Czchotę i Piotra Gabisonię. Pierwszego skazał na dwadzieścia lat, a drugiego na dziesięć lat ciężkich robót (katorgę). Nikołaja Czchotę uniewinniono. Po wniesieniu skargi apelacyjnej i proteście wiceprokuratora sprawę zabójstwa Niny Andriejewskiej od 25 do 30 listopada [od 7 do 12 grudnia] 1878 roku rozpatrywała Tyfliska Izba Sądowa. Na wniosek obrony została przeprowadzona ekspertyza sądowo-lekarska, która nie stwierdziła, by na ciele zamordowanej znajdowały się oznaki gwałtownej śmierci świadczące



o zastosowaniu przemocy. Jednym z obrońców w instancji apelacyjnej był Włodzimierz Spasowicz.

---

**P**anowie sędziowie koronni z Tyfliskiej Izby Sądowej, panowie juryści! Wszyscy panowie poświęcają się służeniu prawu, wykonywaniu go sumiennie i rozumnej jego interpretacji. Proszę więc pozwolić, że mowę obrończą rozpocznę właśnie słowami tegoż prawa.

Artykuł 890 *Ustawy postępowania sądowego karnego* głosi, że w razie rewizji wyroku na podstawie odwołania złożonego przez podsądnego zasądzona mu kara może być nie tylko zmniejszona, ale i zupełnie uchylona. Słowa te mają głębokie znaczenie, stanowią kotwicę ocalenia dla tych nieszczęśników, którzy skazani w pierwszej instancji, powierzyli mi swój los. Jeżeli apelacja nie jest martwym rytuałem, a postępowanie apelacyjne nie jest stratą czasu, nie do zniesienia jak wszystko, co nieużyteczne, i jeśli przytoczone przed chwilą słowa prawa są rzetelną, żywą prawdą, to znaczy, że ci wszyscy aresztanci nie są jeszcze skazańcami. Nie udowodniono im winy i mogą jeszcze wrócić do społeczeństwa, by ściany więzienia na długi czas nie oddzielały ich od niego. Także do ich wyroku skazującego powinni się panowie odnieść krytycznie, zbadać go i poddać kontroli, prześledzić go i upewnić się, że jest sprawiedliwy. Założyć, że ludzie ci są być może niewinni i odtworzyć w pamięci wszystkie ogniwa składające się na ten wyrok, który ich skuł jakby łańcuchami – i zrobić to po to, żeby się dowiedzieć, czy niektóre ogniwa tego łańcucha nie pękną jak nici i nie spadną wskutek tego z podsądnych okowy wyroku. Ten prawem nałożony na sędziów wyższej instancji – mających duże doświadczenie i większą wiedzę – obowiązek znaczy, że mają oni możliwości, aby systematycznie rozpatrzeć wszelkie wątpliwości podsądnych na nowo i zgodnie ze swoim sumieniem niezależnie orzec o ich winie. Prawo to stanowi jedną z prerogatyw sądu apelacyjnego, przed którym mam zaszczyt przemawiać, i to także odróżnia go od sądu przysięgłych. Sąd przysięgłych kieruje się bardziej wrażeniami niż logicznym wnioskowaniem. Sądzi człowieka tylko oskarżonego, a nie człowieka z głośnym wyrokiem. W sądzie przysięgłych nie ma ustanowionych prawem metod kontroli oskarżenia, nie ma zapisanych

prawideł prowadzenia śledztwa. A kiedy rozpatruje głośną sprawę, wzbudzającą silne emocje, w celu uniknięcia błędów, zawsze przecież możliwych, stosuje dwa środki. Pierwszym jest przysięga: dam głos zgodnie z tym, co zobaczę i usłyszę w sądzie (artykuł 666 *Ustawy postępowania sądowego karnego*), drugim jest niemal niezmiennie następujące po tym ostrzeżenie ze strony przewodniczącego sądu, żeby zapomnieć wszystko, co mogło dojść do przysięgłych w formie zasłyszanej wiadomości, plotki czy pogłoski lub informacji prasowej. Sędziowie koronni takimi przysięgami i ostrzeżeniami nie są skrupowani. Według prawa, a dokładnie według artykułu 797 punkt 2 i artykułu 892 *Ustawy postępowania sądowego karnego*, sąd powinien umotywować postanowienie, objaśnić je i porównać nie z jakimiś innymi danymi, lecz tylko z przedstawionymi w sprawie dowodami rzeczowymi i dowodami winy. Według artykułu 737 *Ustawy postępowania sądowego karnego* prokurator potwierdza oskarżenie w takiej postaci, w jakiej zostało przedstawione w śledztwie sądowym, dokładnie tak samo (na podstawie artykułu 744 *Ustawy postępowania sądowego karnego*) przedstawia swoje wyjaśnienia obrona: strony nie mogą się wtrącać i odwoływać do okoliczności nie stanowiących przedmiotu śledztwa lub na nie powoływać. Jeżeli stronom zabrania się powoływania na dane nie dotyczące sprawy, jeżeli sądowi wolno motywować swoje decyzje tylko oczywistymi dowodami winy, to wynika z tego jasno i bezspornie, że i współzawodniczenie, i podejmowanie decyzji odbywa się w ściśle określonym, ograniczonym kręgu, na podstawie faktów w granicach źródeł – a źródłami mogą być tylko cztery tomy ustaleń śledztwa wstępnego i dwa tomy ustaleń danego sądu okręgowego oraz izby sądowej – dopełniających śledztwo sądowe. Ustanowiona prawem konieczność ignorowania wszystkiego, co nie dotyczy bezpośrednio sprawy, ma ogromne znaczenie w obecnym procesie, ponieważ na kanwie działań śledczych wyrosły jak chwasty opowieści, legendy i mity, które będziemy musieli wykarczować i wyrwać, by dojść do prawdy. Zgodnie z prawem śledztwo sądowe odwołujące się do źródeł powinno polegać na dochodzeniu do prawdy w taki sam sposób jak wszelkie dociekanie prawdy, na przykład badanie historyczne, i odżegnywać się od elementów nie opartych na faktach. Wokół wydarzenia historycznego powstaje opowieść, podanie, legenda. To popularne, chociaż opaczne jego przedstawienie. Zmyślenie miesza się z prawdą. Jak postępuje historyk? Odrzuca wszystkie legendy, skrupulatnie

rekonstruuje na podstawie źródeł prawdę i przedstawia zdarzenie w nowej postaci. Być może nowy, ukazany takim sposobem obraz wydarzenia nie odpowiada w pełni rzeczywistości i nie w pełni ją odtwarza, niemniej jednak będzie nieporównywalnie bliższy prawdy niż wszystkie legendy.

Po wykazaniu, że dochodzenie powinno być oparte tylko na źródłach, gdyż inne postępowanie, nie oparte na źródłach, byłoby bezprawne, pozwolę jeszcze sobie przedstawić, w jaki sposób należy się posługiwać tymi przytoczonymi przeze mnie źródłami. Sposoby i przykłady wykorzystywania źródeł pozostają w ścisłym związku ze strukturą sądu. Każdy na swój sposób zorganizowany sąd inaczej funkcjonuje i istnieje zasadnicza różnica między sądami przysięgłych definitywnie rozstrzygającymi sprawę w pierwszej instancji a Tyfliską Izbą Sądową, rozstrzygającą sprawę apelacyjną. Zasadniczym typem sądu prowadzącego procesy sądowe jest sąd przysięgłych. Do jego kompetencji należą prawie wszystkie decyzje kasacyjne, także takie, które mają wyraźnie charakter powszechny. W sądzie przysięgłych nie wykorzystuje się wszystkich źródeł, raczej starannie odcina się, że tak powiem, wszystkie dzikie odrosty. Zabrania się też czytać przyznania się do winy, oświadczenia ze śledztwa, niektóre dokumenty, nie mogą być też wprowadzone do śledztwa sądowego dowody rzeczowe. Panowie sędziowie są dużo swobodniejsi w tej kwestii, rozpatrują panowie całą sprawę od pierwszej do ostatniej strony, znają ją lepiej niż przysięgli i wiedzą od nich więcej. Od dawna przywykli panowie do krytycznego odnoszenia się do źródeł, nie istnieją dla panów powody zmuszające prawodawcę do usuwania w nienaturalny sposób źródeł, którym on w pełni nie dowierza. Tak jak historyk korzysta z nich wszystkich w pełni, tak panowie korzystają ze wszystkich źródeł, więc proszę pozwolić mi odwoływać się do każdego źródła, które występowałyby w sprawie. Jednak dlatego, że rozpatrują panowie sprawę w drugiej instancji i nie powtarzają całego śledztwa sądowego, wiedza panów jest mniej bezpośrednia, poznawanie mniej namacalne, doświadczenie panów ma bardziej książkowy, papierowy charakter. Każda litera w protokole ma swoją wagę i nie będą panowie mnie wstrzymywać, kiedy będę rozważać słowa, litery, a nawet przecinki, niwecząc przeinaczenia, zniekształcenia i upiększanie prawdy w samym jej załączku.

Oprócz tych dwóch istotnych różnic jest jeszcze jedna, trzecia, której przypisuje się wielkie znaczenie, ale na nią proszę nie zwracać uwagi. Polega ona na tym, że w przeciwieństwie do przysięgłych muszą panowie

swoje decyzje umotywować, lecz sąd przysięgłych feruje wyroki nieporównywalnie bardziej stanowczo i śmiało, i to sąd przysięgłych może i powinien brać więcej na swoje sumienie. Sprawiedliwość przysięgłych może się mylić i kierować się emocją, ale mniej się dyskredytuje. Kiedy fakt przestępstwa jest oczywisty, a motywy skłaniające do dokonania przestępstwa występują wyraźnie u oskarżonego, widoczny jest jego pęd i dążenie, by zakosztować rozkoszy życia lub przynajmniej czekać w napięciu na rezultaty. Widziałem to i doświadczałem tego setki razy – dla sumienia przysięgłych to wystarczy. Śmiało rzucają most powietrzny, łącząc zgrabnym łukiem przestępstwo z motywami, nawet gdyby w sprawie nie było najmniejszego śladu ręki oskarżonego. Od was, panowie sędziowie, którzy nie ulegają namiętnościom i sympatiom i obowiązani są odpowiadać za każdy wniosek, zazwyczaj wymaga się, by nawet gdy istnieje fakt przestępstwa i istnieją motywy, uznawać winę oskarżonego tylko wówczas, gdy są jakiekolwiek, choćby najmniejsze, ale potwierdzone widoczne działania oskarżanego o przestępstwo, gdy jest wyraźne, uzewnętrznione dążenie do przestępstwa. Przypuśćmy, że Nina Andriejewska została uduszona, a potem wrzucona do wody, przypuśćmy, że przedstawiono prawdopodobne motywy, którymi kierowali się podsądni Czchotua i Gabisonia, życząc sobie jej śmierci. Proszę jednak udowodnić, że na jej szyi i piersi zacisnęła się właśnie ich ręka, proszę to udowodnić w stosunku do każdego z nich, a jeśli nie mogą panowie tego uczynić, to proszę udowodnić przynajmniej, że porozumieli się, aby zabić Andriejewską. To wymóg, który prawie zawsze i nie bez racji stawia się sądom zawodowych prawników. Od nich oczekuje się też zawsze mniej powierzchownie wydanych wyroków, a ponieważ są biegłymi sędziami, mniej żałosnych pomyłek sądowych, co ma ogromne znaczenie dla podsądnych osądzanych pospiesznie według ogólnej zasady: a kto tam będzie dociekał. Tak potraktowano Piotra Gabisonię i Nikołaja Czchotę, tak też byłoby z Melitonem Kipianim, gdyby prokurator nie złożył wniosku o zaprzestanie przeciwko niemu śledztwa. Byli na miejscu przestępstwa w chwili popełnienia go, dlatego więc nic o nim nie wiedzą. Znaczący – są winni.

Złożyłem oświadczenie, że uwzględniłem strukturę i pracę sądu. Mógłbym z pełnym przekonaniem stać na tym gruncie i zakładając, że mogło dojść do uduszenia, twierdzić, iż nie udowodniono winy podsądnych, nie udowodniono ich udziału, że Nina Andriejewska być może

została zabita, ale nie oni są zabójcami, że nieznani ludzie mogli się dostać do ogrodu, zejść z góry i zrzucić z urwiska swoją ofiarę do wody, że mogli ją śledzić, gdy weszła do wody i zaczęła się kąpać, i wówczas ją udusili. Mało to można przyjąć podobnych założeń nie całkiem prawdopodobnych, ale fizycznie nie niemożliwych. Jednak, panowie sędziowie, ja z takich środków rezygnuję, odrzucam je jako zbędne i na oczach panów palę za sobą mosty. Prosto i bez wahania przyjmuję punkt widzenia sądu i przyjmuję następujące założenie: 1) albo Nina Andriejewska utonęła przypadkowo i wówczas sąd karny nie powinien nic robić, 2) albo została zabita i potem wrzucona do wody, ale zabita przez domowników i wówczas wśród nich byli albo inspiratorzy, albo faktyczni wykonawcy, albo, w skrajnym wypadku, pomocnicy i ukrywający zbrodnię świadkowie, Dawid Czchotua i Gabisonia, ale nie Nikołaj Czchotua, który mógł zdaniem sądu niczego nie wiedzieć o przestępstwie i o którym będę mówił osobno z powodu protestu wniesionego przez wiceprokuratora.

Po przyjęciu takiego założenia rozstrzygnę je i postawię jako tezę. Tezę będę musiał udowodnić i mam nadzieję, że udowodnię. O prawdziwości tej tezy jestem głęboko przekonany. Jest jasna jak słońce – Nina Andriejewska utonęła, kąpiąc się, i w konsekwencji za jej śmierć nikt nie odpowiada.

By dowieść tezy, podążymy za zwłokami Niny Andriejewskiej od momentu, w którym zostały odnalezione w miasteczku Karajaz, i prześledzimy drogę zwłok w odwrotnym kierunku, dotrzemy do miejsca na placyku, gdzie znaleziono ubranie, i do momentu rozstania z matką, i do poprzedzających zniknięcie Niny okoliczności. Podczas tego przeglądu faktów będziemy przebierać jak paciorki różańca te z nich, które nanizano jeden za drugim jako obwiniające podsądnych poszlaki. Mam nadzieję, że wykażę panom, że ani jedna poszlaka nie ocaleje, że wszystkie rozsypią się jak miazgi piasek. Jedne z tych faktów obrócą się w coś przeciwnego, w zmyślenie, łgarstwo, drugie okażą się obojętne, trzecie wątpliwe i cały sztucznie zbudowany gmach oskarżeń rozplynie się jak mgła, miraż.

Kończę wstępne wyjaśnienia. Przepraszam, że były długie, ale mam takie przyzwyczajenie, że zwracam przede wszystkim uwagę na sposób i metody śledztwa. W każdym śledztwie te sprawy są najważniejsze, prawie wszystkie, wszelkie uchybienia są zakorzenione w błędnej procedurze, w fałszywej metodzie.

Proszę zatem o przeniesienie się myślami do Karajazu i udział w znalezieniu oraz obdukcji zwłok.

Dwudziestego drugiego lipca [trzeciego sierpnia] 1876 roku, w sobotę [czwartek], w sam dzień zagadkowego zniknięcia Niny Andriejewskiej dwaj rybacy popłynęli rano tratwą z bukłaków w stronę tyfliskiego przedmieścia Ortaczali. Po godzinie, w południe zatrzymali się w miejscowości Nawtlugha, a o zmierzchu przybili do wsi Takla. Jeden rybak nazywał się Pidua Menabdi-Szwili, a drugi Estate Cziaberow, przezwisko Nataszka. Są dwie wsie o nazwie Takla, po lewej stronie Kury jest Karatakla, po drugiej – Aghtakla. Przyjmijmy założenie najbardziej niekorzystne dla podsądnych i uznajmy, że nocowali w Aghtakli. Jak wynika z protokołu śledztwa sądowego, Cziaberow powiedział, że nocowali nie w Aghtakli, lecz w pobliżu Aghtakli, we wsi zwanej Kenczikara. O wschodzie słońca (w zaokrągleniu o piątej rano) obydwaj rybacy umyli się i zeszli na dół, do prawego rozwidlenia Kury, do miejsca, gdzie wcześniej rozstawili sieci i gdzie trzeba było sprawdzić zawieszenie haczyków. Miejsce, w którym znajdowały się sieci i haczyki, było oddalone o trochę więcej niż wiorstę [nieco ponad kilometr] od miejsca noclegu, czyli tyle, ile wynosi odległość od sądu do placu Majdan Tatarski. Uważam, że droga zajęła im pół godziny. Tak więc o wpół do szóstej rano rybacy przejrzeni sieci i się rozeszli. Pidua poszedł w górę, a Estate Cziaberow w dół. Ale i tak jeden od drugiego znajdował się w odległości krzyku. Cziaberow zeznał, że po około półtorej godziny czy po dwóch godzinach usłyszał krzyk Piduy. Słońce było już dość wysoko. Pidua krzyczał, bo zobaczył zwłoki. Ciało Niny Andriejewskiej zostało więc prawdopodobnie odnalezione o siódmej lub o wpół do ósmej rano, co potwierdza zeznanie Piduy, że słońce nie stało jeszcze bardzo wysoko i daleko mu było do apogeum, czyli do południa. Zwłoki pływały swobodnie po wodzie w bieliźnie, z bransoletkami na rękach. Włosy były rozpuszczone, oczy i usta zamknięte. Twarz blada, spokojna, jak u śpiącego anioła, nogi rozsunęte na dwa werszki [dziewięć centymetrów], ręce uniesione w górę, w łokciach zgięte na wysokości piersi. Pidua, ekspert w sprawach topielców, który widział ponad piętnaście ciał, nie wytrzymał i posłużył się indukcją, na wzór indukcji eksperymentalnej, której medycyna sądowa raczej nie potwierdzi – zwłoki kobiet zawsze pływają na plecach, a mężczyzn na brzuchu. Ciało płynęło nogami do przodu. Miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, znajduje się poniżej mostu w Karajazie, dokładnie przy rozwidleniu noszącym nazwę Riszakala. Rybacy rozebrali zwłoki do naga, umieścili na wysepce i zajęli się zawiadomieniem władz o tym, co znaleźli.



Wiorstę [nieco ponad kilometr] od miejsca znalezienia ciała Andriejewskiej, w kierunku na Tyflis, napotkali wybierających się do miasta chłopów, Iwana Arutinowa i Gigola Krakozowa, którzy poszli na wysepkę, by obejrzyć zwłoki. Cała czwórka uważała, że zwłoki były świeże i czyste, a ponieważ wtedy były nagie, nie stwierdzili obecności uszkodzeń czy śladów na szyi ani zadrapań na piersi, ani zadraśnień. Tylko, jak mówili Pidua i Cziaberow, była widoczna sina plama na lewej ręce. Według zeznań Piduy i Cinamzgwarowa plama znajdowała się poniżej zgięcia, na przegubie lewej ręki. Proszę zwrócić uwagę na tę perfekcyjną zgodność czterech zeznających. Nie o to chodzi, że nie zauważyli, ale o to, że nie było innych plam i sińców. Kiedy podnieśli ciało, to zarówno zdaniem Piduy, jak i Arutinowa z ust wyciekła czerwona krew, jakby rozcieńczona wodą. Pidua mówił, że wyciekło parę kropli, a Arutinow, że ze dwie łyżki.

Pidua podczas przesłuchania wyjaśnił, że to był płyn, w którym była rozpuszczona krew.

W celu ochrony przed szybkim rozkładem nagie zwłoki schowali do jamy, ale nie głęboko, i zasypali piaskiem, który przykryli chrustem. Do zwłok musiały się dostać drobinki ziemi, ale według zeznań Piduy i Kobijewa między palcami i pod paznokciami u rąk nie znaleziono ani piasku, ani ziemi. Następnego dnia, czyli 24 lipca [5 sierpnia], o siódmej wieczorem policjanci w obecności doktora Mriewłowa nadzwyczaj niedokładnie i niedbale dokonali obdukcji zwłok, by przenieść je do prosektorium. Policjanci, Mriewłow, Kobijew oraz Cinamzgwarow stali na brzegu. Na wysepkę wysłali rozebranych rybaków Arutinowów, którzy odkopali zwłoki i nagie spławili rzeką do miejsca, gdzie stali śledczy. Oczywiście zwłoki zostały obmyte z ziemi i piasku i jeśli między palcami i pod paznokciami znajdowały się jakieś ziarenka piasku i cząstki roślin, to musiały zniknąć. Od przebywania zwłok w płytkiej jamie pozostały powierzchowne ślady, głębokie i wąskie wyłobienia, zapewne od chrustu wbijającego się w rozmiękczone ciało, w którym ustąpiło stężenie pośmiertne.

Na palcach nóg ofiary powierzchnia skóry była pogryziona, najpewniej przez szczury. Przebywanie w wodzie w połączeniu z gorącym słońcem doprowadziło do tego, że zwłoki znajdowały się w pełnym rozkładzie. Oba policzki, powieki, szyja i wierzch piersi były ciemnoczerwone z sinym odcieniem, pokryte pęcherzykami. Tak samo wyglądały plecy, boczne

części obu piersi i brzucha, miejsca pod kolanami, tylne powierzchnie obu kończyn górnych, a także uszy. Również na plecach i na przedramionach skóra się złuszczyła. Ciało Andriejewskiej przekazano cyrulikowi Szachowi-Niezidowowi. Przekuł je na brzuchu i w innych miejscach. Potem zostało przekazane do prosektorium w Tyflisie. W pobieżnym, niedbałym, powierzchownym protokole z 24 lipca [5 sierpnia] ledwo odnotowano niektóre szczegóły.

Prawdziwe badanie zaczęło się dopiero w prosektorium 25 lipca [6 sierpnia], dokładnie po dwóch i pół dobach od zaginięcia Niny Andriejewskiej, czyli sześćdziesiąt jeden godzin od momentu jej prawdopodobnej śmierci. Czy badanie było pełne i dokładne, pozwolę sobie wątpić. Działania lekarzy powinny być dwójakie: ustalenie faktów w protokołach oględzin zwłok i przygotowanie opinii. Rozpatrzmy oddzielnie jedno i drugie.

Formalnie wszystko wyglądało jak należy. Przeprowadzono zewnętrzne oględziny zwłok, otwarto czaszkę, brzuch i klatkę piersiową. W protokole zewnętrznych oględzin pominięto niewątpliwie istniejące na ciele Niny znaki, nie wspomniano o nakłuciach Szacha-Niezidowa, a nawet o tak ważnym szczególe, że 24 lipca [5 sierpnia] zwłoki Niny Andriejewskiej rozpoznali Szarwaszidze, matka Niny i Dawid Czchotua i że został odcięty wskazujący palec lewej ręki. Znalazły się w nim natomiast nie potwierdzone ekspertyzą wnioski śledczego, że Nina Andriejewska nie zdołałaby sama zejść na placyk nad rzeką, że jej trzewiki nie były zabrudzone, że zatem prawdopodobnie nie utonęła, tylko w inny sposób została pozbawiona życia. Sądzę, że dowiodę, iż stwierdzenia te są błędne, ponieważ śledczy nie miał prawa niczego podobnego orzec, bo nie mógł o tym wiedzieć. Zamiast powiedzieć lekarzom, że powstała sporna kwestia, czy Nina Andriejewska utonęła, czy została zabita i wrzucona do wody, przedstawiono im w skrócie całe śledztwo z gotowym orzeczeniem, że Nina została zabita, i zmuszono ich do szukania wszystkiego, co by potwierdzało ten wniosek. Zamiast potwierdzać niezależność swojego śledztwa lekarze wprowadzają do protokołu oględzin treść orzeczenia i pomijają wszystko, co nie ma bezpośredniego z nimi związku, wbrew *Ustawie o medycynie sądowej*, która zaleca zapisywanie w protokole oględzin zwłok nawet blizn, brodawek, myszek, pieprzyków i innych znaków szczególnych, a nie tylko braku któregoś z członków ciała. Słowo „paznokieć” zamieniono na „palec”, jakby palec wskazujący mogła szpecić przebyta prawdopodobnie

grzybica paznokci. Z oględzin wybiorę te opisy, które uważam za istotne: koniec języka przygryziony, usta i oczy zamknięte, z ust wypływa posoka, ciało opuchnięte, skóra odchodzi, tam, gdzie znajdowały się ciemnoczerwone plamy – na głowie, szyi, piersi, bokach – teraz są zielone plamy opadowe. Na obu biodrach, a także na plecach, pod łopatką, na łędźwiach, na obu ramionach i goleniach znajdują się sinociemnoczerwone plamy z silnymi podbiegnięciami krwawymi.

Wewnętrzne oględziny zwłok przedstawiały się następująco: pod skórą na wszystkich kościach czaszki rozległe podbiegnięcia krwawe. Mózg niedokrwiony, w stanie silnego rozkładu, bez wylewów. Kości nienaruszone. W mięśniach klatki piersiowej liczne podbiegnięcia krwawe, mimo że żebra są nie uszkodzone. Płuca bez stanów zapalnych, bladokrwiste. Serce czyste, w osierdziu obfite nagromadzenie płynu surowiczego. W żołądku nic szczególnego, brak oznak zatrucia, ale nie ma też wody. Pęcherz moczowy pusty. Błona śluzowa pochwy blada, co jest ważną oznaką braku menstruacji. Śledziona umiarkowanie pomniejszona. Na szyi, między mięśniami, naprzeciwko dołu szyjnego podbiegnięcie krwawe wielkości dwudziestokopiejkowej monety<sup>5</sup>. Szyja bez uszkodzonych chrząstek, z zaczerwienioną błoną śluzową krtani i tchawicy, ale bez pianistej cieczy. Takie są główne fakty. Przyjrzyjmy się teraz opinii.

Opinia składa się z negatywnych i pozytywnych rezultatów. Negatywnym rezultatem jest porażająco jednomyślna ocena ekspertów, [Iosifa] Goralewicza, [Płatona] Gławackiego, [Pawła] Blumberga i [Aleksandra] Pawłowskiego [tyflskich lekarzy], że nie ma żadnych symptomów utonięcia, ponieważ brakuje dwóch objawów zawsze charakteryzujących śmierć od utonięcia – piany w ustach i rozedmy płuc. Nie ma także wody w żołądku i piasku pod paznokciami, co nie zawsze występuje. Piana w krtani utrzymuje się trzy doby, potem przechodzi do opłucnej, pozostaje śluz, który można jeszcze zaobserwować w trzeciej dobie po śmierci. Płuca się rozdymają, zwiększają objętość, naciskają na ugniatające je żebra i dopiero wówczas, gdy płyn przesączy się do sąsiednich tkanek, opadają i zmniejszają do połowy poprzednią objętość. W przypadku Andriejewskiej nie było ani rozedmy, ani opadnięcia.

Zapanowała także pełna jednomyślność w ważniejszym punkcie pozytywnych rezultatów, w kwestii podbiegnięć krwawych. Te skupiska krwi, które gęstymi masami zalegają we wszystkich prawie częściach ciała, uznano za doznane za życia objawy przeżyć traumatycznych, skutek

przemocy fizycznej wywieranej na Ninę Andriejewską, przy czym uznano za nieprawdopodobne, by mogły być skutkiem uderzeń tonącej lub tylko co utopionej, u której trwały jeszcze skurcze serca i krwiobieg. Podbiegnięć krwawych nie można mylić z objawami towarzyszącymi rozkładowi zwłok. Goralewicz nawet ustalił, że było nie jedno uderzenie, lecz były cztery uderzenia, ani mniej, ani więcej. Według Gławackiego niezbyt silne uderzenia zadano twardym przedmiotem. Blumberg stwierdził, że podbiegnięcia krwawe są oznaką uduszenia, traumatycznego urazu, przemocy, bardziej niewątpliwą niż pętli zaciągniętej na szyi. Pawłowski stwierdził, że pośmiertne sińce nigdy nie występują w skupieniach i nie można ich mylić z plamami opadowymi. Brak zadrapań i ran zmusił ekspertów do orzeczenia, że sińce mogły wystąpić albo od niezbyt silnych stłuczeń, albo od ucisku. Szczególnie niepokoiły sińce na głowie i podbiegnięcie krwawe wielkości dwudziestokopiejkowej monety na szyi naprzeciwko dołu szyjnego.

Związek podbiegnięć krwawych ze śmiercią Niny Andriejewskiej okazał się sporny. Wśród ekspertów powstała różnica zdań. Najbardziej ostrożny z lekarzy, Gławacki, sformułował swój pogląd dość niejasno. Jego zdaniem śmierć nastąpiła na skutek zamartwicy, czyli z powodu przzerwania dostępu powietrza do płuc. Opinia dość elastyczna, gdyż podpada pod nią i uduszenie z użyciem przemocy, to jest zaciśnięcie ust, i zachłyśnięcie się tracącego świadomość i przestającego oddychać topielca. Pozostali lekarze bronili tezy, że przyczyną śmierci były przemoc zewnętrzna i uszkodzenia ciała. Pawłowski uważał, że Andriejewska udusiła się wskutek ucisku na szyję, ale chrząstki krtani nie zostały uszkodzone, a według orzeczenia Blumberga najważniejsze były nie ślady na szyi, lecz uderzenia w głowę, które spowodowały wstrząśnienie mózgu. Opinia wygodna i trudna do obalenia, po pierwsze dlatego, że mózg był w stanie pełnego rozkładu, co wyklucza możliwość zbadania go, a po drugie dlatego, że wstrząśnienie mózgu nie pozostawia śladów, więc to przypuszczenie jest nie do obalenia. Jak to zawsze bywa, naukowy spór zakończył się kompromisem w duchu eklektyzmu, to znaczy dopuszczenia wszystkich przeciwstawnych rozwiązań.

Gławacki uznaje za traumatyczne sińce oraz wstrząśnienie mózgu i sądzi, że śmierć nastąpiła raczej od uduszenia niż od utonięcia, chociaż objawy w obu wypadkach są jednakowe. Według Goralewicza śmierć była konsekwencją połączenia wszystkich uszkodzeń ciała, to jest ucisku na

gardło i klatkę piersiową. Pawłowski uważa, że przyczyną sińców naprzeciwko dołu szyjnego było uciskanie, które przerwało dostęp powietrza do płuc i doprowadziło do uduszenia się Andriejewskiej. Blumberg, broniąc swojej hipotezy dotyczącej *commotio cerebri* [wstrząśnienia mózgu], wie dokładnie, jak dokonano zabójstwa. Andriejewską najpierw uderzono w głowę, to uderzenie nie spowodowało natychmiastowej śmierci, ale doprowadziło do nieprzytomności. Nieprzytomną Andriejewską uduszono, a następnie wrzucono do wody. Blumberg wie jednak dużo więcej, i to nie tylko w sprawach swojej specjalizacji. Wie on na przykład, jak zaznacza się w protokole śledztwa sądowego, że zwłoki nie pływały po rzece – zostały położone na płyciźnie, gdzie je znaleźli rybacy.

Taki jest główny sens opinii ekspertów. Pomijam kwestie drugorzędne, na przykład dotyczące mułu i piasku (nie było ich, a koniecznie powinny być, jeśli do utopienia doszło w głębokich miejscach), wody w płucach i żołądku (może jej nie być), pustego pęcherza moczowego (przy czym obstawał Blumberg, choć zaznaczył, że ten objaw uczeni w tym wypadku kwestionują). Najważniejsze dla szczególnego charakteru naszej sprawy jest to, co stanowiło przedmiot ekspertyzy: czy Andriejewska utonęła, czy była zabita i wrzucona do wody? Pozostałe kwestie, co postaram się dowieść, są nieważne i mało znaczące. W tej najważniejszej kwestii odpowiedzi ekspertów były wydanym na podsądnych gotowym wyrokiem skazującym: zabita. Sąd mógł tylko albo zwątpić i wezwać innych, jeszcze bardziej doświadczonych ekspertów, albo przyłożyć, że tak powiem, do gotowego wyroku swoją pieczęć. Ani ja, ani mój szanowny przeciwnik, ani panowie sędziowie nie wiemy, nie możemy i nie mamy prawa z braku wiedzy rozstrzygać, jakie cechy zwłok przemawiają za utonięciem, a jakie za uduszeniem. I sąd tak postąpił. Potem jednak powstał problem, jaki ma sens, by strona, chociażby nawet skazana, miała występować przeciwko wyrokowi ogłoszonemu przez przedstawicieli nauki. Ja, panowie, szanuję każdy prawny autorytet wynikający z ustawy lub ważny z natury rzeczy, ale nie dopuszczam autorytetów bezwarunkowych, zwłaszcza gdy od orzeczenia tego autorytetu zależy los człowieka, kara śmierci albo ciężkie roboty (katorga). Cóż może być świętsze i silniejsze od formalnego rozstrzygnięcia, ale ono może także być uchylone przez sąd. I coś może być silniejsze od słów przedstawicieli nauki wypowiedzianych w imieniu nauki, ale i te słowa mogą być uznane albo nie uznane, i nie powinny być uznane,

jeśli nie zawierają warunków, dzięki którym stają się przekonujące, bo mają w sobie siłę dowodów. Kiedy stają się przekonujące, to i wówczas, jak wiadomo, sąd nie ma obowiązku im się podporządkować. Jednak są możliwe przypadki, kiedy sąd ze względów moralnych nie ma obowiązku im się podporządkować. Tak więc powstaje problem wzajemnych stosunków dwóch autorytetów – sądu i nauki – problem, który niejasno był pojmowany i źle postawiony także w orzeczeniu Tyfliskiego Sądu Okręgowego.

Zatem niech mi będzie wolno skupić uwagę wysokiej izby na jakiś czas na tym problemie. Każdy wyrok sądowy stanowi dedukcję logiczną, każda dedukcja ma formę sylogizmu. Każdy, kto dopuścił się takiego a takiego czynu, podlega takiej a takiej karze – mówi prawo – to przesłanka większa. A dokonał takiego a takiego czynu – przesłanka mniejsza, wyrażająca się w werdykcie przysięgłych. Zatem A podlega takiej karze – uzupełnia sąd w swojej sentencji. W toku sprawy i pracy sądowej dedukcje to epizody. Należy do nich również ekspertyza. Ona także jest zbudowana w formie sylogizmu. W jego formułowaniu uczestniczą i eksperci, i sąd.

Dedukcja przy pomocy ekspertów ma następujący przebieg. Przesłanka większa wygląda w niej następująco: jeżeli istnieją objawy 1, 2, 3, to czy mamy do czynienia z uduszeniem albo otruciem, albo spędzeniem płodu? Takiego wniosku nikt nie może wyciągnąć oprócz specjalisty, nie tylko specjalista medycyny ogólnej, ale i specjalista medycyny sądowej. Pewni ludzie całe życie poświęcili udzielaniu pomocy żywemu choremu, ale nie wierzę, że rozstrzygną kwestię przyczyny śmierci osoby, której nie obserwowali za życia. Jestem prawnikiem, ale nie radzę zwracać się do mnie w sprawach prawa finansowego tylko dlatego, że jako prawnikowi nie może mi być obce prawo finansowe, albo z problemami architektonicznymi tylko dlatego, że jestem na przykład człowiekiem umiejącym w zgodzie ze sztuką oratorstwa zbudować mowę i dlatego powinienem znać sztukę budowania czego innego, z kamiennymi budynkami włącznie. Przesłanka większa to stwierdzenie niedostępne dla profanów. Jeśli jednak zawiera sprzeczność, jeśli jest czysto empiryczna, to znaczy przedstawia gołe fakty, ale nie objaśnia prawnej natury faktu, jeśli jest całkowicie niezgodna z popularnym znaczeniem książkowym, obecnie rozpowszechnionym za pośrednictwem prasy, to wiadomo, że sąd może i powinien zwątpić w przesłankę większą i albo tę przesłankę odrzucić, albo obejść się bez



ekspertyzy, albo zwrócić się do innych superznawców, specjalistów do kwadratu.

Jeśli chodzi o drugą przesłankę, to ona przedstawia się tak: na ciele Andriejewskiej znaleziono jakieś symptomy wskazujące na zabójstwo, uduszenie, otrucie. W dowodzeniu tej przesłanki, przejętej z protokołów i zeznań świadków, oba elementy – i sędziowie, i eksperci – biorą jednakowo osobisty i bezpośredni udział, kontrolują się wzajemnie. Zatem jeżeli ekspert uznaje za objaw to, o czym nie mówi żaden świadek, lub to, czego w ogóle się nie wymienia w *visum repertum*<sup>6</sup>, to sąd ma prawo powiedzieć: taki objaw nie istnieje, jest fałszywy, to wymysł, i całkowicie go wyeliminować.

Kiedy występują obie przesłanki, to opinia następuje sama przez się i orzeka już sam sąd, bez ekspertów, przy czym z punktu widzenia prawa może tego nie dowieść. Artykuł 533 *Ustawy postępowania sądowego karnego* stosuje się także do postępowania karnego. Na podstawie tego artykułu sąd nie ma obowiązku podporządkować się opinii biegłych niezgodnej z okolicznościami sprawy, ale zazwyczaj powinien się podporządkować, gdy jest wiarygodna i wytrzymuje próbę tych kryteriów, które miałem honor przedstawić.

Przedstawivszy zasady logiczne, według których profani, zarówno sędziowie, jak i strony, mogą nie z istoty rzeczy, ale tylko z zewnątrz, z kasacyjnego, że tak powiem, punktu widzenia odnieść się do sprawy, pozwolę sobie zastosować te kryteria do ekspertyzy w sprawie Niny Andriejewskiej.

Myślę, że nie urażę ekspertów Blumberga, Gławackiego, Goralewicza i Pawłowskiego i nie powiem im niczego przykrego, jeśli stwierdzę, że nie są wprawdzie dyletantami, ale i nie w pełni specjalistami, powiedzmy, półspecjalistami. Takim półspecjalistą byłbym na przykład, gdyby kazano mi rozstrzygać wyrafinowane problemy prawa policyjnego, finansowego albo administracyjnego. Wszyscy eksperci są doświadczeni i sprawni w niesieniu pomocy żywemu choremu człowiekowi, ale nie w badaniu przyczyn śmierci zmarłego.

Nauka medycyny sądowej, tej rzadkiej specjalności z kręgu nauk medycznych, to przedmiot drugorzędny, obecny w notatkach i kilku opublikowanych podręcznikach, a także osobiste doświadczenie wynikające z przeprowadzenia dwudziestu sekcji zwłok. Takie doświadczenie jest dalece niewystarczające. Wszystko to sprzyja pospiesznym indukcjom

i formułowaniu ogólnych wywodów opartych na kilku przypadkowych przykładach.

Żaden z ekspertów nie był w stanie przedstawić genezy objawów utonięcia i otrucia. Mówili, że są, lecz nie mówili dlaczego. Pojawiały się natomiast uogólnienia, na przykład u Blumberga na temat pustego pęcherza moczowego, których sam powinien się wyrzec, podobnie poważnych jak uogólnienia Piduy: topielcy pływają do góry plecami, a topielice odwrotnie. W wypadku ekspertyzy autorstwa nie w pełni specjalistów szczególnie ważne znaczenie ma literatura przedmiotu. Nasza wiedza nie ukrywa się przed światem. W każdej dziedzinie istnieją opublikowane podręczniki, zebrane doświadczenie całych wieków wyłożone w dostępnej formie. Jeżeli te książki wprost zaprzeczają temu, co mówią żywi eksperci, to z przyczyn, które później przedstawię, nie radziłbym sądzić według książek, radziłbym także, by nie wierzyć ekspertom w sprawie tych faktów. Jeśli raz nie uwierzymy tym faktom, to cały urok ich autorytetu przepada – w ogóle im nie wierzymy. Autorytet to pewna spójna całość, jak spisek. Obalony w jednym punkcie, cały się posypie. Ale nawet pobieżny przegląd najbardziej znanych książek, najpopularniejszych podręczników wystarczy, by stracić wiarę w ekspertyzę. Panowie, nie jestem specjalistą, ale najprzydatniejsze podręczniki ([Johanna Ludwiga] Caspera i [Carla] Limana, [Hugona Mittenzweiga, w przekładzie profesora [Władimira] Kryłowa, [Josepha] Brianda i [Ernsta] Chaudé, [Auguste'a Ambroise'a] Tardieu oraz innych) na temat sekcji zwłok przekartkowałem i oto co znalazłem. W kwestii osławionych stałych objawów utonięcia, podobno nieobecnych w ciele Andriejewskiej, to na przykład u [Adolfa] Schauensteina czytamy, że żadnych pewnych i stałych objawów nie ma, nie zawsze występuje także piana, nawet rozedma płuc. Jedynym występującym objawem jest bardzo szybkie i zaczynające się od góry, od głowy, gnicie – to objaw bezwarunkowo stały. Takim objawem nie może być piana i pienista ciecz. Piana jest rzeczywiście ważna, ale tylko wtedy, kiedy śmierć nastąpiła z powodu zamartwicy. Kiedy tonący człowiek walczy ze śmiercią, reaguje i zbiera siły, żeby oddychać, krtań, gardło i oskrzela zawsze zawierają i utrzymują pianę, ale gdy śmierć nadchodzi w stanie nieświadomości, następuje natychmiastowe zatrzymanie odruchowej akcji płuc i oddechu, nadchodzi bezbolesna utrata przytomności z powodu wylewu krwi do mózgu i w wydechowym położeniu klatki piersiowej. Tchawica jest sucha, zawiera niewiele wody,

bez piany. To samo można powiedzieć o rozedmie płuc. Zwiększenie objętości płuc spowodowane jest tą samą przyczyną co piana – wydatnymi ruchami oddechowymi w czasie walki ze śmiercią, ale gdy utrata przytomności prowadzi do śmierci, gdy klatka piersiowa przyjmuje położenie wydechowe, zwiększenie objętości płuc do takiego stopnia stanowi tak słaby objaw, że Mittenzweig nie uwzględnił go na liście symptomów śmierci od utonięcia. Chcę też zwrócić uwagę na osobliwe słowa ekspertów, że przyczyną śmierci Andriejewskiej byłoby utonięcie, gdyby na rozdętych płucach dało się zauważyć poodciskane żebra albo gdyby zmniejszyły objętość na skutek przesiąknięcia płynu do sąsiednich tkanek. Jeśli ciało znalezione by w momencie przechodzenia od jednego stanu w drugi, to oczywiście nie byłoby ani jednego, ani drugiego, ani A, ani B, lecz stan pośredni. Płuca byłyby lekko rozdęte, a nie bardzo rozdęte.

Mam jednak poważniejszy zarzut pod adresem ekspertów niż ten, że przyjęli niezbyt ważny objaw (pianę z ust) za ważny. Zarzucam im, że nie sprawdzili istnienia symptomu – według wszelkiego prawdopodobieństwa zaistniałego. To coś w rodzaju wody w jamie ustnej, którą zauważył Pidua, ni krew, ni woda, krew rozcieńczona wodą. Wylało się jej dwie łyżki w związku z zaczerwienieniem krtani i tchawicy, co dawało pełne podstawy do przypuszczenia, że piana była, lecz zniknęła, gdyż nadzwyczaj szybko nastąpił rozkład ciała, zatem nie mogła się utrzymać do trzeciego dnia. Panowie eksperci zignorowali zeznania rybaków i pozostali przy konkluzji: piany nie znaleźliśmy, więc jej nie było. Jeden z nich, Gławacki, tak oto objaśnił zeznania rybaków: piana mogła zniknąć, ale pozostałby śluz, śluzu też jednak nie było, krtani była sucha. Proszę zwrócić uwagę na tę opinię. Pojawia się *ex promptu* [ni stąd, ni zowąd], nie jest odnotowana w *visum repertum* i nie potwierdzają jej inni eksperci. Pierwszym obowiązkiem sądu było jej włączenie, właśnie dlatego, że jeśli ten ważny i istotny objaw wystąpił, to powinien znaleźć odzwierciedlenie w protokole oględzin zwłok. Zgłoszony tak późno, traci znaczenie. Sąd bez sprawdzenia go przyjął, chociaż przyjęcie lub nieprzyjęcie tego objawu jest okolicznością z dziedziny zwykłych, a nie naukowych faktów zamieszczanych w protokołach i potwierdzonych protokołami. Okazuje się więc, że nie dowiedziono braku wyraźnych objawów utonięcia.

W jeszcze mniejszym stopniu została potwierdzona możliwość uduszenia, o czym świadczyły podbiegnięcia krwawe (sińce). Najbardziej oczywisty punkt oskarżenia okazał się fałszywy – sińce nie mogą

współwystępować z plamami opadowymi powstałymi wskutek przemieszczającej się przez naczynia włosowate do sąsiednich tkanek surowicy z krwistym pigmentem, a jeśli są skrzepy, to niezawodnie mamy do czynienia z uszkodzeniami powstałymi za życia.

Mittenzweig uważa, że w okresie gnicia także podbiegnięcia krwawe się zmieniają i wówczas z trudem można je odróżnić od utrwalonych plam opadowych (imbibicja). Plamy opadowe mają równomiernie ubarwioną powierzchnię, są wyraźne, ponieważ nie przenikają głęboko do tkanki, ale by to stwierdzić, trzeba przeciąć mięsień, a takich prób eksperci nie przeprowadzali na głowie. To, co nazywają sińcem, znajdowało się na kości, a nie w mięśniach szyi. Między nimi było podbiegnięcie krwawe wielkości dwudziestokopiejkowej monety. Skóra szyi nie miała zabarwień. Sińców nie było również między żebrami. W *visum repertum* jest mowa o tym, że sińce (w postaci niewyraźnych wysepek) na mięśniach żebrowych dochodziły do okostnej żeber, ale ta konkluzja była wyprowadzona z porównania czerwieni na żebrach z czerwienią na okostnej, bez przecinania mięśnia i wątpliwe, czy tego dokonano. Briand i Chaudé twierdzą, że jeśli wycinek skóry na całej grubości jest przesycony krwią, gęstą i ściętą, to z pełną odpowiedzialnością można powiedzieć, że to uszkodzenie powstało za życia. Tych symptomów nie można stwierdzić, odwołując się do *visum repertum*. Casper, wielki autorytet, na podstawie doświadczeń zarówno swoich, jak i [Josefa] Engela i [Carla Ernsta] Bocka odrzuca możliwość, by skrzepy dowodziły pochodzenia przyżyciowego. Mayr uważa, że gdy następuje gnicie, nie można rozstrzygnąć, czy mamy do czynienia z przyżyciowym, czy pośmiertnym skrzepem. Główna różnica polega na tym, że traumatyczne podbiegnięcia krwawe są wyraźne i ostro zaznaczone, plamy opadowe są zaś bardziej rozmyte. W naszym przypadku sińce opisano jako rozległe, rozlane, ciągłe na głowie i jako niewyraźne wysepki na żebrach. Jeśli nie skupimy się tylko na niektórych podbiegnięciach krwawych, lecz uwzględnimy wszystkie opisane w *visum repertum* i weźmiemy pod uwagę brak uszkodzeń naskórka, ran, zadrapań i podskórnych sińców, to łatwo się przekonamy, że szanowni eksperci po prostu pomylili plamy opadowe z sińcami. Podbiegnięć krwawych było mnóstwo – na głowie, wokół głowy, w mięśniach żebrowych, na biodrach, plecach, prawej łopatce, lędźwiach, bokach, obu goleniach, na kolanach. Wszystkie uznano za przyżyciowe. Jak mogły powstać bez zabarwienia skóry? Przecież zwłoki były czyste i bez zewnętrznych znamion

i uszkodzeń. Gławacki powinien był założyć, że dzięki miękkiej podściółce między skórą a uderzającym narzędziem krew wlewa się nie pod skórę, ale w mięśnie. Mielibyśmy do czynienia z torturami. Ninę Andriejewską pobito by od głowy do pięt w wyrafinowany, barbarzyński sposób. Nie byłoby to możliwe ani w tak krótkim czasie między jej zniknięciem a ujawnieniem zniknięcia, ani w miejscu i okolicznościach nakazujących ostrożność, ani zgodne z celem, którym miały być korzyść albo uraza. Należałoby mocno bić po plecach i po bokach, a i po głowie przez poduszkę. Wielka liczba podbiegnięć krwawych sprawia, że założenie dotyczące ich przyżyciowości jest absurdalne. Jasne, że rozsądna krytyka powinna była ujawnić, że objawy utonięcia Niny Andriejewskiej są całkiem prawdopodobne, a objawy traumatycznego wylewu krwi z powodu przemocy fizycznej za życia są dość wątpliwe. Co pozostało sądowi? Czy ekspertom jako autorytetom uwierzyć na słowo, czy zwątpić w to, że wyjaśniają wszystko zgodnie z okolicznościami sprawy znanymi sądowi z protokołu? Zaprzeczając istnieniu piany, gdy ona jest, negując, że zwłoki płynęły (na przykład Blumberg), gdy znaleziono je płynące. Raz zwątpiwszy, sąd nie może zmienić czy usystematyzować ani opinii ekspertów, ani wyroku sądu przysięgłych. Sąd nie jest w stanie poradzić sobie z przesłanką większą, której głosicielami są eksperci. Może tylko zawierzyć wyroczeni i przyjąć w całości jej sentencję albo stracić wiarę w autorytety i potraktować ekspertów jako niewiarygodne źródło. Co potem? Potem albo trzeba sam problem uznać za nie rozwiązany, czyli stwierdzić, że być może Andriejewska została uduszona, a być może utonęła, i uniewinnić podsądnych zgodnie z zasadą, że wszystkie wątpliwości powinny przemawiać na ich korzyść, albo zażądać nowej, prawdziwej ekspertyzy. Tymczasem sąd wypadł ze swojej roli i oświadczył, że ma prawo zweryfikować zarówno ekspertyzę, jak i naukową słuszność przywoływanych w celu jej obalenia autorytetów i stać się rozjemcą między ekspertami żądającymi piany a [angielskim profesorem medycyny sądowej Francisem] Ogstonem, który przeprowadził sekcję zwłok dziewięćdziesięciu topielców i stwierdził, że po pięćdziesięciu pięciu godzinach od chwili znalezienia zwłok piana znika. Ogston nie znalazł piany, ale z protokołu nie wynika, czy nie znalazł śluzu, a jak mówią eksperci, śluzu nie było, więc eksperci mają rację.

Już nadmieniłem, że śluz prawdopodobnie był, ale nie na tym polegał błąd, lecz na tym, że sąd stał się rozjemcą sporu między ekspertami

a dziełem, którego oni nie czytali i które jest znane tylko fragmentarycznie z podręcznika medycyny sądowej [Ernsta] Buchnera. Sąd dał pierwszeństwo ekspertom, ale przecież mógł dać pierwszeństwo dziełu i na podstawie fachowego dzieła rozstrzygnąć problem naukowy. Wartości dzieła nie był w stanie oszacować, a w jego ocenie jest oczywiście tak mało kompetentny jak ja w ocenie problemów języka asyryjskiego. Proszę pozwolić, bym wyjaśnił moją myśl na przykładzie. Znakomitością w dziedzinie medycyny sądowej jest [Auguste Ambroise] Tardieu, autor dziesiątek prac. Opisał podopłucnowe wybroczyny występujące w przypadkach śmierci przez uduszenie [plamki Tardieu], nigdy nie pojawiające się, gdy śmierć nastąpiła wskutek utonięcia. Przypuśćmy, że sąd ugiąłby się przed jego autorytetem. Jednak wszyscy lekarze niemieccy odrzucają wywody Tardieu. Okazałoby się, że sąd zniewoliło i urzekło wielkie nazwisko i że popełniłby ogromną pomyłkę, uznając za swoją sprawę rozsądzanie problemów, w których nie może być sędzią, i dlatego to nie sędziowie powołują ekspertów. Mam nadzieję, że panowie sędziowie nie pójdą tą niebezpieczną drogą i nie uwierzą ekspertom Gławackiemu, Goralewiczowi, Blumbergowi oraz Pawłowskiemu, nie uwierzą w ich z grubsza ciosane wnioski, zawierające sprzeczności i uchybienia, że panowie je oddalą. Mam też nadzieję, że panowie sędziowie przyjmą bardziej rzeczowy i przekonujący wniosek mojego eksperta, prawdziwego w tej sprawie specjalisty, i w rezultacie uznają, że 23 lipca [4 sierpnia] do Karajazu przyplłynęły świeże zwłoki kobiety. Nie mogło być na nich oznak przemocy zewnętrznej, zadławienia czy uduszenia. Były to zwłoki kobiety, która być może utonęła. W ten sposób zniknęłaby jedna poszlaka, co zredukowałoby poszlaki dowodzące, że doszło do przestępstwa. Inne pozostały, a jest ich prawdopodobnie wiele i trzeba je wyjaśnić. Po dowodach opartych na oględzinach zwłok pojawia się dowód zapożyczony z dziedziny mechaniki albo raczej z hydrauliki. Jeśli Nina Andriejewska nie została zabita, to utonęła o dziesiątej wieczorem 22 lipca [3 sierpnia], a jeśli utonęła, to w Tyflisie, koło ogrodu domu Szarwaszidzego. Jeżeli jednak utonęła w tym miejscu, to jej zwłoki nie mogły przebyć odległości dzielącej Tyflis od Karajazu, wątpliwe jest również, czy jej ciało mogło przesunąć się po płycznach, w każdym razie nie mogło nie uderzyć o dno i pozostać nie uszkodzone. A ponieważ zwłoki są czyste, to prawdopodobnie została zabita, z Tyflisu wywieziono ją drogą



ładową i wrzucono do wody w pobliżu miejsca, w którym ją znaleziono. Taka jest druga poszlaka. Zajmijmy się jej przeanalizowaniem.

W czasie śledztwa stwierdzono, tylko Bóg wie, kim był ów znawca, pewnie Pidua, czyli Nataszka, że zwłoki na pewno opadają na dno i że znalazły się w jamie, tam przeleżały trzy dni i nabrzmiały i że powinny się przesuwać po dnie, czepiając kamieni, i ulec obrażeniom. Wszystkie te wnioski wywołują poważne kontrowersje i są nader wątpliwe. Kiedy człowiek szybko traci przytomność, przestaje panować nad sobą i jego dalsza droga w wodzie zależy od ciężaru właściwego jego ciała. Ciężar ten jest większy, jeżeli człowiek się zachłysnął, napił wody i woda wypchnęła z płuc powietrze, a mniejszy, jeżeli śmierć nastąpiła bez opicia się wodą, na skutek wylewu krwi do mózgu, jak w tym przypadku. Ciężar jest większy, jeżeli człowiek jest chudy jak szczapa, a mniejszy, jeżeli człowiek jest tęgi, z podkładem tłuszczu, jak w tym przypadku. Oto dlaczego ciało mogło nie opaść na dno jamy, mogło wpaść w wartki nurt rzeki prosto z jamy przy placyku – mającej cztery i pół arszyna<sup>2</sup> [nieco ponad trzy metry], zdaniem Wodopjanowa, lub pięć [ponad trzy i pół metra], zdaniem Kamienogorskiego – i przesunąć się dalej. Ciężar ciała człowieka jest prawie równy ciężarowi wody, waga Andriejewskiej ze względu na jej korpulentność i ilość powietrza, które zostało w płucach, mogła być mniejsza niż ciężar wody, co spowodowało, że ciało nie było całkowicie zanurzone w wodzie i na tyle wystawało ponad jej powierzchnię, że nabierało małą ilość wody. Ciało płynęło więc swobodnie, dopóki nie zatrzymali go rybacy, chwytając za nogi. Być może dlatego mogło tak płynąć od mostu Michajłowskiego. Tutaj z tego logicznego koła nie ma wyjścia, chyba że zakwestionuje się zeznania rybaków. Nawet oskarżenie tego nie uczyniło. Przyszło to tylko do głowy Blumbergowi, obdarzonemu bujną wyobraźnią.

Jednak zwłoki nie mogły przepłynąć 43 wiorst [46 kilometrów] od początku nocy 22 lipca [3 sierpnia] do wczesnego rana 23 lipca [4 sierpnia]. Przede wszystkim proponuję odrzucić tę liczbę. Bezkrytycznie przyjęto ją z wypowiedzi świadka Wodopjanowa, Świadka łapię na pierwszej dużej niedokładności liczbowej i stwierdzam, że jeśli się myli w sprawie długości Kury, którą podobno zna tak doskonale jako kierownik stacji ratunkowej, to dlaczego nie może się mylić także w sprawie głębokości. Ekspert Tkaczew na podstawie dokładnych pomiarów ustalił, że odległość od Tyflisu do Karajazu wynosi 33 wiorsty [ponad 35 kilometrów] i nie można

w to wątpić. Odległość ustalono więc dokładnie. Pozostaje jeszcze do ustalenia prędkość nurtu Kury. We wrześniu 1876 roku w czasie śledztwa drogę tę przepłynięto łódką w ciągu pięciu i pół godziny, od wpół do siódmej rano do dwunastej w południe. Jeżeli Nina Andriejewaska utonęła, to o wpół do dziesiątej wieczorem. Na jej zwłoki natknięto się w Karajazie w przybliżeniu po 14 godzinach, czyli po 840 minutach. Jeśli podzieli się ten czas przez 33 wiorsty i 100 sążni<sup>8</sup> (840 minut : 16 600 sążni [ponad 35 kilometrów]), to okaże się, że zwłoki przepływały wiorstę [nieco ponad kilometr] w ciągu 25,5 minuty (dwa razy wolniej niż człowiek idący pieszo lub płynący łodzią). Co do prędkości – w ciągu minuty przepływały około 19,7 sążnia [42 metry], a w ciągu sekundy około 0,33 sążnia [0,7 metra]. To wyliczenie pokrywa się co do joty z wyliczeniami, proszę na to zwrócić uwagę, Kaukaskiego Towarzystwa Technicznego za lata 1869–1870. W odczycie [inżyniera Stanisława Weissa von] Weissenhofs z 27 września 1870 roku podano rezultaty badań Kury w Tyflisie przeprowadzonych przez [angielskich] inżynierów Baly’ego i Gabba w ciągu czterech lat, od 1862 do 1865 roku. Wynika z nich, że Kura jest rzeką kapryśną. Najniższy poziom wody jest zimą i nie tak niski latem, najwyższy poziom jest na wiosnę i nie tak wysoki jesienią. Stosunek między maksimum a minimum wynosi 33 do 1. Prędkość nurtu rzeki nie mającej wodospadów na niewielkich odległościach (kilku dziesiątek wiorst [kilometrów]) jest prawie jednakowa. Większa na powierzchni aniżeli w głębi, ale zwłoki płynęły po powierzchni. Prędkość nurtu zależy od ilości przepływającej wody i jeśli objętość wynosi 10,93 sążnia sześciennego<sup>9</sup> [106,16 metra sześciennego], to prędkość wynosi 0,378 sążnia sześciennego [3,67 metra sześciennego] na sekundę. Największa prędkość to 2 sążnie sześciennie [19,42 metra sześciennego] na sekundę. Mogę jednak powiedzieć, że latem w sekundę może przepływać mniej niż 10,93 sążnia sześciennego [106,16 metra sześciennego]. Chyba nie więcej. Zakładam tak na podstawie usytuowania na tablicy objętości wody 22 czerwca [4 lipca] przez wszystkie cztery lata, od 1862 do 1865 roku. Objętość wody dochodziła do 7,2 sążnia sześciennego [69,93 metra sześciennego], ale zdarzało się i 22,5 sążnia sześciennego [218,53 metra sześciennego], a przy średnim stanie 15,13 sążnia sześciennego [146,95 metra sześciennego], a w wypadku tej objętości średnia szybkość nurtu to 0,45 sążnia sześciennego [4,37 metra sześciennego].

Tak więc według danych technicznych opartych na dokładnych pomiarach zwłoki mogły przepłynąć 22 lipca [4 sierpnia] 1876 roku 33

wiorsty [ponad 35 kilometrów] do Karajazu.

Jeśli jednak znika dylemat z odległością czterdziestu trzech wiorst [czterdziestu sześciu kilometrów], to powstaje drugi – płycizny na Kurze. Rzeka płynie głębokim korytem do szesnastej wiorsty [siedemnastego kilometra]. Następnie, nie dopływając do wsi Karadžalar, rozdziela się na trzy odnogi, z których najgłębsza miała we wrześniu 1876 roku sześć werszków [prawie dwadzieścia siedem centymetrów]. Potem następują znów rozwidlenia, a najgłębsza z trzech odnóg liczy cztery werszki [osiemnaście centymetrów]. Kierujący ekspertami Wodopjanow stwierdził, że 23 lipca [4 sierpnia] 1876 roku stan wody był jeszcze niższy, o półtora werszka [prawie siedem centymetrów], więc wynosił cztery i pół oraz dwa i pół werszka [dwadzieścia oraz nieco ponad jedenaście centymetrów], a to znaczy, że najgłębsza odnoga miała szerokość dłoni<sup>10</sup>. Jasne więc, że jeśli Wodopjanow mówi prawdę, to po takiej płyciznie zwłoki nie przepłyną. Czy mówi prawdę? Pozwolę sobie wątpić. Przede wszystkim potarguję się o te półtora werszka [prawie siedem centymetrów]. Podczas oględzin miejsca zapisano w protokole, że Wodopjanow uznał, iż różnica stanu wody wynosiła półtora werszka [prawie siedem centymetrów], zatem w najpłytszym miejscu najgłębszej odnogi było trzy i pół werszka [ponad piętnaście centymetrów]. W protokole z 9 września [21 września] 1876 roku i w protokole sędziego śledczego jest zapis: półtora werszka [prawie siedem centymetrów], najprawdopodobniej przez pomyłkę. Różnica w danych nie została wyjaśniona, gdyż nikt nie zwrócił na nią uwagi. Uznałem jednak, że gdy docieka się pełnej i szczerzej prawdy, nie wolno przyjąć, że było to półtora werszka [prawie siedem centymetrów] na tej tylko zasadzie, że obrońca nie zgłosił do protokołu zastrzeżeń.

Na jakiej podstawie Wodopjanow wyrokował także i o tych czterech oraz o trzech i pół werszkach [osiemnastu oraz o ponad piętnastu centymetrach]? Czy miał ze sobą miarkę i mierzył nią wodę? Nie, on oceniał według miary w oczach, tak jak oceniał odległość na czterdzieści trzy wiorsty [czterdzieści sześć kilometrów], i jeżeli pomylił się co do czterdziestu trzech wiorst [czterdziestu sześciu kilometrów], to mógł się pomylić i co do czterech werszków [osiemnastu centymetrów]. Jeśli jednak była to pomyłka, to na pewno nie na korzyść oskarżonych. Wodopjanow należał do grupy osób pasjonujących się sprawą i chcących wykazać, że doszło do przestępstwa, tak jak Cinamzgwarow, śledczy i cały, można by rzec, Tyflis, to znaczy wszyscy wierzący w przestępstwo i naginający do tego fakty.

A między innymi i w tym zeznaniu są informacje, na których podstawie trudno uwierzyć w cztery werszki [osiemnaście centymetrów]. Oględziny miejsca przeprowadzono tak. Do łódki wsiedli śledczy Kobijew, wiceprokurator Chłodowski, świadkowie Burakow, Wodopjanow, Kamienogorski i czterej wioślarze. Razem dziewięć osób. Ich ciężar łącznie z ciężarem łódki wynosił nie mniej niż pięćdziesiąt pięć pudów<sup>11</sup> [dziewięćset jeden kilogramów]. Bardzo wątpię, by ta łódź zanurzyła się w wodzie tylko na cztery werszki [osiemnaście centymetrów]. Zanurzyła się głębiej. Nie osiadała na dnie. Głębokość rzeki powinna być jeszcze większa. Prawdą jest, że w jednym miejscu łódka zaczepiła o kamienie i trzeba ją było przeciągnąć. Ale co to znaczy? Nie przeciągali jej Kobijew, Chłodowski ani oczywiście świadkowie. Oni nie wysiadali. Pewnie łódkę przeciągnęli wioślarze (może jeden z nich, może dwóch) po wejściu do wody. Wodopjanow przypuszcza, że zwłoki jednak mogły przepłynąć. Także w protokole sądowym stwierdzono, że jeśli zwłoki przepłynęły, to powinny być mocno uszkodzone. A dlaczego uszkodzone? Zdaniem Wodopjanowa wlekły się po dnie, a nie pływały na powierzchni wody. Odrzucam tę teorię Wodopjanowa – jeżeli były lekkie, powinny płynąć po powierzchni wody, a zwłoki Andriejewskiej były szczególnie lekkie, płynęły na plecach, rozpuszczone włosy chroniły głowę, tułów chroniła koszulka, znacznie uszkodzona. Była uniesiona do góry i podtrzymywana pod pachami, z tyłu rozerwana na długości jednej czwartej werszka [nieco ponad centymetra]. Pantalony były rozerwane na bokach. Prędkość nurtu rzeki, wynosząca jedną trzecią sążnia [ponad pół metra] na sekundę, nie powinna sprawić, że spokojnie płynące ciało, chronione bielizną, doznało uszczerbku. Zwłoki mogły więc przepłynąć odległość od Tyflisu do Karajazu w ciągu dziesięciu godzin, tym bardziej w ciągu czternastu.

Nie odrzucam jednak możliwości, że Nina Andriejewska zmarła z powodu zamartwicy, nie zostawiającej śladów przemocy i nie różniącej się od utonięcia, przewiezienia jej ciała poniżej płycizn karadżalarskich i wrzucenia zwłok do wody w okolicach Karatakli lub Aghtakli. Zastanówmy się nad tym ostatnim przypuszczeniem i wskażmy jego nieprawdopodobieństwa. Tajemniczy, nieznani zabójcy, którzy zdaniem sądu wynieśli zwłoki Niny Andriejewskiej i mieli odpowiednie środki, by je przewieźć, powinni się martwić tym, gdzie złożyć zwłoki, nie dać poznać, że została zabita, tylko sugerować, że utonęła. Po co przewieźli ciało ponad

dwadzieścia wiorst [ponad dwadzieścia jeden kilometrów] i opuścili je w jednym z licznych zejść do Kury, dwie wiorsty [nieco ponad dwa kilometry] za Taklami, gdzie droga od Kury podchodzi do niej na odległość osiemdziesięciu sążni [prawie stu siedemdziesięciu metrów] i gdzie przejezdni poją bydło? Trzeba przyznać, że ci, którzy bardzo przezornie i przebiegle wymyślili przestępstwo, okazali się bardzo głupi, jeśli chodzi o jego ukrywanie. Dlaczego powierzyli ciało wodzie, tak bystrej, że nie ukrywała powierzonego jej bagażu? Ubranie pozostawione na brzegu sugerowało utonięcie. Badanie, czy doszło do przestępstwa, byłoby wstrzymane do momentu wypłynięcia zwłok. Bywa, że zwłoki przebywające w małych rzekach nigdy nie wypływają. Są w jakimś odosobnionym miejscu, w jamie, parowie albo między krzakami. Nikt o nich by się nie dowiedział. Jeżeli ci tajemniczy zabójcy wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowili wrzucić zwłoki do rzeki, by sugerować utonięcie, to, po pierwsze, powinni rozebrać Andriejewską do naga. Nie powinni zostawiać bransoletek i medalionu, powinni zdjąć bieliznę, bo kąpiel w bieliźnie – także wśród kobiet – jest czymś wyjątkowym. Mogli o tym wiedzieć matka, siostra, ale także niedawno przyjęci służący Szarwaszidzego i Dawid Czchotua. Po drugie, po obejrzeniu dróg mogli się zorientować, że jest zejście do rzeki kilka wiorst [kilometrów] za miejscowością Nawtlugha, za domem Tamamszewa, i trochę dalej, koło cerkwi św. Barbary. W protokole oględzin miejsca stwierdzono, że zejście do wody jest strome i że w pobliżu są budynki. Stromością zejścia nikogo się w Tyflisie nie przestraszy, a co do budynków – to ich przeznaczenia nie określono i nie podano odległości od zejścia, a przywiezienie zwłok nocą do zejścia w pobliżu budynków jest niemożliwe. Takie są przypuszczenia. Należy zatem wątpić, by zwłoki Andriejewskiej zostały wywiezione i wrzucone do wody za Aghtaklą, za dwoma płyciznami. A więc i ta druga poszlaka rozpływa się jak dym w niebyt, w marzenie wyobraźni. Pozostaje jeszcze trzecia poszlaka. Zejście do rzeki przy domu Szarwaszidzego było bardzo strome i trudne do pokonania nawet w dzień, a co dopiero nocą. Od połowy zejścia po ścieżce płynęła woda wydobywająca się ze źródła. Rzeczy Andriejewskiej, przede wszystkim trzewiki, powinny być zabłocone albo chociaż mokre. Tymczasem znaleziono je czyste i suche. Zanalizujmy ostatnią z poszlak, rzekomo dowodzących, że do kąpieli faktycznie nie mogło dojść, a zatem że Nina Andriejewska nie mogła utonąć.

Przed oknem w pokoju na parterze w domu Szarwaszidzego znajduje się placyk. Jest na nim ścieżka, biegnąca przez urwisko do rzeki, jak to bywa, stroma, w kształcie odwróconej litery S. Długość ścieżki (do rzeki) wynosi pięć sążni [prawie jedenaście metrów]. Trzeba też uwzględnić placyk prowadzący do urwiska. Długość urwiska od placyku do powierzchni wody to w prostej linii dwa [ponad cztery metry] lub dwa i pół [ponad pięć metrów] sążnia, to jest jak zejście z dachu parterowego niedużego domku. Pierwszy zygzak, stanowiący połowę litery S, idzie po porośniętym zielenią twardym i suchym gruncie, nie jest szczególnie stromy. Schodziłem tamtędy bez trudności. Mówiono o tym i jest to zapisane w protokole śledztwa sądowego, ale w sposób dość nieokreślony i niejasny. Zapis mówi o tym, że gdy w domu umieszczono szpital Czerwonego Krzyża, zrobiono wykop, a ścieżkę poszerzono. Nie wiem, czy ta część zejścia się zmieniła. Być może słowo „wykop” odnosi się do drugiej części zejścia. Stróż, który mnie prowadził, twierdził, że pierwsza (górna) połowa zejścia nie była zmieniona. Druga część zejścia (drugi zygzak) była nieco poprawiana, co nie zmieniło jego wyglądu, ale ułatwiło zejście. Zrobiono horyzontalne nacięcia w formie stopni. Kiedy byłem tam we wrześniu, kamyków nie było. Nie ma ich także teraz. Z protokołu z 27 lutego [11 marca] wynika jednak, że miałki szuter, który pozostał najpewniej po nacięciach, przeszkadzał dokonującym oględzin. Po stopniach schodzi się łatwiej, wówczas było trudniej. Czy ja, pięćdziesięciolatek, ryzykowałbym wtedy schodzenie – nie wiem, być może bym nie ryzykował, ale rozumiem, że trudności to pojęcie względne. O ile dla nas zejście byłoby czymś trudnym, bo jesteśmy przy tuszy i – co istotne – mniej sprawne są nasze mięśnie i kości, o tyle dla młodej, żwawej i odważnej, wychowanej nie dla salonów, ale mającej męski umysł i silną wolę dziewczyny było niczym. To prawda, że zejście jest trudniejsze nocą, ale przypominam, że było to w ogrodzie domu, gdzie Nina Andriejewska mieszkała cały tydzień i że noc wprawdzie była pochmurna, ale księżycowa, więc dająca pełną możliwość orientacji. Schodzili przecież po tej ścieżce w czasie poszukiwania Niny bracia Czchotua. Schodzili też Cinamzgarow, policmajster Melik-Beglarow, Isarłow i sam śledczy. Bellik i Sułchanow zeszli tylko do połowy, do źródelka. Wszyscy się żalili i skarżyli na ból w plecach. Niektórzy w czasie zejścia korzystali z pomocy policjantów. Niemniej jednak twierdzę, że zejście było możliwe do pokonania i nie niebezpieczne, że do niższego placyku na skale, długiego na dwanaście kroków<sup>12</sup> [nieco ponad osiem i pół



metra] i szerokiego na pięć [ponad trzy i pół metra], z którego było zejście do rzeki, Nina Andriejewska mogła zejść i spełnić swój zamiar, co nie wymagało akrobatycznych predyspozycji, tylko zdrowych i sprawnych mięśni. Możliwość taką potwierdziły zeznania Warwary Tumanowej. Tumanowa powiedziała, że w dniu wypadku Andriejewska chodziła po zejściu i wypytywała o miejsca do kąpiei. Także Sąd Okręgowy nie uznał strome go zejścia za jeden z dowodów winy, zaliczył do nich tylko czyste i suche trzewiki. Przechodzę właśnie do nich i stwierdzam.

Na placyku przy brzegu leżały we wzorowym porządku trzewiki, co sugerowało chęć kąpiei albo nader wyrafinowane, pomysłowe i wymyślone z zimną krwią zaaranżowane odtworzenie przygotowań do kąpiei – pasek, potem koszulka, na niej suknia z brudnymi plamami i rozerwanym dołem, a obok sukni para znoszonych trzewików, ustawionych w szeregu noskami do rzeki, ale suchych. W protokole sporządzonym o wpół do piątej rano zaznaczono, że na trzewikach nie ma śladów zaschniętego błota. Główni świadkowie, Cinamzgwarow i Melik-Beglarow, powiedzieli, że 22 lipca [3 sierpnia] z połowy wysokości urwiska ściekała woda ze źródła. Tej wody było więcej niż teraz, ponieważ źródło wyłożono cegłami, więc woda cieknie strużką, a wówczas ciekła prawdopodobnie zwartym, cienkim strumyczkiem. Melik-Beglarow stwierdził, że po zejściu do rzeki po ścieżce miał zabłocone buty, tymczasem trzewiki były czerwone, z wyraźnymi śladami zieleni. Cinamzgwarow również twierdził, że na podszewkach były wyraźne ślady trawy i zieleni. Ten ślad był jak promień światła, bo od tej chwili Cinamzgwarow uznał, że popełniono przestępstwo. Żeby ocenić znaczenie tego śladu, oddzielić od zaciemniających go subiektywnych poglądów, będziemy musieli uwzględnić czas obserwacji, a także właściwości zarówno gruntu, jak i ściekającej w lecie wody, gdy nie padał deszcz. Muszę nadmienić, że w Tyflisie grunt jest skalisty, a błoto może się pojawić po deszczu. Nie ma go i nie może być na skalistym gruncie nawet tam, gdzie są źródła, chyba że to błoto tworzy się sztucznie, gdy deptając nogami jedno i to samo miejsce, rozbełtuje się sącząca wodę. Zdaję sobie sprawę, że teraz, gdy źródło jest wyłożone cegłą i spływa jedną strużką, czyli strumyczkiem pełnym wody, który wielokrotnie można przechodzić, i to całą gromadą, można go zmącić i mieć na butach ślady łupku i mułu. Jeśli jednak po tym czystym strumieniu idzie tylko jedna osoba, to może się tylko zmoczyć, a nie ubrudzić, tym bardziej wówczas, gdy woda cienką

i szeroką warstwą pokrywała skalisty bok urwiska. Co się tyczy brudnych butów Melika-Beglarowa – jeśli świadkowie przypomnieli sobie, że je im pokazywał, to myślę, że mógł je sobie zabrudzić dlatego, że był na urwisku w szczególnych okolicznościach, 22 czerwca [4 lipca]. Już po braciach Czchotua, Cinamzgwarowie, Belliku, Sułchanowie i jeszcze nie wiadomo kim, kiedy całą skałę pokrywały rozdeptane i rozmazane ślady butów. Uważam więc, że nie trzeba szukać błota, nie na nim się skupiać, tylko mieć na uwadze przede wszystkim suchość lub mokrość. Wiadomo, że klimat Tyflisu należy do najbardziej suchych klimatów na świecie, szczególnie latem w końcu skwarne lipca [na początku sierpnia], gdy panują trzydziestostopniowe upały. Od wpół do dziewiątej rano do wpół do piątej po południu, w czasie kiedy Kobijew pisał protokół, przeszło siedem godzin, każde buty by wyschły. W kwestii ich mokrości ograniczymy się tylko do zeznań Cinamzgwarowa i Melika-Beglarowa. Obydwaj dokonywali oględzin późno, nie w świetle dnia, nawet nie w pokoju, lecz na placyku, gdzie rzeczy leżały aż do przybycia śledczego Kobijewa.

Zgodzą się panowie sędziowie, że te warunki zdecydowanie nie sprzyjały rozpoznaniu kolorów. Na podstawie pierwszego zeznania Cinamzgwarowa, złożonego 30 października [11 listopada], określiłem czas wydarzeń: śledczy dowiedzieli się o wydarzeniach około północy, o wpół do pierwszej. O pierwszej razem z Melikiem-Beglarowem pojechali do Warwary Andriejewskiej. Obaj widzieli placyk i trzewiki około wpół do drugiej, mniej więcej cztery godziny po zniknięciu Niny, gdy nieznacznie mokre trzewiki mogły wyschnąć. Jeśli jednak ich zeznania uznamy za najszczerzą prawdę, to wniosek jest taki, że podeszwy trzewików były bardzo mokre i zostały zmoczone właśnie w źródleku. Podeszwy znoszonych trzewików są szarozółte, w kolorze ochry, tymczasem Melikowi-Beglarowowi podeszwy wydawały się czerwone. Cinamzgwarow stwierdził, że podeszwy były czerwone. Gdy się zmoczy starą i martwą skórę, zawsze będzie ciemnoczerwona i brązowawa. Co się tyczy zieleni – nie da się jej wyjaśnić inaczej niż zetknięciem z oślizłymi wodorostami w wodzie. Ich nitki zawsze znajdują się w mule, na skalistym gruncie, koło źródłek. Nina Andriejewska nie przebywała w miejscu, gdzie do podeszwy mogła się przyczepić zieleń. Zieleń ogrodu w końcu lipca [na początku sierpnia] nie była soczysta, więc ślad zieleni, potwierdzony przeprowadzoną ekspertyzą, musiał mieć związek z wodorostami na

ścieżce. Także ciemnobrązowy kolor podeszew wyraźnie wskazuje, że Nina Andriejewska przeszła przez źródółko.

Warto zwrócić uwagę, że Kobijew, który o wpół do czwartej rano w obecności Cinamzgwarowa i Melika-Beglarowa oglądał trzewiki, o śladach zieleni nie wspomniał w protokole. Wnioskuje więc, że nie było ich widać i że po przejściu przez tyle rąk się starły. Tak jak mogły się zetrzeć ślady błota na trzewikach (jeśli te ślady były, to oczywiście bardzo powierzchowne). Załóżmy, że ślady zieleni były, a to oznacza udział źródółka w ich powstaniu, a zniknięcie świadczy o tym, że po przejściu przez wiele rąk trzewiki straciły wszystkie charakterystyczne właściwości, które miały na placyku. Albo zieleni nie było, bo oglądano trzewiki w pośpiechu, przy świecy lub pochodni. Cinamzgwarow czy też Melik-Beglarow zobaczyli to, czego nie było. Zieleni im się przywidziała, ale w takim razie i ich zeznania o suchości podeszew nie wzbudzają zaufania. Nie wiadomo, czym się charakteryzowały trzewiki. Do piątej rano zdążyły na pewno wyschnąć. Zaistniała więc okoliczność na tyle ważna, że początkowo przyjęto ją jako dowód rozstrzygający popełnienia przestępstwa. Osoby, które to odkryły, natychmiast zaczęły dokonywać rewizji, aresztowań, zaczęły budować zamki na lodzie hipotez, by wyjaśnić motywy. Samej okoliczności jednak nie stwierdziły jak należy, nie opisały jej. Z punktu widzenia prawa karnego jest więc niezbyt istotna. Z tej ni to tłustej, ni to krwawej plamy nawet najskrupulatniejszy chemik niczego nie zdoła wywnioskować. Tymczasem to jest jedyna cegła, na której w najbardziej chwiejnej równowadze trzyma się cały budynek, cała piramida oskarżenia, mająca wbrew statyce wąską podstawę i szeroki wierzchołek.

Po analizie poszlaki związanej z trzewikami o fizycznej niemożliwości utonięcia nie może być mowy. Pozostają rozważania zapożyczone już nie z fizyki i statyki, ale raczej bliższe psychologii. Chodzi o cechy rozumu i charakteru, które według sądu przeszkadzały młodej dziewczynie się kąpać, o jej przyzwyczajenia, dlatego że nie mogła się kąpać w bieliźnie, nie mogła się też kąpać w czasie menstruacji. Te psychologiczne problemy trudniej rozstrzygać niż fizyczne. Działalność człowieka nie jest czysto refleksyjna. Jest w niej element *X* – niewiadoma. Jedni nazywają go dowolnością sądów, a drudzy zdolnością przeciwstawiania motywom zewnętrznym tej niezliczonej mnogości idei i wyobrażeń, które tworzą treść naszej świadomości. Niemniej i tę nową kategorię poszlak, poszlak

fizyczno-psychologicznych, mizernych i niejasnych, powinno się zanalizować i je usunąć. Przypuszczam, że zostaną usunięte z większą łatwością aniżeli poszlaki zaczerpnięte z praw fizyki i właściwości materii.

W *visum repertum* z 25 lipca [6 sierpnia] 1876 roku znajdują się następujące słowa: błona śluzowa pochwy błada. Ten nie zauważony fakt ma wielkie znaczenie. Dowodzi mianowicie, że w chwili kąpieli nie tylko minęła menstruacja. Nie było wydzieliny z pochwy albo, w ostateczności, po menstruacji pojawiła się wydzielina. Jej ślady znaleziono na prawym rękawie koszulki, ale nie znaleziono na pantalonach.

Praczką Zujewa zeznała, że Andriejewska miała miesiączkę w hotelu, w którym, jak wiadomo, zatrzymała się 29 czerwca [11 lipca]. Miesiączki miała co trzy tygodnie, więc niedługo przed dniem zabójstwa powinna miesiączkować. I tak rzeczywiście było. Dwa lub trzy dni przed zabójstwem, 19 [31 lipca] albo 20 lipca [1 sierpnia], Zujewa dostała do prania bieliznę, w tym znaną jej bieliznę kobiecą. Była zakrwawiona, z czego wywnioskowała, że Nina miała miesiączkę pięć dni przed zabójstwem, czyli około 17 [29] lipca. Z tego, że bieliznę oddano do prania, mogę wyciągnąć wniosek, że Nina przestała miesiączkować. Każdy lekarz potwierdzi, że miesiączka może trwać pięć dni. Dwudziestego drugiego lipca [trzeciego sierpnia] Andriejewska była u praczki. Poprosiła o bezzwłoczne upranie bielizny. Praczka się zgodziła. Upraną bieliznę otrzymała Bezirganowa i zapłaciła za usługę dwa ruble i pięćdziesiąt kopiejek.

W myśli nowej ekspertyzy w chwili kąpieli Nina Andriejewska już nie krwawiła. Proszę się teraz wczuć w położenie schludnej kobiety, której dopiero co skończyła się miesiączka. Mogła mieć niepowstrzymaną fizjologiczną potrzebę wymycia się, bez względu na to, czy była osobą odpowiedzialną, czy też nieodpowiedzialną. Kiedy pojawia się potrzeba fizjologiczna, to rozważania o cechach umysłu i charakteru są nonsensem.

A mając możliwość kąpieli, Nina, nic nikomu nie mówiąc, wybrała się nad Kurę. To naturalne. Jeśli ktoś jest głodny, to pójdzie coś zjeść do pierwszej z brzegu traktierni. Na korzyść tego przypuszczenia przemawia nie tylko żywy i niepokromiony charakter Niny czy jej wszystkim znana i przez wszystkich potwierdzana ekscentryczność, ale i wiele dowodów występujących w sprawie. Stale była zajęta myślą o kąpieli w Kurze i korciło ją, by się zanurzyć w nurcie rzeki. Tego dotyczą rozmowy Niny Andriejewskiej z różnymi osobami – o brudnej wodzie w Kurze i o tym, że

nie zdecydowałyby się na kąpiel. Z wypowiedzi Awtandiłowa, Sułchanowa i innych wynika, że rozmawiała tylko o tej kwestii. A że odnosiła się do kąpieli negatywnie? Dziewięć dziewczyn na dziesięć negatywnie mówiłoby o ekscentrycznej eskapadzie, na przykład o pójściu na maskaradę lub na piknik. Nie można oczekiwać od Niny, że powie: ja i tak pójdę się kąpać. Nie można oczekiwać, że powie: ja w takim razie będę się kąpać.

Tego rodzaju oświadczenie graniczyłoby z idiotyzmem, prostactwem albo z czymś więcej niż kokieterią. Ani jedno, ani drugie nie leżało w charakterze Niny Andriejewskiej.

Jak mówiła jej matka, Warwara Andriejewska, z obcymi prowadziła tylko rozmowy, nie otwierała się, ale w kontaktach z bliskimi się nie kryła i nie dyplomatyzowała. Matce powiedziała wprost, że raz spróbuje się w Kurze wykąpać. Proszę sobie przypomnieć zeznania złożone w śledztwie sądowym przez Warwarę Tumanową. Tumanowa powiedziała, że w 1866 roku w Kisłowodzku Nina Andriejewska kąpała się w miejscach, w których nie kąpaliby się nawet mężczyźni. Proszę sobie przypomnieć, co Tumanowej powiedziała Warwara Andriejewska. Rano, dzień po wypadku, 23 lipca [4 sierpnia], usłyszała od służącej, że 22 lipca [3 sierpnia] Nina zeszła nad rzekę i rozpytywała Nikołaja Czchotę i tę właśnie służącą, gdzie jest płycej. Mogą więc panowie uwierzyć w słowa braci Czchotua, że Andriejewska mówiła im, iż chce się wykąpać. Tumanowa twierdziła przecie, że całkiem to do Niny podobne, że poszła się kąpać o dziesiątej wieczorem.

Jeśli rzeczywiście zdecydowała się wykąpać, to powinna zdjąć bieliznę. I powinna mieć ręcznik do wytarcia. Tak uważały osoby z towarzystwa, znajomi i krewni, na przykład Ketewana Orbeliani, ale one znały życie w wiadomym domu tylko z zewnątrz, od wejścia z frontowego skrzydła. Jeśli przyjmiemy, że zabójcy Niny Andriejewskiej chcieli upozorować utonięcie i na płacyku ułożyli ubranie w kolejności zdejmowania, to powinni także zdjąć bieliznę, tym bardziej że nie była zakrwawiona, z wyjątkiem nieznacznych plamek świadczących, że była zabrudzona, gdy Nina ją wkładała. Śledztwo sądowe, panowie sędziowie, ma swoje prerogatywy. Wchodzi tylnymi drzwiami i obserwuje człowieka *en déshabillé*. Takich niespodzianek, zaprzeczających utartemu pojmowaniu komfortu w bogatej rodzinie, jest tutaj wiele. Bielizna Niny Andriejewskiej była siermiężna i mocno znoszona. Pantalony miały łąty w tylnej części i na kolanach, a koszulkę pstrzyły krwawe plamki. Do tego nieeleganckie

trzewiki z pokrzywionymi obcasami. Z zeznań Warwary Andriejewskiej wynika – proszę o wybaczenie, że wdaję się w szczegóły, ale sądowi nie jest właściwe uczucie wstydlivosti – że jej córka wylewała za okno zawartość nocnika. Bagaż, z którym Nina przyjechała do Tyflisu, był mały. Można więc przypuszczać, że nie miała gąbki ani drugiego ręcznika. Pomyślała, że po zdjęciu koszulki i pantalonów włoży sukienkę, kaftanik, a na bosc stopy znoszone trzewiki i tak ubrana wróci do domu. Nie ulega najmniejszej wątplivosti, że Nina Andriejewska kąpała się w bieliźnie. Była noc, ale znajdowała się w mieście. Była sprytną dziewczyną, amazonką, artystką, czytelniczką Haeckla i Darwina, wyróżniała się ostrością języka i śmiałością uczynków, ale cechowała ją skrajna nieśmiałość, wstydlivosc. Była kimś w rodzaju Karola XII<sup>13</sup>. Marzyła, by do końca życia pozostać dziewicą. Jej wstydlivosc była tak wielka, że nawet w łaźni miała na sobie koszulkę. Stara służąca Chonczikaszwili mówi: „Raz byłam w bani z paniami Andriejewskimi. Panienska parzyła się w koszulce i dopiero później się rozebrała”. Warwara Andriejewska zapewniała, że córka zawsze myła się w koszulce. Nie widywała Niny owiniętej ręcznikiem czy w samej koszulce, zawsze była całkiem ubrana. Jeżeli rodzona matka, która koniec końców uwierzyła w zabójstwo, twierdziła, że Nina mogła zejść do rzeki w samych pończochach, bez trzewików, że mogła nie zdjąć bielizny i nie brać ze sobą ręcznika, to jakim prawem i na jakiej zasadzie mógł zwątpić w to sąd, nie znający Niny Andriejewskiej tak jak rodzona matka? Spuszczone pończochy nic nie znaczą, jeżeli zwłoki choćby krótki czas płynęły do przodu głową, a nie nogami, a nie wiadomo, jak płynęły, nim zobaczył je Pidua. Tak więc również te poszlaki przepadają. Prawnicy średniowieczni, by udowodnić zabójstwo, potrzebowali ciała zabitej osoby, *corpus delicti*. Tutaj jest *corpus*, ale bardzo wątpliwe, czy jest to *corpus delicti*.

Być może Andriejewską utopiono, być może została uduszona, ale bez uciskania gardła, a jednym ze sposobów, znanych z powieści, mogło być zaklejenie ust plastrem i przerwanie oddychania, ale niewykluczone, że utonęła. Żeby wykazać zabójstwo, trzeba udowodnić, że zabili ją konkretni ludzie, pochwycić ich na uczynku zabijania, a potem trzeba dociec, jaki cel miało zabójstwo, nie ma bowiem działania bez przyczyny i przestępstwa bez motywu. Konieczne są dowody nie samego czynu, lecz przestępnego działania oskarżonych. Takich dowodów nie ma, akt działania przestępnego pokrywa całkowity mrok. Poszlaki odnoszą się albo do strefy przygotowań,

albo sfery ukrywania śladów przestępstwa. O motywach nikt nie myśli, po co więc ich poszukiwać. Prawdopodobnie uważa się, że jest to zbyteczne. Jeśli moje poprzednie argumenty zdołały w jakiś sposób zachwiać przekonaniem w istnienie *corpus delicti*, to oczywiście reszta analizy działań przygotowawczych do czynu (którego być może nie było) albo działań ochronnych (gdy dochodzenie wisiało już nad głowami podejrzanym) nie ma znaczenia.

Powinienem jednak się zmierzyć z poszlakami przeciwko każdemu z oskarżonych, żeby pokazać, że to pseudoposzlaki, przemyślane zmyślenie, że ze względu na z góry powzięte przekonanie każdy mało znaczący przedmiot stawał się narzędziem (siekiera albo rewolwer) użytym przeciwko podsądnym, a w szczególności przeciwko głównemu z nich, Dawidowi Czchotui, dlatego że o pozostałych mało myśłano.

Najpierw przeanalizuję poszlaki przeciwko Dawidowi Czchotui. Podzielę je na te związane z przygotowaniem do zbrodni i te po zbrodni. Postaram się wykazać, że tylko pierwsze miałyby znaczenie.

Główną poszlaką są psy. W domu Szarwaszidzego było ich pięć lub sześć. Były bardzo groźne, gryzły, nie wpuszczały postronnych osób, ale domowników znały. Prawdopodobnie panie Andriejewskie przywykły do nich, nie ma bowiem informacji, że obawiały się psów czy że po ich przyjeździe psy starano się uspokoić. Inni wchodzili na dziedziniec tylko w towarzystwie domowników, najczęściej ogrodnika Mgeladzego, który mieszkał w stróżówce przy wejściu na dziedziniec. Jeden pies był szczególnie groźny. Był też największy i najsilniejszy. Świadek Kadurin zeznał, że tydzień przed wypadkiem, dokładnie wtedy, kiedy panie Andriejewskie zamieszkały w domu Szarwaszidzego, Dawid Czchotua prosił go o truciznę, by otruć psa, gdyż mógł się rozwścieczyć. Kadurin poradził Czchotui, żeby z tym poczekał. Są jeszcze wcześniejsze zeznania, że psów się obawiano. W zapiskach rachunkowych Dawida Czchotuy numer 22 z 21 czerwca [3 lipca] jest informacja, że weterynarz otrzymał dwa ruble za leczenie psów. Tak się zdarzyło, że wcześniejszy zamiar uśpienia psa Dawid Czchotua urzeczywistnił akurat fatalnego dnia 22 lipca [3 sierpnia]. Wieczorem tego właśnie dnia, o ósmej rano, kazał ogrodnikowi Mgeladzemu zabić psa. Mgeladze uczynił to pałką, którą znaleziono 23 lipca [4 sierpnia] rano w kuchni. Była zakrwawiona i oblepiona sierścią. Ale w wyobraźni Cinamzgwarowa, obecnego w czasie oględzin, pałka

zmieniła się w siekierę (o siekierze mówił 30 października [11 listopada] w trakcie zeznań w sądzie).

Pozostałe psy przycichły, nie czekały. Po tym, co spotkało przewodzącego stada brata, to naturalne. Czy były zamknięte, czy tylko gdzieś przywarowały, nie wiadomo. Być może ich nie zamknięto i dlatego jeden z nich wpadł pod nogi Warwarze Tumanowej, która przyjechała o wpół do jedenastej wieczorem. Nieobecność psów w noc wypadku zwróciła uwagę i zrodziła przypuszczenie, że psy były zamknięte. I to zamknięte na polecenie Czchotuy. Wiedzą to tylko Dawid Czchotua i Mgeladze, ale w czasie śledztwa fakt ten został uzupełniony najdrobniejszymi szczegółami. Mówiono na przykład o jakimś wywróconym korycie z pomyjami, o podparciu drzwi stróżówki polanem. Tu jednak zachodzi taka okoliczność, że zeznania Mgeladzego sąd uznał za udużnione opowiadki wymuszone alkoholem i przekupstwem. Mgeladze zmarł. Sprawa zamknięcia psów wyjaśniła się dzięki innym źródłom – zeznaniom Cinamzgwarowa i Melika-Beglarowa, którzy rozpytywali i służącą, i Dawida Czchotę o obecność psów nocą w ogrodzie, oraz zeznaniom innych osób później rozmawiających z Dawidem Czchotua o psach. Co do Cinamzgwarowa i Melika-Beglarowa, ich rolę zanalizuję w innym miejscu. Właściwie nie byli świadkami. Stworzyli legendę o tajemniczych nieznajomych, o powozach itd. Jest też wiele zeznań, które miały związek z Dawidem Czchotua, gdy stał się kandydatem na więźnia, gdy uznano go za skazanego i już pogrzebanego. Jeśli panowie sędziowie przeczytają te zeznania, nie znajdą w nich nic, co by wskazywało, że Czchotua kazał zamknąć psy. Takie są zeznania Umikowa, Melikowa, Iwana Meschiego, Mozgwarowa. Wszyscy zeznali, że na pytanie o zamknięcie psów Czchotua odpowiadał: „Jeśli nawet je zamknięto, to dlatego, żeby nie gryzły i nie przeszkadzały w poszukiwaniach”. Można powątpiewać, czy na polecenie Dawida Czchotuy Mgeladze zamknął psy. Być może ich nie zamykano. Pewne jest tylko to, że największy pies został zabity. Co z tego wynika? Że Dawid Czchotua starał się ułatwić spokojny dostęp do ogrodu tajemniczym nieznajomym? Czyli komu? Czy udowodniono istnienie tych nieznajomych, czy oni nie są legendą? Panowie sędziowie, dopuszczono się tutaj moim zdaniem takiego nielogicznego chwytu: zamykaniem psów dowodzi się wejścia nieznajomych, a wejściem nieznajomych tłumaczy się zamknięcie psów. Powstaje równanie z dwiema niewiadomymi bez znanych wielkości. Zamykanie psów traci zaś sens,



skoro się dopuszcza, co stwierdzono w wyroku, że Ninę Andriejewską zabiły i cztery osoby spośród domowników, i bodaj cztery nieznane osoby. Panowie sędziowie, by poradzić sobie z dwudziestopięcioletnią dziewczyną, nie potrzeba ośmiu osób, wystarczą dwie albo trzy. Jeżeli w zmowie byli domownicy, bracia Czchotua, Koridze, Mgeladze i Gabisonia, to po zabiciu Niny Andriejewskiej w celu ukrycia zwłok mogli je podać nieznanym przez wejście na dziedziniec. Ale w takim razie po co zabijać psa, przecież zarówno dziedziniec, jak i wejście znajdowały się pod obserwacją Warwary Andriejewskiej. Jeśli zaś zabójstwa dokonały nieznane osoby, to nie tylko psy należało ukryć i usunąć, ale i Koridzego, i Mgeladzego, i Gabisonię. Nie pojmuję więc, dlaczego Gabisonia siedzi na ławie oskarżonych. Wystarczyło posadzić Dawida Czchotę. Poszlaka dotycząca psów jest zbyt niejasna i można ją interpretować na różne sposoby.

Jakie? Spodnie, plastry na odciski i krawat wymyślono, by stworzyć fałszywe alibi. Albo niczego nie pojmuję w sprawach kryminalnych, albo w kwestii alibi istnieje dziwne nieporozumienie. Przyznaję się, że tego alibi nie jestem w stanie zrozumieć. Sądzę, że ta poszlaka nie jest poszlaką, przypomina skrzydło wiatraka, z którym na serio walczyło oskarżenie, nie podejrzewając, że jest martwą rzeczą.

Alibi to dowód, że oskarżony w czasie popełnienia przestępstwa był w innym miejscu. Przestępstwo popełniono w półgodzinnym przedziale czasu, między momentem, w którym Nina Andriejewska wyszła ze świecą z pokoju matki, a momentem, w którym Warwara Andriejewska zaczęła szukać córki. Sąd określił ten przedział czasu – to od po dziewiątej wieczorem do dziewiątej i trzech kwadransów. Dokładne określenie nie jest możliwe. Dawid Czchotua mógł być przekonany, że wrócił do domu za kwadrans jedenasta, ale najważniejsze jest to, że już spał lub przygotowywał się do spania w chwili rozpoczęcia poszukiwań, czyli za kwadrans dziesiąta. Przedtem wrócił do domu, rozebrał się i położył spać, na co trzeba pół godziny, więc niewątpliwie był w swoim pokoju w tej wyjątkowej, potrzebnej do pozbawienia życia Niny Andriejewskiej półgodzinie, poza którą przestępstwo było niemożliwe.

Poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, gdzie był Czchotua wieczorem, nim wrócił do domu, nie ma odniesienia do jego alibi. Jest to tak samo zbędne, jak na przykład szukanie odpowiedzi na pytanie, co jadł na obiad, rybę czy wołowinę, albo w jakim był surducie, szarym czy czarnym.

Czyżby Czchotua nie jadł kolacji w hotelu Europa, chociaż nie przeprowadzono w tej kwestii śledztwa, i wieczorem 22 lipca [3 sierpnia] nie kupował w aptece u prowizora Kandelakiego chininy ani plastrów na odciski, ale dopiero rano, chociaż zapis w księdze rachunkowej tego nie pokazuje, nie wiadomo bowiem, czy dane o sprzedanych medykamentach zapisywano od razu, czy później. Załóżmy jednak, że w tej kwestii Czchotua skłamał. Być może krawat i fular kupił u Czaruchczianca nie 22 lipca [3 sierpnia], lecz 23 lipca [4 sierpnia], chociaż takie fulary sprzedawano i 21 [2 sierpnia], i 22 [3 sierpnia] i chociaż z zeznań Czaruchczianców, ojca i syna, a także z ksiąg rachunkowych wynika, że fular mógł być kupiony 22 lipca [3 sierpnia] przed pożarem, co oczywiste, bo pożar wybuchł w czasie zniknięcia Niny Andriejewskiej. Takiego samego rodzaju problemem jest sprawa spodni. Najbardziej zaszkodziła Czchotui. Chodziło o podejrzenie o spreparowanie dowodu i o kłótnię między Dawidem Czchotua a krawcem Kapanidzem. Skutek był taki, że Kapanidze i jego subiekt Mdiwani podczas śledztwa wstępnego zeznali, że Dawid Czchotua nie zostawił u nich spodni. Sprawdzili księgi rachunkowe i przeszukali magazyn sklepowy. Podczas śledztwa sądowego Kapanidze, Mdiwani i Szachnabazow, inny subiekt, okazali spodnie Czchotuy, które jakoby zapodziały się między starymi rzeczami. Od tej chwili ta sprawa przestaje być zwyczajna, bo fałszywe dowody przechodzą bez echa, natomiast prawdziwe uznaje się za fałszywe, na przykład znalezienie spodni, które zaliczam do grupy najprawdziwszych faktów dlatego, że te spodnie nie mają związku ze sprawą, więc Czchotua nie miał interesu, by wspólnie z wymienioną trójką spreparować ten fakt. Moim zdaniem wyglądało to tak. Kiedy w niejawnej sprawie, przestępstwie, którego charakter zdumiewał i przerażał, wszczęto sekretne dochodzenie we wszystkich kierunkach, każdy, z wyjątkiem detektywów amatorów, starał się ze wszystkich sił, by nie posądzono go o styczność z zabójcami. Z tchórzostwa i małoduszności Kapanidze i Mdiwani przemilczeli sprawę spodni, ale kiedy sprawa ta trafiła do sądu, a Szachnabazow przeczytał akt oskarżenia, wszyscy zrozumieli, o co chodzi, jakie znaczenie mają spodnie, zrobiło się im przykro, że być może niesłusznie zaszkadzili Dawidowi Czchotui. W interesie prawdy okazali spodnie, ale wyświadczyli Czchotui niedźwiedzią przysługę. Ich spóźnione wyznanie odrzucono jako wynik kłótni z Dawidem Czchotua. Zostawmy zatem ten bezproduktywny spór. Przypuśćmy, że Dawid Czchotua skłamał. Co z tego wynika dla sprawy

zabójstwa? Czy sąd ma się wypowiadać w kwestii moralności i grzeszków Czchotuy? Pozostawmy tę sprawę jego spowiednikowi. Czyż nie znamy notorycznych kłamców, kłamców bez powodu, kłamców, którzy stale i bezinteresownie kłamią? Nikt ich jeszcze nie sądził tak jak za zabójstwo. Mało tego, panowie sędziowie także nie mogą ustosunkowywać się do tego kłamstwa, nie mogą go potępić i być nim oburzeni. Panowie powinni wyeliminować tę okoliczność jako nie należącą do sprawy, bo panowie sędziowie są sługami prawa, sądzą zgodnie z prawem, a ściganie oskarżonego tylko za to, że kłamał, jest sprzeczne z duchem ustaw sądowych. W myśl starej, inkwizycyjnej procedury starano się przede wszystkim doprowadzić do tego, by podsądny przyznał się do winy. Jego szczerłość lub nieszczerłość odgrywała dużą rolę. Dowodem winy było złożenie w śledztwie sprzecznych, a właściwie kłamliwych czy fałszywych zeznań. Proces inkwizycyjny zastąpiono procesem z udziałem stron. Pierwszym warunkiem rozprawy jest swoboda działania. Podsądny może korzystać z dowolnych środków obrony. Nikt nie może mu zabronić posługiwania się nawet kłamstwem – *summum ius summa iniuria* (pełnia prawa to szczyt niesprawiedliwości). W myśl nowych reguł (przepraszam za trywialne słowa) podsądny może się bronić, jak mu wygodnie, może kłamać, ile zapragnie. Sędzia będzie wiedział, że wszystko wyszło na jaw i że intryga nie pozostała ukryta. Nie weźmie pod uwagę słów podsądnego, bo jako słowa zainteresowanego są podejrzane, weźmie pod uwagę okoliczności sprawy, fakty, ale nie kłamstwa podsądnego i jego zachowanie w śledztwie. W sądzie przysięgłych zeznania podsądnego złożone w śledztwie nie są czytane, więc nie wiadomo, jak się bronił w śledztwie. Jeśli podsądny będzie kłamał także i na rozprawie, żaden przedstawiciel prawa nie przerwie mu i nie będzie wyjaśniał przysięgłym, żeby na te kłamstwa nie zwracali uwagi. Wie, że do prawdy można dojść rozumem, choć podsądny czynił wszystko, by ukryć prawdę. Nie zmusi go jednak do przyznania się. W sądzie bez przysięgłych istnieje środek zapobiegający oburzeniu i irytacji z powodu kłamstwa: uzasadnienie wyroku. Podsądny, broniąc się, do czego ma prawo, przedstawia alibi. To alibi, jako bezpodstawne, zostaje odrzucone. Okazuje się, że podsądny był na miejscu przestępstwa w chwili popełniania go, był w domu Szarwaszidzego. On temu nie zaprzecza. Czy uwierzymy jemu, że spał, czy uwierzymy tym, którzy jakoby usłyszeli od niego, że przed pójściem spać czytał gazetę?

Rzecz jest dosyć wątpliwa, gdyż w pokoju Czchotuy było ciemno, nie paliła się świeca, a bez świecy nie można czytać.

W każdym razie odrzucenie alibi nie może oznaczać, że alibi nie było, ale uczynienie z alibi dowodu winy byłoby moim zdaniem poważnym błędem logicznym, uznaniem sztucznego dowodu winy za prawdziwy. Odrzucam jako jeden z poważniejszych błędów konkluzję sądu, że oskarżony uciekł się do zdaniem sądu niedorzecznego wybiegu. Przecież każdy prawnik wie, że gdy oskarżony (nawet ten niewinny) staje przed sądem, to w emocjach wypowie wiele bzdurnych, szkodliwych dla siebie słów, a sąd będzie musiał ustalić związek między alibi a przestępstwem, a nie rozprawiać o tym, dlaczego ktoś kłamał. Cel był jasny – wybawić się od niebezpieczeństwa ciężkich robót (katorgi). Nawet mnie trudno się ustosunkować do dwóch ostatnich zarzutów przeciwko Czchotui. Robią wrażenie naciąganych. Chodzi o te dwa, trzy słowa, które wymienił z Gabisonią w nocy 22 lipca [3 sierpnia], o to, że podobno pozorował poszukiwanie zwłok przy promie. Służba była już w areszcie pod nadzorem Pietrienki, czyli podejrzewana o udział w zabójstwie. Dawid Czchotua pozostawał na wolności, ale czuł na sobie krwiożercze, badawcze spojrzenia ludzi przekonanych, że jest zabójcą, i śledzących z wyteżoną uwagą – podobną do uwagi Hamleta w scenie teatru w teatrze – czy się zmienia na twarzy. Tymczasem oskarżeni zamienili dwa, trzy słowa po gruzińsku, których nikt nie słyszał i których treść pozostała nie znana. Być może Gabisonia powiedział: „Za co nas aresztowali i co mamy teraz robić?”. Być może Czchotua odpowiedział: „Nie martwcie się, trzymajcie się i mówcie prawdę”. Dialog przerwali Pietrienko, Kołmogorodski i Cinamzgwarow. Przytaczanie takich poszlak dowodzi, że nie ma ważkich, prawdziwych dowodów, to tak jakby płatności gotówką dokonywano kawałkami metalu, które nie przypominają monet.

Jeszcze piękniejsza poszlaka dotyczy przewoźnika promowego. Zdaniem przewoźnika Kadurina Dawid Czchotua długo stał na brzegu (być może szukał wzrokiem zwłok Niny), a następnie obmył ręce (i być może spryskał wodą głowę, jak czynią to ludzie przestraszeni, kiedy chcą się uspokoić i zebrać myśli). Prawdopodobnie potem, gdy przyszła mu do głowy porażająca myśl, zaczął gorączkowo pytać leżącego na promie Kadurina, czy widział topielca. W niespójności tych działań, wynikających z wewnętrznego niepokoju, sąd dostrzegł jawne szalbierstwo, pozorne poszukiwanie ciała Niny Andriejewskiej, a Czchotua wiedział, że

Andriejewska nie utonęła. Panowie sędziowie, gdyby krewny i najbliższy prawny spadkobierca testatora zaczął udowadniać nieważność testamentu obłąkaniem, a obłąkanie pominięciem go, prawnego spadkobiercy, w testamencie, mielibyśmy do czynienia z *petitio principii*, czyli z błędnym kołem. Czy nie jest tak w tym wypadku?

Problem obłudy jest problemem czysto psychologicznym – A wiedział, że czegoś nie ma, ale tego właśnie szukał. Dzięki dekoracjom teatralnym wiemy, że widzimy twory wyobraźni i symulowane działania. Gdyby ich nie było, nie moglibyśmy stwierdzić, czy oglądamy prawdę, czy zmyślenie. Aby więc rozstrzygnąć problem, czy Dawid Czchotua udawał, trzeba orzec, że Nina Andriejewska nie utonęła i że Dawid Czchotua o tym wiedział, ale mimo to jej szukał. Wiadomo jednak, że i A i B to fakty niewiadome, jeszcze nie znane. Zazwyczaj w logice i matematyce punktem wyjścia są wielkości znane. Dzięki nim określa się nie znane. Tutaj niewiadome prowadzą do badania niewiadomych. Oto dlaczego otrzymujemy niedorzeczne rezultaty. Lepszemu obaleniu dowodu winy, czyli pozornego szukania zwłok, służą wypowiedziane dalej następujące złote słowa sądu, które, na nieszczęście, pozostały bez echa – obserwacji stanu ducha oskarżonego po odkryciu przestępstwa dokonały osoby przejawiające na tyle niespokojny stan ducha, że nie można gwarantować słuszności aresztowania. Czy jednak niespokojny stan ducha oskarżonego nie powinien być objaśniany nie tyle wyrzutami sumienia, ile być może tym, że był następstwem kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znalazł, skoncentrowania na nim powszechnej, nie skrywanej uwagi? Przykro, że sąd nie pozostał wierny tej refleksji. Gdyby się jej trzymał, nie doszłoby do wielu błędów, do śmierci dwóch osób i do długotrwałego trzymania innych pod strażą.

Tyle, jeśli chodzi o poszlaki przeciwko Dawidowi Czchotui. Ale są jeszcze inni oskarżeni: brat Dawida, Nikołaj Czchotua, Gabisonia, Koridze i Mgeladze. Czy przewina zarówno każdego z nich, jak i wszystkich razem nie wynika z poszlak przeciwko pozostałym? Przeanalizujmy te poszlaki, przede wszystkim przeciwko Gabisonii.

Nina Andriejewska miała trzy pary trzewików: znoszone trzewiki znalezione nad Kurą, trzewiki, które zdjęła, gdy wróciła wieczorem do domu, i trzewiki, które znalazł Cinamzgwarow pod łóżkiem Gabisonii. Z zeznań Cinamzgwarowa wynika, że właśnie te były czyszczone, ale nie wyjaśniono, które trzewiki były reperowane, a które nie reperowane. Jeden obcas był zdarty. To wyjaśnienie rozstrzygnęłoby wszystkie sporne kwestie.

Jednak właśnie tę sprawę pochłonięła otchłań zbędnych badań, ale istotnych szczegółów nie zauważono i nie wyjaśniono.

Śledczy mieli więcej pracy z trzewikami niż z plastrami na odciski i spodniami Dawida Czchotuy. Jak i kiedy trzewiki trafiły do Gabisonii? To tajemnica jego i Niny Andriejewskiej. Nie rozstrzygnęły tego zeznania matki Niny. Były zawile i sprzeczne, więc albo miała osłabioną głowę, albo te zeznania starano się dopasować do znanego już rozwiązania. Dwudziestego trzeciego lipca [czwartego sierpnia] zeznała, że Nina trzepała suknię na tarasie. Dwudziestego ósmego lipca [dziewiątego sierpnia] zeznała, że Nina, wychodząc, powiedziała tylko: „Zaraz wrócę”. Zeznała też, że Nina tego ranka dała Gabisonii trzewiki do czyszczenia, ale nie powiedziała jej o tym. Z zeznania Warwary Andriejewskiej złożonego 5 [17] listopada w Odessie wynika, że Nina powiedziała matce, że schodzi do kuchni po trzewiki, które dała rankiem kucharzowi do czyszczenia. Dwudziestego dziewiątego listopada [jedenastego grudnia] Andriejewska zeznała, że nie wie, czy córka dawała w dniu zabójstwa kucharzowi albo komuś innemu trzewiki do czyszczenia. Pomińmy te zeznania. Dwa z nich są bez wątplenia kłamliwe i według wszelkiego prawdopodobieństwa najbardziej kłamliwe są te złożone 5 [17] listopada, kiedy pogrążona w smutku matka uwierzyła, że jej Nina to męczennica i że ją zabito. To zeznanie było oczywiście na rękę oskarżycielom, bo mogli dowieść, że Gabisonia wziął rankiem trzewiki do czyszczenia, ale nie zwrócił ich wieczorem, bo chciał zmusić panienkę, by przysłała do kuchni, gdzie czekała na nią zasadzka. Na wszelkie sposoby starano się dowieść, że trzewiki zostały oddane do czyszczenia, a nie do reperacji. Chciano zrujnować zeznania Gabisonii – że oddawał trzewiki, brał je z powrotem, zostawiał u szewca itd. To długa i mało użyteczna historia. Można ją wytłumaczyć bardzo prosto, Gabisonia nie mógł brać pod uwagę tego, że panienska będzie potrzebowała czystych trzewików o dziesiątej wieczorem. Po pierwsze, nigdzie się nie wybierała, po drugie, miała drugą parę trzewików, które zdjęła, po trzecie, panienska zazwyczaj nie chodzi do kuchni, tylko wzywa służbę do siebie, a jeśli nawet służba niechętnie usługiwała paniom Andriejewskim, to i tak na wezwanie musiała się stawić. Pozwolę sobie zwrócić uwagę wysokiej izby na to, w jaki sposób sąd spożytkował kwestię trzewików, tak mającą się do sprawy jak kongres berliński do dowodów winy Gabisonii. Gabisonia w dalszym ciągu usiłuje ukryć prawdę o trzewikach. Jeśli tak czyni, to tylko dlatego, żeby uchylić

podejrzanie, a kto stara się uchylić podejrzenie, ten jest winny. Po co były te logiczne łamigłówki w postaci sofizmatów? Należało postawić problem na ostrzu noża. O tym, czy Gabisonia nosił trzewiki do naprawy, trzeba było zdecydować na podstawie wyglądu trzewików. Ale tych trzewików nie ma. Zamiast trzewików mamy zaprotokołowane zeznanie Iwana Sumbatowa. Sumbatow powiedział, że zauważył trzewiki pod łóżkiem Gabisonii. Obejrzał je i zobaczył, że na obcasie jest nowa zelówka. Naprawa była świeża i dlatego przekonała go, że Gabisonia mówił prawdę.

Drugi dowód winy Gabisonii. Kiedy Nina Andriejewska zniknęła i to zniknięcie rozgłoszono, pojawiło się wiele osób, w tym Cinamzgwarow, Sumbatow, Tumanowa. Ci, którzy schodzili na placyk nad rzeką, widzieli na urwisku człowieka z obwiązaną głową (zdaniem między innymi Warwary Andriejewskiej był to kawałek tkaniny, ktoś inny twierdził, że był to baszłyk [kaptur z długimi końcami]). Człowiek ten uważnie śledził przybyłych, a gdy go zauważono, udał się do kuchni. Był to Piotr Gabisonia. Mówił, że miał dreszcze i gorączkę. Nie chciano mu uwierzyć, twierdzono, że udawał chorego. I co najdziwniejsze, mówiono, że ciekawość zdemaskowała jego przestępstwo. Miał udawać chorego, ale przecież w karcie choroby zapisano, że chorował na febrę. Wystarczy też spojrzeć na tego człowieka, na jego wychudzoną syfilisem sylwetkę. Mówią, że Gabisonia interesował się śledztwem. I to go obciąża. Panowie sędziowie, przecież Cinamzgwarow też się interesował, chociaż osobiście nie znał Andriejewskiej. Tak się zaangażował, że dostarczył śledczym połowę materiałów. Proszę zapytać siebie samych, czy gdyby panowie dowiedzieli się, że zdarzyło się coś niezwykłego w sąsiedztwie, nie chcieliby popatrzeć na to widowisko.

Ukoronowaniem wszystkich poszlak w sztuce budowania przypuszczeń śmiałych do niemożliwości, delikatniejszych niż sieć pajęcza, jest zadrapanie nad prawą piersią Gabisonii, co odkryto 14 [26] sierpnia, a więc po mniej więcej trzech tygodniach po wypadku. Uważam, że jest to miejsce intymne. Na Kaukazie nie tylko przedstawiciele klasy wyższej, ale i niższej nigdy go nie odsłaniają. Rosyjscy chłopcy chowają je pod koszulą, a tu, na Kaukazie – pod koszulą i czerkieską. Opierając się na słowach doktora Markarowa, że ranka ta mogła powstać w czasie, kiedy zdarzyło się przestępstwo, czyli około 22 lipca [3 sierpnia], sąd powiązał te dwa fakty i uznał, że zadrapanie pojawiło się w czasie, gdy doszło do zabójstwa, ale postawił między tymi słowami maleńką, błahą na pozór partykułę „tylko”:

ranka mogła powstać tylko podczas popełniania zabójstwa. Takie stwierdzenie mówi nie o możliwości, ale o tym, że Gabisonia został zraniony w czasie popełniania przestępstwa. Proszę mi pozwolić, bym ten niepospolity wzór logiki wyjaśnił na przykładzie: 12 [24] października 1877 roku wielu ludzi zostało rannych nad Dunajem, pod Górnym Dubniakiem. Załóżmy, że ja także w tym czasie zraniłem się w rękę. Było to wtedy, kiedy doszło do bitwy pod Górnym Dubniakiem. Mam więc prawo wysnuć wniosek, że ja także mogłem zostać ranny pod Górnym Dubniakiem. Jeśli dodam słowo „tylko” i stwierdzę, że mogłem zostać ranny tylko pod Górnym Dubniakiem, wyjdzie na to, że rzeczywiście zostałem ranny pod Górnym Dubniakiem i mogę się spodziewać Orderu św. Jerzego IV klasy. Wróćmy do Gabisonii. Jeżeli rzeczywiście został zraniony w czasie zabójstwa Niny Andriejewskiej, to w jaki sposób ręka Andriejewskiej tam zabłądziła i dlaczego na dłoniach Andriejewskiej nie było śladów podarcia czerkieski, koszuli, skoro te dłonie dotarły do piersi? W karcie choroby zapisano, że Gabisonia miał także ranę na ręce i na wewnętrznej stronie podudzia. Dwa miejsca, dwie ranki. Dziwię się, że ich także nie powiązano z zabójstwem i nie uznano, że ma z tym związek ręka Niny Andriejewskiej. Dzięki wnikliwej analizie wszystkie te poszlaki upadły, co dowodzi, że niezbyt rozumiemy, czym są poszlaki. Wydaje się nam, że jeśli zgromadzimy dużo pseudoposzlak, to wystarczy, by kogoś osądzić, mimo że działania tego kogoś nie miały związku z przestępstwem, przypadkowo były zbieżne z czasem i miejscem przestępstwa, jeszcze nie udowodnionego, ale przypuszczalnego.

Oprócz Gabisonii są jeszcze posługacze – Zurab Koridze i Iwan Mgeladze. Obaj nie żyją. Obaj pojawiają się w sprawie w jednym kontekście. Czy przyznali się do bezpośredniego udziału w przestępstwie i czy podejrzenia padające na pozostałych potwierdzają ich udział? Iwan Mgeladze zabił największego i najgroźniejszego psa oraz zamknął pozostałe. Jeśli uznamy, co powinien uczynić sąd, że obie czynności zostały wykonane na polecenie Dawida Czchotuy, to udział Mgeladzego w sprawie, widomy i dowiedziony, równa się zeru. Jeżeli nie otrzymał polecenia i sam zamknął psy w stróżówce, to – jak udowodniłem – ta okoliczność też jest bez znaczenia. Poza tym z zeznań Tumanowej wynika, że psy nie były zamknięte.

Co do Zuraba Koridzego, który po zniknięciu Niny Andriejewskiej pierwszy zjawił się w domu – zeznania Warwary Andriejewskiej na jego



temat są sprzeczne, więc z omówionych przyczyn należy się z nimi obchodzić bardzo ostrożnie.

Podczas zeznania złożonego 25 lipca [6 sierpnia] Warwara Andriejewska powiedziała: „Zaczęłam wołać Ninę, potem zawołałam Zuraba, Zurab odkrzyknął: «Zaraz» i przez pół godziny się nie zjawił, potem przyszedł i powiedział, że rozbierał Dawida Czchotkę”.

Podczas zeznania złożonego 29 lipca [10 sierpnia] matka Niny mówiła: „Kwadrans po wyjściu Niny usłyszałam trzaski na korytarzu. Zawołałam Zuraba, a on odpowiedział «Zaraz» i przyszedł po półgodzinie, kiedy ogarek świecy już dogasał. Poleciałam mu, żeby przyniósł nową świecę i zabrał ogarek”.

Podczas zeznania złożonego 9 [21] listopada Warwara mówiła: „Wysłałam na korytarz i ze zdziwieniem zobaczyłam świecę przy drzwiach. Usłyszałam zbliżające się kroki w pokoju Dawida Czchotki. To był Zurab, szedł na bosaka”.

R ó ż n i c e w zeznaniach są maleńkie, ale istotne. Napomnienie „na bosaka” kojarzy się z tym, że buty były mokre, bo topili panienkę. Na szczęście mokrych butów w domu nie znaleziono, a prości ludzie i tutaj, i w całym świecie chodzą na bosaka. Co się tyczy miejsca, w którym Warwara Andriejewska spotkała się z Zurabem, to jego otwarte przyznanie się: „Idę od Czchotki” – od razu wyjaśniało problem. Niestety, postanowiono, żeby to nie Zurab powiedział, że został przyłapany, gdy wracał od Czchotki, i dlatego w drugim zeznaniu jest mowa, że dostrzeżono go w korytarzu.

Tak czy inaczej, Zurab mógł pomagać Dawidowi Czchotce w przygotowywaniu się do snu, a ponieważ przeciwko Zurabowi nie ma innych dowodów oprócz wymęczonego przyznania się do winy za pomocą środków, które osądził Sąd Okręgowy, nie mam wątpliwości, że gdyby Zurab Koridze stanął przed obliczem panów sędziów, z powodu braku dowodów udziału w przestępstwie panowie sędziowie niezwłocznie by go uniewinnili.

Jest jeszcze uniewinniony Nikołaj Czchotka, którego nieszczęście polegało na tym, że mieszkał w domu Szarwaszidzkiego i prawdopodobnie spał w momencie, kiedy Nina Andriejewska zaginęła. W ostatnim słowie Nikołaj stwierdził: „Pan prokurator w całym wystąpieniu nie wspomniał o mnie ani razu, co mam więc powiedzieć na swoją obronę?”. Wolność, która stała się udziałem Nikołaja Czchotki, została zakwestionowana

w proteście wiceprokuratora. Pierwszy raz sąd orzekł: zabójstwa dokonali domownicy, ale nie wiadomo, kto go dokonał, nie ma możliwości, by ustalić i wskazać jedną osobę. Zatem trzeba postawić przed sądem wszystkich bez wyjątku. Jeśli Dawid Czchotua namówił służących, to tym bardziej powinien był namówić brata. Według ostatniego zeznania Warwary Andriejewskiej Nikołaj Czchotua zbyt szybko wyskoczył z pokoju, do tego ubrany, i przybiegł na wezwanie Warwary Andriejewskiej, więc udawał, więc wiedział i był z nimi w porozumieniu. Cały system udowadniania winy opiera się na powoływaniu się na odrzucone przez sąd, wymęczone i kupione zeznania Mgeladzego i Koridzego. Zanalizuję je później, kiedy po rozpatrzeniu i ustaleniu historii wydarzenia przejdę do historii powstania bajek, zmyśleń i innych konfabulacji na temat tego, co się wydarzyło. Teraz mam do czynienia z zeznaniami Warwary Andriejewskiej. Muszę powtórzyć, że te zeznania są niespójne pod pewnymi względami. Strony mogą wybierać wygodne dla siebie argumenty lub wszystkie odrzucić jako przeczące sobie i nie sprawdzone przez sąd, co świadczy albo o słabych zdolnościach umysłowych, albo o zewnętrznej presji. Nie ma obecnie możliwości ustalenia prawdy.

Dwudziestego dziewiątego lipca [dziesiątego sierpnia] Warwara Andriejewska nic nie mówiła o pożarze, zeznała, że zaczęła wołać Ninę i poszła z Zurabem szukać jej w ogrodzie. „Obudziliśmy Nikołaja Czchotue (na parterze, w pobliżu kuchni<sup>14</sup>), który najprawdopodobniej już spał. Nasz krzyk obudził (na piętrze) Dawida Czchotue, który zapytał: «Co się stało?». Ubrał się i wybiegł bardzo wzburzony”. Tymczasem 5 [17] listopada zeznała: „Okolo wpół do dziewiątej [wieczorem] Nina przysła z dziedzińca, powiedziała, że gdzieś wybuchł pożar, który bodajże obserwował Nikołaj Czchotua ze służącymi. Po godzinie, więc o wpół do dziesiątej, w pokoju Nikołaja Czchotuy świeca się już nie paliła: nie wchodziłam do jego pokoju, stałam przed drzwiami (czy na pewno nie patrzyła przez szparę do pokoju młodzieńca?) i tylko wepchnęłam Zuraba ze świecą. Nikołaj sprawiał wrażenie wyrwanego ze snu, ale szybko się obudził. Nie wierzę, żeby spał, ale nie wiem, jak był ubrany (nie spał chyba goły), nie wiem też, czy był przykryty kołdrą. Nie wiem, co na siebie włożył i czy włożył buty (więc być może był bosy). Kiedy wyszedł na dziedziniec, otworzyło się górne okno. W białej koszuli ukazał się Dawid Czchotua i spytał: «Co się stało?»”.

Drugie zeznanie Warwary Andriejewskiej było mniej przychylnie dla oskarżonych niż pierwsze. Czy w grę wchodziły naciski z zewnątrz, czy winę ponosi system przesłuchań świadków albo z wolna powstające przekonanie, że córka została zabita? W czasie przesłuchań oprócz subiektywnego: „Nie mogę uwierzyć, że on spał” nie powiedziała niczego więcej o spaniu. Nie można zobaczyć, czy ktoś śpi, jeśli się stoi przed jego pokojem. Wynika z tego, że Nikołaj Czchotua zapewne był bosy, leżał w bieliźnie pod kołdrą, a więc był w sytuacji całkiem różnej od tej przedstawionej w protokole prokuratorskim. Gdyby Nikołaj Czchotua patrzył na pożar godzinę przed zniknięciem Niny Andriejewskiej, to także nic by nie znaczyło. Panowie sędziowie zechcą jednak zauważyć, że faktu, iż patrzył na pożar, nic ani nikt nie potwierdza. Zapisane słowa Niny Andriejewskiej: „Mamusi, chodź popatrzeć na pożar, obserwuje go Nikołaj Czchotua” to dziwna wzmianka. Z jakiego powodu fakt, że Nikołaj Czchotua patrzył na pożar, miał wpłynąć na Warwarę Andriejewską, by i ona popatrzyła? To chyba jedno z tych późniejszych upiększeń rodzącej się legendy mającej na celu powiązanie elementów, z których z wolna i stopniowo wyłaniało się oskarżenie. Jednak z tego materiału gmachu się nie zbuduje, podobnie jak nie zbuduje się domu z puchu ani kanału z masła. Przypuśćmy, że Nikołaj Czchotua udawał, że poszedł spać, bo nie chciał być obecny podczas dokonywania albo po dokonaniu strasznego czynu. Można go sądzić – ale zgodnie z prawem. Prawo jednak pominięto, jakby nie znał go oskarżyciel. Mimo woli staje więc przed problemem, czy oskarżyciel wie, że zgodnie z artykułem 11 *Kodeksu kar głównych i poprawczych* w wypadku przestępstwa popełnionego przez kilka osób należy mieć na uwadze, czy przestępstwo to popełniono wskutek wcześniejszej zmywy wszystkich lub niektórych uczestników przestępstwa, czy bez takiej zmywy? Kwestia ta nie została rozpatrzona, chociaż rozstrzygnięto ją bez uzasadnienia i uznano, że zmywa była. W takim zaś wypadku uczestników przestępstwa należy podzielić na określone kategorie i sądzić ich według stopnia udziału w przestępstwie, o czym jest mowa w nagłówku poprzedzającym artykuł 117. Jak zostaną podzieleni podsądni, by sprostać artykułowi 13? A co z Dawidem Czchotua, który został zaliczony i do kategorii hersztów, i do kategorii podżegaczy, i naturalnie do fizycznych sprawców? Oczywiście uznano go za atamana całej tej zbójckiej szajki. A pozostali? Gabisonia uczestniczył, bo miał dreszcze z gorączką i zadrapanie. Czy brał jednak udział w dokonaniu przestępstwa

albo ukrywaniu jego śladów? Nikołaj Czchotua był uczestnikiem, bo wskoczył do łóżka i leżał przykryty kołdrą. Kogo podzegał? Jaki mógł mieć motyw, żeby popełnić przestępstwo? Skąd wiadomo, że fizycznie brał w nim udział? Przypuszczenie, że Dawid Czchotua, namawiając domowników, namówił być może również brata, okazało się fałszywe i niewiarygodne właśnie dlatego, że każdy, kto kocha brata i zamierza popełnić przestępstwo, nie wciąga go do spisku, lecz z miłości chroni go. Fizyczny udział Nikołaja nie był konieczny z powodu udziału trzech służących i nieokreślonej liczby tajemniczych nieznanomych. W jaki sposób Nikołaj pomagał w przygotowaniu przestępstwa, że uznano go za współnika? Czy miał dość siły, by zapobiec przestępstwu? Więc być może należał do kategorii osób nie przeszkadzających w popełnieniu przestępstwa? Co ukrywał, żeby można go zaliczyć do kategorii osób ukrywających przestępstwo? Co najwyżej można było go zaliczyć do kategorii osób nie donoszących o przestępstwie już dokonanym, czyli odwołać się do artykułu 15 *Kodeksu*. Jednak artykuł 128 tego *Kodeksu* stoi na jego straży jak archanioł i okrywa go swoimi skrzydłami. Karom za niedoniesienie o popełnionym przestępstwie nie podlegają dzieci nie donoszące o przestępstwie popełnionym przez rodziców, dotyczy to także rodziców nie donoszących na dzieci, małżonków nie donoszących na współmałżonków oraz rodzonych i przyrodnich braci i sióstr względem swych braci i sióstr. Ściganie wszystkich sprawców, w tym Nikołaja Czchotuy, bez różnicy, bez podziału na kategorie i bez określenia winy jest niezgodne nawet z normami prawa zwyczajowego kaukaskich górali. W myśl tych norm tylko określoną kategorię domowników uznaje się za odpowiedzialną za zabójstwo.

Oskarżenie domaga się głów wszystkich domowników bez wyjątku, czemu więc pomija psy i szczeniaki, które też wzięły udział w wydarzeniach, bo wieczorem 22 lipca [3 sierpnia] nie czekały?

Rozpatrzyłem wszystkie dowody przestępstwa. Nie ma ich. Można wysnuć tylko przypuszczenie, że Andriejewska być może utonęła, a może ją utopiono. Mało prawdopodobne, że została uduszona i wrzucona do wody. Co do udziału w tej złej sprawie – miała być dziełem rąk domowników, ale żaden z domowników nie miał z nią styczności, ich związek z przestępstwem polega na tym, że byli domownikami. Jeśli mamy do czynienia z przestępstwem, nawet udowodnionym, to oprócz martwego ciała i ruchu rąk zabójców jest jeszcze coś trzeciego, duchowa sprężyna,

która doprowadziła ręce do działania, bodziec uczuciowy, pierwotny impuls – motyw. Aby sprawa była jasna, muszą się pojawić te trzy elementy, choćby w zarysie, a jeśli któregoś nie ma, sprawa przypomina posąg bez głowy czy bez rąk albo bez tułowia. Ktoś, kto jest nieobiektywny z powodu niedostatku środków poznania, zadowala się dwoma, niekiedy może się domyślać istnienia trzeciego. Z zewnątrz sprawa wygląda tak: jest zabójstwo, jest fizyczny sprawca działający w stanie poczytalności. Teraz trzeba założyć, że miał cel. Tylko osoba obłąkana działa bez dostatecznego powodu, a działanie bez przyczyny trudno przypisać woli. W sądzie karnym, a następnie w sądzie przysięgłych dużo częściej się zdarza tak, że wykryte zabójstwo zostaje powiązane z nie budzącymi wątpliwości motywami, a sprawę zamyka orzeczenie o nieznanym przestępcy. Bywa też tak, choć to jeszcze bardziej ryzykowne, że przypuszczalny zabójca chwali się, iż zabił jawnego wroga. Na ciele owego zabójcy są zadrapania i otarcia naskórka. Jest też zakrwawione ubranie przypuszczalnego zabitego. Zabójca zostaje osądzony. We wszystkich kronikach kryminalnych można przeczytać, że tacy zabici zmartwychwstali. Już od dawna istnieje zasada, by nie oskarżać bez *corpus delicti*.

Tak czy owak, motyw to dowód winy, nerwy i serce przestępstwa. Motywy powinno się przynajmniej odnotować, a w wyroku wskazać na taką możliwość, nie odkryto ich, ale prawdopodobnie istnieją. Wyrok sądu o motywach nawet się nie zająknął, obszedł się po prostu bez nich. Dał nam korpus przestępstwa bez klatki piersiowej i serca. Skoro w wyroku nie mówi się o motywach, powinniśmy zajrzeć do aktu oskarżenia. Napomknienia w nim zawarte zapewne nie zostały potwierdzone, skoro nie znalazły się w wyroku.

Jakie motywy pasują do czynów zarzucanych oskarżonemu? Nawet w akcie oskarżenia ich nie ma.

Założono, że Nikołaja Czchotę namówił starszy brat. Nie bierze się pod uwagę, że brat powinien uniemożliwić mu uczestniczenie w zabójstwie, jeśli nie było takiej potrzeby. Pozostaje Dawid Czchotua. Z dwóch możliwych motywów zbrodni, czyli korzyści i urazy, przede wszystkim odpadają korzyści. Niny Andriejewskiej nie ograbiono, jakieś elementy medalionu (jeden czy dwa) albo zostały na dnie rzeki, albo przepadły u rybaków. Jej śmierć nikomu nie przyniosła materialnej korzyści, nie licząc mieszkającego wówczas w Odessie jej brata Konstantina. A uraza? Z jakiego powodu? Dawid Czchotua wywodzi się z Kaukazu, studiował

geologię na Uniwersytecie Petersburskim. W 1870 roku przyjechał do Odessy. Zaczął bywać w półgruzińskim domu Erasta Andriejewskiego, dawnego lekarza księcia [Michaiła] Woroncowa. Andriejewski był spowinowacony z rodziną Orbeliani, był mężem księżniczki Tumanowej [Tumaniszwili]. Dawida Czchotę przyjmowano jak krewnego, zwłaszcza od czasu gdy jedną z panien Andriejewskich poślubił jego brat mleczny, Szarwaszidze. Stosunki z bystrą, żywą, mającą wiele męskiej stanowczości i zajmującą się naukami przyrodniczymi Niną były miłe i przyjazne. W 1872 roku umarł Erast Andriejewski. Siostry odziedziczyły dom i włości na Kaukazie, którymi niepodzielnie władały od 1872 do 1876 roku. Włości przynosiły mało dochodu, bo zarządzający byli mało kompetentni i sumienni. Zawiódł zaufanie Aniszczenko, nie poprawił sprawy Weissenfeld. Szarwaszidze uprosił Dawida Czchotę, by podjął się zarządzania. Zmarły ojciec Niny Andriejewskiej miał o nim pozytywną opinię. Jako zarządzający Dawid nie był nadzwyczajny, ale nawet ci, którzy mówili, że jest skąpy, uważali go za uczciwego człowieka, a zdaniem redaktora gazety „Droeba” [„Czasy”], Siergieja Meschiego, najuczciwszego.

W każdym razie Dawid Czchotua był kimś zaufanym. Za zarządzanie sukcesją, która według oceny [Dawida] Anczabadzego była warta ponad dwieście tysięcy rubli, brał zaledwie sześćset rubli, a potem na życzenie Szarwaszidzego tysiąc dwieście rubli rocznie.

Zamknął swoje sprawy w Petersburgu w listopadzie 1874 roku, ale włościami zaczął zarządzać dopiero od kwietnia 1875 roku. Po roku doszło do od dawna pożądanego i przewidywanego podziału włości.

W procesie podziału włości Dawid uczestniczył tylko w złożeniu podpisu na akcie podziału. O podziale zdecydowano wcześniej, jeszcze w Warszawie, kiedy matka z córką odwiedzały żonę Szarwaszidzego. Najpierw trzeba było wstępnie oszacować wartość włości. Niejaki Mirzojew otrzymał upoważnienie i wycenił dom. Zdaniem Szarwaszidzego wycenił go na dwadzieścia dwa tysiące rubli. Ale Mirzojew nie miał czasu, więc upoważnienie wystawiono Dawidowi Czchotui. Wysłała je w liście z Odessy Nina Andriejewska. Ten list jest godny uwagi. Nina pisze w nim między innymi: „To czysta formalność, dlatego że w Odessie zgodziłyśmy się na polubowny podział”. Upoważnienie służyło tylko do czynności wstępnych. Dwudziestego dziewiątego czerwca [jedenastego lipca] Warwara i Nina Andriejewskie przyjechały do Tyflisu i zatrzymały się

w hotelu Europa. Ze strony Szarwaszidzych podziału na zasadach ustalonych w Warszawie miał dokonać Anczabadze, a ze strony Niny Andriejewskiej stary znajomy, sześćdziesięcioletni Onikow. Chodziło zarówno o dom, według wyceny Mirzojewa, jak i o włości. Szarwaszidze dał Ninie weksel na sumę równą połowie wartości domu, a dokładnie na sumę jedenastu tysięcy rubli. Weksel ten podarł później brat Niny, Konstantin. Przedstawicielami stron byli Fiłkow i Anczabadze. O nadanie podziałowi polubownej formy umowy rozjemczej został poproszony Wissarion Gogoberidze. Anczabadze i Onikow dokonali podziału na dwie równe części. Podającemu herbatę lokajowi Onikowa, Lewanidzemu, polecono, by wezwał z ulicy chłopczyka, który pociągnie losy. Ninie przypadł las w Dre, w którym na polecenie Szarwaszidzego i Dawida Czchotuy trwał już wyrąb drzew. Zdaniem Sułchanowa, Onikowa i Gogoberidzego, obecnych podczas losowania, gdy chłopczyk wyciągnął los, Nina powiedziała do Szarwaszidzego: „Grigorij, ty chciałeś las, zamienmy się”. Szarwaszidze nie przyjął jednak tej propozycji. Ta okoliczność rozwiewa wszystkie konkluzje oparte na urojeniach lokaja Lewanidzego, że Szarwaszidze nie był zadowolony, nie dopił herbaty i wyjechał. Obala je też i to, że Nina i Szarwaszidze pozostawali w przyjaznych stosunkach, do czego jeszcze powrócę. Po dokonaniu podziału trzeba było powstrzymać wyrąb lasu w Dre. Nowa właścicielka, zapewne z chęci wejścia w swoje prawa i z radości, że może z nich korzystać, pojechała na miejsce i wezwała chłopów. W obecności Dawida Czchotuy oraz Sułchanowa, siostrzeńca Onikowa, oznajmiła im, że jest teraz właścicielką, a nowym zarządzającym będzie Sułchanow, do którego od tej pory powinni się zwracać ze swoimi potrzebami i żądaniami. Sułchanow stwierdził, że podczas wystąpienia Niny Dawid Czchotua był smutny i przybladł. Zdaniem Bagrata-Szwilego Dawid obrzucał Sułchanowa tak źle wróżącymi spojrzeniami, że Bagrat-Szwili niepokoił się o życie Sułchanowa i trzymał w pogotowiu strzelbę.

Nie uważam, by zeznania Sułchanowa miały znaczenie. Wydaje się, że są to spostrzeżenia *ex post*. Sułchanow ma kłopoty z ustalaniem faktów. Tak mogło mu się wydawać. Co do Bagrata-Szwilego – jak widać, dość specyficznym ocenia ludzi wykształconych. Nie bardzo też wiedział, o co chodzi, skoro uważał, że Dawid Czchotua to Konstantin Andriejewski, na którego nie było powodu rzucać gniewnych spojrzeń, a ponadto gniewnych spojrzeń nie zauważył nikt poza nim. Ani jego uwagi, ani ich forma nie

potwierdziły sugestii, że Dawid Czchotua mógł być niezadowolony z wyznaczenia nowego zarządcy. Zdaniem naocznych świadków Nina Andriejewska nie wypowiedziała żadnych obraźliwych słów pod adresem Dawida Czchotuy, nie czyniła też obraźliwych aluzji. Wyznaczenie nowego zarządcy było ważne i konieczne, choćby dlatego, żeby zapowiedzieć zmianę starego porządku, pokazać różnicę między starym a nowym oraz żeby dać wyraz dobrym i szczerym chęciom, pozyskać chłopów i przedstawić program nowej polityki właścicielki. Wiarygodny świadek, Osetyniec Aleksiej Tekel-Szwili, strażnik, zeznał, że na tych włościach ciąży grzech Erasta Andriejewskiego. Andriejewski zanim dał wolność chłopom, zmusił ich do podpisania prośby, w której zostali określani jako „chizanowie” [chłopi poddani z własnej woli]. W związku z tym nie otrzymali nadziałów ziemi podczas reformy. Wspólna własność uniemożliwiała naprawienie zła, ale teraz Nina Andriejewska ogłosiła, że otrzymają ziemię. Chwila była uroczysta, mogła silnie wzruszyć obecnych i chyba dlatego Dawid Czchotua przybladł. Taka deklaracja Niny Andriejewskiej była koniecznością, nie zrobiła tego, żeby dokuczyć Dawidowi Czchotui. Tę konieczność rozumiał także Czchotua, o czym świadczy to, że Sułchanow, nowy zarządzający, którego Ninie polecił Onikow, nie został zaangażowany na stałe. Dowodem jest list znaleziony na stoliku Niny Andriejewskiej. Dwudziestego drugiego lipca [trzeciego sierpnia] Nina tak pisała do swojego nauczyciela Iosifa Romanowskiego, zarządzającego domem w Odessie: „Być może mój plenipotent Sułchanow (wyznaczony w zeszłym tygodniu) także okaże się uczciwym człowiekiem. Do tej pory bardzo się stara. Proszę jednak, by poszukał Pan jakiegoś niezawodnego Gruzina. Ja i mama tylko na Panu możemy polegać”. Czy to ma sens, by wymieniać Dawida Czchotę na Sułchanowa i równocześnie prosić Romanowskiego o znalezienie nowego zarządcy? Na pewno praktyczniejsze było inne rozwiązanie – pozostawić zarządzanie Dawidowi Czchotui i poczekać na nowego zarządcę. Co innego, gdyby Czchotua sam zrzekł się stanowiska. Istnieją okoliczności świadczące o tym, że to zrzeczenie było faktem, prawie niewątpliwym. Jest to przede wszystkim wypowiedź Sułchanowa, który mówił, że stosunki między Niną Andriejewską a Dawidem Czchotua były bardzo serdeczne. Dawid Czchotua zrzekł się funkcji zarządcy, żeby nie ściągnąć na siebie jakichś zarzutów. Bał się, że chłopci będą się do niego odnosić nieufnie. Jeżeli ktoś nie chce wierzyć Sułchanowowi, niech uwierzy matce. W całej tej sprawie



– jakby na zamówienie – z zeznań Warwary Andriejewskiej wyłuskuje się tylko to, co ma świadczyć o winie, a nie o niewinności Dawida Czchotuy. Między innymi w zeznaniu złożonym 28 lipca [9 sierpnia] Andriejewska mówiła, że Nina nie żywiła urazy do Dawida Czchotuy. Czchotua nigdy nie mówił, że ma ochotę zostać zarządzającym włościami Niny. Nie znał się na zarządzaniu. Ani jedna, nawet najmniejsza wzmianka nie sugeruje, że prosił o to stanowisko. Jedyne świadectwo, strażnik leśny Kirył Kowalski, słyszał o tym od nie potwierdzającego tej wypowiedzi innego strażnika leśnego, Gieorgija Modebadzego. Potem wyjaśnię pochodzenie tej bajki. Wydarzyło się jednak to, co się zdarza między dobrymi znajomymi. Kurtuazja każe im unikać wzajemnych zobowiązań, wiązania się umową o pracę, żeby nie popsuć dobrych stosunków. Nie było powodów do urazy czy sprzeczki, nie ujawniono najmniejszych powodów do niezadowolenia ani najmniejszej wzmianki, na której można by było oprzeć opowieść o odrzuconej miłości. Z powodu braku osobistego motywu zaczęto podejrzewać, że Dawid Czchotua służy za parawan, a za tym parawanem działają jakieś ciemne siły. Dwa tomy akt dotyczą tego, co w Kutaisie jadł, gdzie był, o czym rozmawiał Szarwaszidze ze swoim pełnomocnikiem Anczabadzem. Nie byli objęci śledztwem w charakterze oskarżonych, ale przypuszczam, że dużo lepsza jest sytuacja podsądnych niż osób, przeciwko którym śledczy wysyłają wniosek do kutaiskiej policji z żądaniem, by się dowiedziała, z kim kontaktował się Szarwaszidze i czy nie miał zamiaru wysłania do Rosji kogoś, kto by zabił jego szwagra, Konstantina Andriejewskiego, albo uznaje się, że tylko brak telegramu do Dawida Czchotuy nie pozwolił na powzięcie ostatecznego przekonania o udziale Szarwaszidzego i Anczabadzego w zabójstwie Niny. Jednak i o telegramie, i przekonaniu o udziale w zabójstwie trzeba było zapomnieć. W końcu przyznano, że Szarwaszidze nie mógł mieć najmniejszej korzyści ze śmierci Niny Andriejewskiej. To nie jego żona dziedziczyła cały majątek, lecz jej brat Konstantin, a nieuzasadnione przypuszczenie, że Szarwaszidze jest kimś w rodzaju szejka, który w czasie wypraw krzyżowych posyłał na Ryszarda Lwie Serce i Filipa II Augusta zabójców, nie znalazło się w akcie oskarżenia. Ubóstwo tych przypuszczeń nie przeszkodziło w zamieszczeniu w akcie oskarżenia kilku zatrutych strzał wypuszczanych za uciekającymi jeźdźcami. Nie powiedziano wprost, że podejrzenia wobec Szarwaszidzego się nie potwierdziły, napomknięto tylko, że nie znaleziono danych umożliwiających wysunięcie oskarżenia i na nieszczęście nie natrafiono na

należyte dowody winy. Gdzie tu miejsce na dowody winy, skoro się stwierdza, że śmierć nie mogła przynieść korzyści i że stosunki między Niną a szwagrem były jak najserdeczniejsze. Nina straciła życie, nim jeszcze wysechł atrament w liście, który następnego dnia o dziesiątej rano miał zabrać wyjeżdżający do Kutaisu do Szarwaszidzego Dawid Czchotua. Píše: „Drogi Gieorgiju!”. Dalej informuje go, że kupiła plac pod budowę domu i jest bardzo zadowolona.

Myślę, że na tym można skończyć rozdział dotyczący motywów przestępstwa. Nigdzie nie znaleziono motywów, bo ich nie było i nikt ich nie miał. Wypadki 22 lipca [3 sierpnia] rozwijają się naturalnie i liniowo, chronologicznie układają się w następującym porządku.

Przed nami rysuje się jaskrawy, żywy, wyrazisty obraz kobiety młodej, spełnionej w życiu i silnej, mającej wszelkie zadatki na długie szczęśliwe życie, pożyteczne dla niej i dla innych. Chociaż Nina Andriejewska była po matce Gruzinką, to mentalnie i charakterologicznie była Rosjanką, w najpełniejszym i w najlepszym tego słowa znaczeniu. Sama wszystko zgłębiała, sama o wszystkim decydowała. Świadek Melikow przytaczał w sądzie jej słowa skierowane do Anczabadzego: „Jestem kobietą rosyjską, lubię, żeby wszystko działo się prosto, kończcie te wasze dokumenty, potem przyjadę i je podpiszę”. Przy tym była to kobieta rosyjska nowego formatu – żywa, wesoła, ruchliwa, śmiała, o szerokich horyzontach umysłowych, nie znająca granic. Lubiła Buckle’a, czytała Darwina i Haeckla. Zdaniem Warwary Tumanowej znała medycynę. Student Donaiani, który kontaktował się z nią w latach 1868–1870, stwierdził, że zajmowała się problemami kobiet, marzyła o doktoracie i o podróżach, opowiadała żywo, ogniście i z temperamentem, ubierała się nadzwyczaj prosto czy nawet niedbale, z mężczyznami spotykała się tylko na gruncie towarzyskim, była ostra, przenikliwa i odważna. Warwara Tumanowa pamięta, że śmiejąc się, powtarzała: „Tchórzą tylko baby”. Zrozumiałe więc, że podporządkowała sobie wszystkich dookoła i że całkowicie podporządkowała sobie matkę. Zdaniem Tumanowej matka robiła to, co chciała Nina, jeszcze w 1876 roku, w Kisłowodzku. Śmiałość w myśleniu, mocny i zdrowy rozsądek, realizm, nieco chropowate maniery – i całkowity brak uczuciowości, żądz i tego, co się nazywa cielesnym instynktem albo ich pełna kontrola.

Była niczym Diana, a między kobietami jak drugi Karol XII. Szarwaszidze uważał, że nie miała w sobie krzty romantyzmu. Inni

mówili, że nikogo nie kocha. Donaiani wspomniał, że Nina śmiała się, gdy mówili o miłości. Domownikom powtarzała, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Płochliwa niewinność, wstydlivość przeszkadzająca w rozbieraniu się w obecności siostry i matki, tęgi umysł i zahartowany charakter – jak tu wyjść za mąż, jak znaleźć mężczyznę, uznać jego doskonałość i się do niego przywiązać. Nina Andriejewska była wyjątkową kobietą. Mało który mężczyzna mógł być dla niej parą, trzeba by go szukać ze świecą.

Rzeczowość Niny przejawiała się także w trakcie podziału włości. Dla formy wystawia upoważnienie, ale warunki podyktuje osobiście i podział przeprowadzi rozsądnie, gospodarnie i z pełnym zrozumieniem własnych interesów. Po dokonaniu podziału z właściwą sobie pryncypialnością i sprytem zaczęła pozyskiwać zarządcę. Odmowa Dawida Czchotuy, byłego zarządzającego, nie pogorszyła dobrych stosunków z braćmi Czchotua. Wykształcenie i pochodzenie sprawiały, że nie mogła nie odnosić się do Dawida Czchotuy jak do człowieka ze swojej sfery i naturalnie nie mogła dzielić staroświeckich przesądów matki: „Jakież to dla nas towarzystwo, oni służą i dostają zapłatę”. Przed wyjazdem z Tyflisu Szarwaszidze zaproponował teściowej, by przeniosła się z hotelu do jego domu, ale się nie przeniosła, żeby nie robić mu kłopotu. Gdy zięć wyjechał, z inicjatywy Niny postanowiła skorzystać z zaproszenia. Potwierdziła to Tumanowa. Potwierdziła też Andriejewska. Opowiadały, co wynikło z przeprowadzki. Nina lubiła wszystko urządzać i układać. Przyszło jej na myśl, żeby nakleić etykiety na swoje rzeczy. Warunki w domu Szarwaszidzego były niezbyt odpowiednie, ale nie dlatego, że Dawid Czchotua nie został uprzedzony, że w domu będą goście. Nie było odpowiedniej służby. Na całym świecie służba uważa, że krewni gospodarza – ich pana – to obcy, więc jeżeli nie dostaje podarunków czy pieniędzy, a i matka, i córka liczą się z pieniędzmi, obsługuje ich niechętnie. Jaką służbą mogli być nieokrzescani Abchazowie albo Osetyńcy dla dam z takiej sfery i takiego wychowania jak panie Andriejewskie? Cóż za pokojówka z Zuraba Koridzego, który ruszał się jak mucha w smole? Zurab Koridze powie flegmatycznie: „Zaraz” i potem czeka się na niego dziesięć albo dwadzieścia minut. Obie panie żądały od służby naprawdę niewiele. Same wylewały nocniki, nie jadały obiadów w domu, a ich pobyt miał być krótki. Myślały, że wyjadą po jednym dniu lub po dwóch. Zatrzymały je pojawiające się jedna za drugą różne sprawy. Pojechały powozem do miasteczka Kodzori. Powoził Gabisonia. Świadkowie Tochadze i Chidakow zeznali, że Nina była w Dre

i obiecała chizanom [chłopom poddanym z własnej woli], że ich sytuacja się zmieni. Kupiła w Tyflisie plac pod budowę domu wybrany przez Sułchanowa. Pisała o tym w liście do Szarwaszidzego. O nowym przedsięwzięciu, zatrzymującym Ninę jeszcze na jakiś czas w Tyflisie, nie mógł wiedzieć Dawid Czchotua, który 20 lipca [1 sierpnia] z Andriejem Nikołajewem wyjechał do Dre. Wrócił 21 lipca [2 sierpnia] wieczorem, ale 23 lipca [4 sierpnia] miał jechać do Kutaisu, do Szarwaszidzego, żeby odwieźć mu szablę ojca naprawianą w Tyflisie.

Między wyjazdami był półtoradniowy odstęp. W tym czasie Dawid dowiedział się o kupnie placu pod budowę domu. Miał zamiar wyjechać do Gori, bo myślał, że panie Andriejewskie już wyjechały. Ich zwykły rozkład dnia był następujący. Rano spędzały czas w domu, o trzeciej po południu szły na obiad do hotelu, do domu wracały o siódmej wieczorem, piły herbatę, zamykały się u siebie i zgodnie z ówczesnym miejskim obyczajem między północą a pierwszą po północy kładły się spać. Służba spała już jak zabita, bo kładła się spać między wpół do dziesiątej a dziesiątą. W korytarzu nie świecił się nawet ogarek świecy. Ponieważ panie nie wychodziły na dwór za potrzebą, to urządzenie zasadzki bez wywołania ich z pokoju było niemożliwe, a wywołanie bez powodu – tym bardziej. Nie można było urządzić zasadzki, w którą wpadłaby ofiara. Jej nocny spacer był czymś wyjątkowym. Nikt z domowników nie mógł tego przewidzieć.

Dwudziesty drugi lipca [trzeci sierpnia] przebiegał zgodnie z opisanym porządkiem, ale z pewnymi zmianami, co potwierdzają zeznania Warwary Andriejewskiej złożone 23 lipca [4 sierpnia] i 28 lipca [9 sierpnia]. Dwudziestego drugiego lipca [trzeciego sierpnia] były urodziny matki Warwary Andriejewskiej. Panie wyjechały z domu o jedenastej rano, widziały się z Tumanowami. Jak powiedziała Warwara Tumanowa, Nina obiecała, że o dziesiątej wieczorem podejdzie do ogrodzenia Kóleczka. Od Tumanowów Andriejewskie podjechały do sklepu Biebijewa zamówić lemoniadę, obiad zjadły o trzeciej w hotelu Kaukaz, potem do siódmej przebywały u ciotki Orbeliani. O ósmej, po wypiciu herbaty, wróciły do domu. Zostały tylko Dawida Czchotę, bo Nikołaj pojechał do ogrodu Musztaid. Nie przyjęły zaproszenia Dawida na herbatę. Nina się rozebrała, a ponieważ dowiedziała się od Dawida, że rano jedzie do Szarwaszidzego, napisała do szwagra list, który chciała przekazać Dawidowi rano przed jego wyjazdem. Posiedziała chwilę – dokładnie do ósmej piętnaście – z matką. O wpół do dziewiątej wyszedł z domu Dawid Czchotua. Po dziesięciu

minutach zjawił się Nikołaj. Posiedział na tarasie także dziesięć minut, wypił herbatę, od której wymówiły się panie, ale służba przygotowała ją o zwykłej porze, a podał Zurab. Minęło jeszcze pół godziny. W tym czasie Nina kilka razy wychodziła i wchodziła. W proteście wniesionym przez wiceprokuratora umieszczono oparte na zeznaniu Warwary Andriejewskiej z 5 [17] listopada słowa Niny odnoszące się do tego odstępu czasu: „Mamusiu, chodź popatrzeć na pożar, obserwuje go Nikołaj Czchotua ze służącymi”. Chciano wykazać, że Nikołaj Czchotua nie spał aż do czasu zniknięcia Niny, ale to spóźnione zeznanie jest podejrzone. Było to przed wyjściem Niny ze świecą. Gdyby okoliczności były właśnie takie, to spiesząca za Niną Warwara Andriejewska zobaczyłaby służących, którzy wracali. Ale nie było żywej duszy. O dziesiątej wieczorem Nina miała iść do Kółeczka. Nadchodzi fatalny moment, wpół do dziesiątej – opuszczenie przez Ninę pokoju, powrót z ogarkiem świecy, zamiana ogarka na świecę i wyjście Niny, któremu towarzyszą słowa: „Zaraz wrócę”, jak wynika z zeznania z 28 lipca [9 sierpnia], albo: „Nie zdołam przejść przez cały korytarz z tym ogarkiem, zdmuchnie go wiatr, idę przez korytarz do kuchni po trzewiki, które oddali rano”, jak wynika z zeznania z 5 [17] listopada.

Z tych dwóch różnych zeznań dotyczących zamierzeń Niny Andriejewskiej trzeba wybrać jedno. Wybieram pierwsze, drugie odrzucam, jako nieprzekonywające. Po pierwsze, to wbrew naturze, by stare wspomnienia były dokładniejsze, szczególnie kobiety mającej swoje lata, której następne zeznania są w wielu miejscach sprzeczne z pierwszymi zeznaniami. Mam też nadzieję, że wykazę tendencyjność przesłuchań świadków. Przeprowadzano je po to, by zeznania nagiąć do faktów uważanych za wykryte. Po drugie, by przejść przez korytarz i wrócić, wystarczyłby najmniejszy ogarek. Po trzecie, Ninie nie były potrzebne w nocy trzewiki, bo miała te, w których chodziła cały dzień, oraz te znoszone. Po czwarte, nie tylko wstydliva Nina, ale każda dziewczyna czy kobieta krępowałaby się iść do kuchni, i to w takiej porze, gdy mężczyźni się rozbierali albo już się rozebrali i położyli spać. Czy pojawienie się Niny nocą wśród śpiących mężczyzn panowie sędziowie uznałoby za coś normalnego i naturalnego?

Nina powiedziała: „Zaraz wrócę”. Nie powiedziała, dokąd idzie, ale wzięcie świecy osadzonej w lichtarzu świadczyłoby o tym, że wróci niezbyt prędko albo że owo „zaraz” jest pojęciem względnym. Lichtarz był potrzebny. Miał się znaleźć przy schodach. Tam zobaczyła go matka. Nina

wyszła na taras przed otwarte w pokoju matki okno, a stamtąd po poznanej rano ścieżce do zejścia nad rzekę. Chciała się wykąpać. Nie wzięła ani ręcznika, ani gąbki, bo była w obcym domu. Nie było w nim ani przyborów toaletowych, ani ręczników. Jeśli nawet ręczniki były w komodzie, to być może nie wzięła jednego z nich, żeby nie niepokoić matki. Nie powiedziała matce, dokąd idzie, z właściwą sobie stanowczością spełniała jeszcze rankiem podjęte postanowienie. Postawiła lichtarz w korytarzu przy wyjściu na taras, na który wyszła. Zasadzki nikt tam nie mógł przygotować, bo najmniejszy krzyk usłyszałyby matka i podeszłyby do otwartego okna. Zgodnie ze swoim zwyczajem Nina postanowiła wykąpać się w bieliźnie, po kąpielii chciała ją zdjąć, włożyć czarną suknię i kaftanik, a na bose stopy trzewiki. Gdy Nina wchodziła na taras, z przeciwnej strony wracał do domu przez stróżówkę Mgeladze. W tym samym czasie Dawid Czchotua wezwał do siebie Koridzego, żeby pomógł mu się rozebrać.

Lekkim krokiem w jasną księżycową noc Nina Andriejewska zeszła po ścieżce nad rzekę i zdjęła ubranie. Ponieważ nie знаła miejsca i nie umiała pływać, wpadła do znajdującej się przy placyku po lewej stronie jamy głębokiej na pięć arszynów [ponad trzy i pół metra], którą potem zbadał Kadurin.

Nina nie czuła gruntu pod nogami, zachłysnęła się i bez wydania krzyku straciła przytomność, doznała wylewu krwi do mózgu. Bystry nurt Kury uniósł nie zauważoną przez przewoźników promowych Ninę daleko za Tyflis, do Karajazu. Tymczasem nadeszła dziesiąta. Matka się niepokoi, wychodzi na korytarz i widzi lichtarz. W korytarzu słycać kroki, to idzie wracający od Dawida Czchotuy Zurab, zapewne trzyma ubranie. Na wezwanie zgodnie z przyzwyczajeniem odpowiada: „Zaraz”. Nie przychodzi, dopóki raz jeszcze nie wezwie go krzykiem Warwara Andriejewska. Przyszedł. Był w archałuku [rozpinanym kaftanie] i boso. Widocznie na bosaka poszedł pomóc rozebrać się Dawidowi Czchotui. W towarzystwie Zuraba Koridzego Warwara Andriejewska poszła zaalarmować domowników. Wsunęła Zurabowi do ręki lichtarz i wepchnęła do pokoju Nikołaja Czchotuy, żeby go obudził. Krzyczała: „Ninusza”, co zmusiło Dawida Czchotue do wychylenia się z okna. Nikołaj był spokojny, ale Dawid Czchotua drżał, zaskoczony nieoczekiwaną wiadomością. Resztę znamy. Pojawili się znajomi i nieznajomi, w tym Cinamzgwarow. Właśnie wówczas, w nocy, powstało podejrzenie o zabójstwo. W ciągu dwóch godzin aresztowano służbę. Wszystkie oczy były zwrócone na braci

Czchotua. A oni czerwienieli pod wpływem wzburzenia wewnętrznego lub bledli pod baczny spojrzaniem otaczających ich ludzi. Dawida Czchotę oskarżano o to, że był nad rzeką blisko promu, że wpatrywał się badawczo w kamień, jakby chciał sprawdzić, czy to płynący przedmiot, że wzburzony tym, co się stało, obmył ręce i być może spryskał zimną wodą rozgorączkowaną twarz i głowę, że nie pozwolił dotykać leżącego na brzegu ubrania, dopóki nie przyjedzie policja, że powtarzał: „Zginęliśmy”, że kiedy padło podejrzenie na domowników i zostali aresztowani, stracili spokój i się denerwowali, on, wiedząc że są niewinni, niespodziewanie wsparł jednego z nich kojącym słowem: „Nie obawiaj się, nie zginiesz, nie gubi się niewinnych ludzi”, że kiedy w następnych dniach, gdy był jeszcze na wolności, przeszywały go badawcze spojrzenia publiczności, twarz mu zmizerniała, a usta nerwowo drżały. Przecież w takiej sytuacji można w tydzień osiwieć!

Z dokładnego i wyczerpującego przeanalizowania sprawy Niny Andriejewskiej wynika, że nie ma w niej niczego niejasnego, tajemniczego czy zagadkowego, to tylko chorobliwa wyobraźnia w naturalnym biegu wydarzeń mogła się doszukiwać jakichś szatańskich, strasznych, przerażających przyczyn. Rzeczywistość okazała się pozbawiona poezji, prozaiczna.

Przypuśćmy, że młody człowiek o świetlanej przyszłości spadł z drugiego piętra i się zabił. Niewinne dzieci zabił piorun w polu. Piękna dziewczyna, kąpiąc się, utonęła. Jaka szkoda, żal – powiedzą ci o wrodzonym poczuciu życzliwości i miłości bliźniego. Inni, bliżej znający topielicę, będą tęsknić, wzruszą się do łez i zapłaczą... No, ale jaki wypływa z tych wydarzeń dramat, jaki morał i gdzie jest w tym czyjaś wina? Czyżby była to wina topielicy, że była nieostrożna?

Gdyby nawet panowie sędziowie po całej przeprowadzonej przeze mnie analizie sprawy trwali definitywnie przy takim negatywnym i nihilistycznym orzeczeniu, to bardzo mocno by się panowie sędziowie mylili. Wniosek, że w sprawie nie ma niczego pouczającego i dramatycznego, wynika tylko z tych faktów, które do tej pory zebrałem, przedstawiłem i zanalizowałem. Nie wszystkie fakty przedstawiłem i zreferowałem, jest jeszcze cały nietknięty zakątek faktów szczególnych, osobliwych. One istniały, ale nie były w dostateczny sposób przedstawione i ocenione, choć rzucają na sprawę specjalne, jaskrawe, że tak powiem, elektryczne światło. Ze względu na te fakty całe orzeczenie podlega

uchyleniu. Jest w tej sprawie morał, ale to morał innego rodzaju. Mamy tu wstrząsający dramat, ale nie tam, gdzie go oczekiwano. Dramatem jest to, że w wypadku tej prostej sprawy niektórzy już są osądzeni, ci, którym niczego nie udowodniono, że dwie osoby odeszły na tamten świat z powodu pozbawienia ich tak drogiej dla nich jak woda wolności, że ci, którzy zostali, też mają złamane życie, że mimo całej głębi mojego przekonania i zdobytego w ciągu wielu lat doświadczenia wątpię, czy moimi słowami i dowodami zdołałem rozbić stojący przede mną jak ściana granit przesądów i uprzedzeń.

Tragiczne w sprawie jest to, że powstała i była rozpatrywana na gruncie mało przydatnym i mało sprzyjającym spokojnemu, obiektywnemu, rzetelnemu badaniu prawdy, na gruncie, na którym oprócz rzetelnie badanej prawdy powstaje równa jej, a niekiedy przewyższająca ją poetycka legenda. Zamiast dokładnego przekazu – poetycka legenda. Pnące się gałązki konfabulacji całkiem zakrywają pień, wokół którego się ukształtowały. Wszyscy znamy błogosławione krainy w ciepłym klimacie urodzajnego czarnoziemiu. To ziemia żyzna, błogosławiona, płodonośna, ale albo będzie leżała odłogiem, albo będzie zasiewana. Jeśli nie będziemy jej plewić, jeśli pozwolimy jej zmarnieć, to puści się burzan, dziki rumianek i każde inne paskudztwo. Zagłuszą zboże. Nieprzydatnego zielska otrzymamy bez liku, a ziarna chlebowego ani odrobiny.

Pod względem artystycznym te zielone fale wysypującego się rumianku i rozrośnięte burzany są piękniejsze od zboża, ale w gospodarstwie to są najgorsi wrogowie.

Takie związki jak między burzanem a agronomią istnieją między życiem praktycznym a legendą, poezją, fikcją, a w szczególności między sądem a legendą. Sąd legendy nie znosi, gdyż nie może mieć dwóch panów. Służy tylko jednej, bezdusznej, prostej, ale zazwyczaj całkiem niepoetycznej, lecz za to nieśmiertelnej prawdzie. Kiedy do sprawy sądowej przenikają elementy fikcji, bajek czy poezji, to płatają psie figle i wyświadczają jeszcze gorsze przysługi niż więdźmy Szekspirowskiemu Makbetowi. Takie elementy trzeba tępić i wykorzeniać. Nie ma środków, których nie można by wykorzystać, żeby uwolnić się od tej zarazy. Myślę, że wszyscy zgadzają się co do tego, jak ogromną szkodę wyrządzają te insekty, ci rozbójnicy – „zakłócają” tok myślenia i prawidłowy tok śledztwa.

Ktoś może jednak zapytać, w jaki sposób udowodnię, że w obecnej sprawę zamieszany jest element fantastyki, że legenda wcisnęła się do



protokołu sądowego, a czerwona nitka bajki wplątała się w białą kanwę dokładnego śledztwa. Nie ma niczego łatwiejszego niż udowodnienie tego niewątpliwego faktu: należy tylko się powołać na wyrok Sądu Okręgowego i na protest wiceprokuratora Chłodowskiego. Obydwa dokumenty zajmują się przede wszystkim tymi urojonymi elementami, ale żaden z nich nie jest taki jak należy. Te fragmenty wskażę dalej.

Przypomnę fragment wyroku Sądu Okręgowego, który dotyczy oceny zeznań i działalności Loladzego, Bellika oraz Markarowa, agentów i świadków, a także aresztantów, Musy-Izmaïła-ogły oraz Ceretelego. Chodzi o oskarżonych Koridzego i Mgeladzego. Pozwolę sobie krótko przedstawić fakty. Od 22 lipca [3 sierpnia] do 23 listopada [5 grudnia] przepytywano wszystkich służących, czyli Koridzego, Mgeladzego i Gabisonię. W tajemnicy zostali posadzeni w areszcie jako przypuszczalni zabójcy. Proszę sobie wyobrazić sytuację ludzi nic nie wiedzących o rosyjskich porządkach. Nam, rozumiejących ich sens i tok działania, nie zawsze jest łatwo ustrzec się tego, by te zębate koła nas nie rozjechały. A cóż pozostaje takim ludziom? Te instytucje są dla nich czymś katastrofalnym, są jak zbliżająca śmierć w pożarze czy powodzi, więc – nie rozważać, nie zastanawiać się, lecz się ratować. Ludzie prości zmiarkowali, że nagonka ma na celu złowienie grubszego od nich zwierza, a nie ich, przeciętnych zjadaczy chleba, że cała wielka siła jest skierowana przeciwko Dawidowi Czchotui. Zwątpili, że uniknie kary, i dlatego zgodnie z mentalnością ludzi niewykształconych sięgnęli po własne środki wyjścia z potoku dowodów winy. Winny Czchotua czy niewinny – przestało to ich zajmować. Prześladowają go, a Bóg wie, być może jest winny, ale my nie jesteśmy winni. Trzymali się długo, ale potem sami zdecydowali się na donosy. Donosy te miały na celu wybielenie samych siebie. Zeznali, najpierw Koridze, potem Mgeladze: „Widzieliśmy, jak Czchotua razem z nieznanymi, obcymi ludźmi, kierował przygotowaniem zabójstwa, mieliśmy kindżały i rewolwery, ale zabójcy także”. Wyjaśnienia były głupie. Czchotua bez zapewnienia sobie pomocy domowników nie był w stanie na nic się zdecydować. Jeżeli już ich pozyskał, to nie byli mu potrzebni obcy ludzie. Tylko Gabisonia był twardy jak skała, no i przeciwko niemu skierowano zeznania nie całkiem wiarygodnych świadków – więziennych recydywistów, ludzi, jak to się mówi, straconych, osądzonych i pozbawionych praw, którzy, by przysłużyć się zwierzchności, wystąpili w nieprzyzwoitej i obrzydliwej roli donosicieli. Byli to Cereteli

oraz Tatarzy Murad-Ali-ogły i Musa-Izmał-ogły. Donosiciele pisali i mówili, że w ich obecności Gabisonia przyznał, że był świadkiem zabójstwa Niny Andriejewskiej. Z drobniejszymi szczegółami opisali ekonomiczny aspekt sprawy, to znaczy, ile srebrników każdemu ze swoich pomagierów zabójców dał Dawid Czchotua. Gabisonia milczał jednak twardo jak kamień. Okazało się, że z obciążających go donosicieli w czasie przewodu sądowego Cereteli przebywał w lazarecie, był chory, Murad był już na zesłaniu. Na sprawie był tylko Musa, ale jego zeznania nie pogrążyły ostatecznie Gabisonii. Stały się prawdziwym objawieniem i były promieniem światła rozjaśniającym całe przygotowawcze pitraszenie sprawy i cały szereg dziwaczných, śmiało powiem, przestępczych manewrów przygotowujących zeznania, zanim te zeznania przybrały prawną formę protokołu śledztwa sądowego.

Musa-Izmał-ogły, wprowadzie katorżnik, ale pod przysięgą, którą muzułmanie bardzo szanują, oświadczył, że jako skazany i ponad wszystko nieszczęśliwy, stał się informatorem oficera policji Waala Loladzego, który obiecał mu wolność i dwa tysiące rubli. Loladze miał awansować, jeśli wykryje zabójców Andriejewskiej. Musa przeleżał piętnaście dni w lazarecie z innymi informatorami, którzy starali się wydobyć i wymusić z Gabisonii wyznanie. Sam na sam przebywał z Gabisonią cztery dni. W celu wydobywania prawdy sięgnięto i po wino, za które z własnych pieniędzy zapłacił Loladze. W obecności doktora Markarowa Loladze wyjął sześćdziesiąt kopiejek. Gabisonii nie udało się upić. Wówczas przystąpiono po prostu do wypracowywania zeznań Gabisonii. Musa obawiał się przysięgi, ale obiecano mu, że nie będzie musiał przysięgać. Loladze uczył Musę, co ma zeznawać, a Musa powtarzał za nim. Następnie odbył się swego rodzaju egzamin, który przeprowadzono w obecności starszego policmajstra, Bellika. Temu spreparowanemu i kłamliwemu zeznaniu nadano formę protokołu sądowego. Musa chciał wycofać zeznanie, ale powstrzymał go szpakowaty śledczy. Poradził mu, żeby trzymał się ustaleń, bo inaczej będzie surowo ukarany.

Katorżnikowi można nie wierzyć, ale osobliwość jego zeznania polega na tym, że doczekało się mnóstwa nieoczekiwanych potwierdzeń, których trudno było się spodziewać. Zeznanie potwierdzili doktor Markarow i starszy policmajster Bellik. W tym stanie rzeczy pozostaje nam tylko podążyć za przykładem Sądu Okręgowego i uznać, że wszystko, co powiedział Musa, jest prawdą. Obaj bezkrytycznie i bez wyrzutów sumienia

razem z Loladzem brali udział we wstępnym urabianiu oskarżonych i wymuszaniu od nich przyznania się do winy. Nie widzieli w tym niczego złego czy głupiego, bo myśleli, że robią to dla dobra sprawy i przyczyniają się do praworządności.

Doktor Markarow nie przyznał się, że głodził Gabisonię, żeby wymóc na nim przyznanie, co wprost potwierdza Murad-Ali-ogły, ale przyznał, że on, lekarz, nie po to, by leczyć, lecz żeby karać za nieposłuszeństwo, temu Łazarzowi, z którego, jak widać, zostały tylko skóra i kości, zmniejszył o połowę rację żywnościową, czyli jednak morzył głodem. Tenże doktor Markarow odkrył także to słynne zadrapanie nad piersią Gabisonii. Nie zostało uznane za ranę. Przekształcono je w poszlakę, jako poszlaka znalazło się nawet w orzeczeniu sądu. Doktor Markarow na prośbę Loladzego nie wypisywał Musy i Murada z lazaretu i wysłał swojego żołnierza po wino, żeby tak upić Gabisonię, by pijanego zmusić do przyznania się do winy. Gwoli dopełnienia tego pięknego obrazu dodam, że jest w tej sprawie materialne świadectwo, czyli list donosiciela Ceretelego do doktora Markarowa: „Mój miłościwy pan, który polecił mi napisać w sprawie tego, co powie Gabisonia”. Ten list ujawnia, że Markarow uznał za możliwe pogodzenie obowiązków lekarza z rolą detektywa amatora. Nieszczęsny człowiek, lecz nie lekarz! Mam nadzieję że medycyna rosyjska nie straciła na honorze, że niewielu jej przedstawicieli mogłoby się zdecydować na takie jawne lekceważenie powinności swojego zawodu i sztuki lekarskiej. Pułkownik Bellik, starszy policmajster, naiwnie, ale z aprobatą opowiadał, że agent Loladze, jego podwładny, podawał się za przyjaciela i pomocnika oskarżonych, o co mieli prosić ich krewni. Dopuścił się więc skandalicznego aktu oszukaństwa i sprzeniewierzenia się swoim obowiązkom. Wywierał presję moralną na oskarżonych. Obiecał, że jeśli się przyznają, zostaną przeniesieni z pojedynczej celi do ogólnej. Nakłaniał do z góry ustalonych zeznań w zamian za lepsze warunki, chociaż zgodnie z prawem zmiana warunków to uprawnienia sędziego śledczego. Nadużycie władzy, preparowanie zeznań świadków, tortury, podżeganie do kłamstwa. Dostęp do tych kryminalnych cudowności miał Sąd Okręgowy, ale to bogactwo go nie zainteresowało. Nikogo nie oddano pod sąd i nie wszczęto dochodzenia przeciwko Loladzemu, który rozsądnie się nie ujawniał. Dzięki sądowi jednak i za to, że dokonał swoistej amputacji i usunął kilka wyraźnie fałszywych dowodów winy przedstawionych przez oskarżenie, i oddalił zeznania mające wzmocnić

winę. Oddalił także wymuszone na Gabisonii przyznanie się do winy. Zgodził się z tym również prokurator, który nie zaprzeczył, że niektóre działania Loladzego były niezgodne z prawem. Jednocześnie sąd odrzucił jako niewiarygodne przyznanie się do winy przez drugiego oskarżonego, Mgeladzego, a więc i przez trzeciego, Koridzego. Jeśli zatem nie wspomniał o Koridzem, to dlatego, że Koridze żył, a opinia o niewystarczalności przyznania się do winy byłaby przedwczesna przed postawieniem Koridzego przed sądem i albo potwierdzeniem, albo odrzuceniem jego zeznań w śledztwie. Sąd założył, że jeśli Loladze w niedopuszczalny sposób wymusił na Gabisonii zeznanie, to te same sposoby zastosował wobec Mgeladzego i Koridzego – upijanie wódką, obiecywanie korzyści, podawanie się za kogoś innego, czyli przemoc i oszustwo. Dlatego sąd uznał, że wyegzekwowanie od Mgeladzego, a więc i od Koridzego przyznania się do winy niezgodnie z prawem, podstępem i obietnicami korzyści, które dla osadzonych w pojedynczych celach były niezwykle ważne, nie mogło budzić zaufania. Jednym słowem – sąd postąpił tak jak ktoś, komu zdarzyło się podać do stołu nadgniłe jabłko. Najpierw wycina więc porażone zgnilizną plamy, a potem podaje zdrową resztę. Właśnie o te plamy rozpoczął się spór między prokuraturą a sądem. I to jest główny temat wniesionego przez nią protestu. Wiceprokurator używa następującego chwytu: sfalszowany dowód nazywa nieprzepisowym, nie całkiem właściwym, a konkluzja jest taka: skoro niewłaściwie zebrane dowody materialne (na przykład podczas rewizji czy w wyniku konfiskaty) nie przepadają, mimo wszystko uznaje się je za użyteczne dla sprawy, to i niewłaściwie zdobytych zeznań Mgeladzego i Koridzego nie powinno się eliminować. Nie można w nie wierzyć, kiedy podsądni się bronią, ale trzeba w nie wierzyć, kiedy oskarżają innych, na przykład Dawida Czchotkę. Rozumiem, że taki pogląd jest wygodny dla oskarżenia jako sposób na złapanie w zastawione sidła możliwie największej liczby osób naraz – i winnych, którym się nie wierzy, i posądzanych, że są winni, na których ci winni zrzucają swoje grzechy. Wątpię, czy ten sposób jest właściwy, uprawniony i zgodny z prawdą. Niech mi będzie wolno przedstawić moje racje.

Pojęcia „właściwy” i „niewłaściwy” oraz „sfalszowany” i „niesfalszowany” należą do różnych kategorii. Nie można powiedzieć, że sfalszowany dokument jest niewłaściwy dlatego, że nie ma wszystkich cech, które świadczyłyby o jego autentyczności, ale dlatego, że jest

falszywy, czyli jest oszukańczym obrazem sfabrykowanym przez kogoś. Zeznania sfabrykowane przez Loladzego nie są niewłaściwe, lecz sfalszowane, mogą być dowodem materialnym przeciwko niemu i podstawą do oskarżenia go z artykułów 237 i 942 *Kodeksu kar głównych i poprawczych*, przewidujących zagrożenie karą pozbawienia wszelkich praw stanu i zesłania na ciężkie roboty (katorgę) w twierdzach. Odrzucam teorię wiceprokuratora, jakoby dowód materialny niezawodnie był dowodem winy bez względu na to, gdzie i jak go uzyskano. Gdyby mnie jako prywatnemu człowiekowi polecono przeprowadzenie rewizji u mojego przeciwnika i przedstawienie pozyskanych podczas rewizji dowodów materialnych, wątpię, by tak zdobyte pieniądze i dokumenty uznano by za dowody przeciw niemu. Za taką rewizję bym się nie wypłacił. Gdyby śledczy prowadził śledztwo jawnie i był nim osobiście zainteresowany, sądzę, że przedstawione przez niego siekiery, łomy, broń i łopaty odrzucono by jako nie mające znaczenia, nie dano by wiary także krwawym śladom na odzieży, dlatego że te wszystkie rzeczy znajdowały się w nieuczciwych, nieczystych rękach i łatwo mogły być sfabrykowane. Dziwię się temu bezceremonialnemu sposobowi oceny dowodów. Ten sam dowód uważa się za przydatny lub nieprzydatny. Ważny jest cel, do którego mógłby być użyty. Treść nie jest istotna. Zgadzam się, że jakaś rzecz mogła być częściowo zepsuta, na przykład połowa zgniłego owocu, ale stwierdzam, że są przedmioty – i należą do nich zeznania – które z technicznego punktu widzenia w sądzie uznaje się za całkowicie zepsute, na przykład herbata, gdy wleje się do niej łyżkę atramentu. Mimo woli ta herbata przyprawiona atramentem kojarzy mi się z zeznaniami Mgeladzego i Koridzego. Taką herbatę podano w akcie oskarżenia. Łyknęli. Wysłuchawszy Musy-Izmaïł-ogły, zmienili zdanie – nie nadaje się. Nie, protestuje wiceprokurator – niedobry był łyk, ale dlaczego nie założyć, że wszystko, co oprócz tego łyku pozostało, było znakomite. Mogę wykazać, że nie było znakomite. Zeznania nie można przyrównać do dowodu materialnego, ale jeśli już przyrównywać, to do czegoś takiego jak herbata z atramentem lub miód przyprawiony dziegciem.

Każda mowa, słowo, zeznanie nie jest przedstawieniem rzeczy czy przedmiotów, lecz naszych idei i wyobrażeń o przedmiocie, są one zabarwione naszym Ja, przeniknięte naszą subiektywnością, są w istocie wytworem zewnętrznych wrażeń i naszej subiektywności.

Kiedy ktoś zeznaje o przedmiocie, to powstają dwa problemy. Pierwszy problem: czy dane mu było obserwować, a może jego umysł nie był wolny od bezsensownych idei, przesądów, opacznych pojęć, które przeszkadzały w postrzeganiu zdarzenia. Drugi problem: czy ten ktoś chce przedstawić prawdę, a może chce osiągnąć korzyści, może mu grożono, może go straszono i zmuszano, by kłamał i przedstawiał zmieniony obraz tego, o co go pytają. Raz tylko udowodniono, że były strach, oszustwo, podstęp, szantaż. Zeznanie tak spartaczono, że nie tylko sąd, ale nawet historyk nie lekceważący żadnych materiałów nie może się nim posłużyć. Ci, którzy twierdzą, że wymuszone zeznanie może być dowodem, nie znają historii, nie słyszeli o zniesieniu w 1801 roku tortur, o *Nakazie* Katarzyny II [czyli instrukcji dla komisji mającej opracować projekt nowego kodeksu praw], o starym i nowym systemie sądownictwa, chcą nas cofnąć do szczęśliwych czasów Piotra I Wielkiego i Aleksego Michajłowicza, kiedy nakładano dyby, sadzano na hiszpańskiego osła, łamano nogi, wkładano hiszpańskie buty. Poddany torturom oskarżony przyznał się do winy. Sprawa zakończona, wyrok gotowy. Na szczęście tej hańby i Świętej Inkwizycji nie przeżyliśmy, a wymuszone zeznania obracają się przede wszystkim przeciwko wymuszającemu. Najważniejsza kwestia: czy zeznania Mgeladzego i Koridzego wymuszono? Nie ma wątpliwości, że poświadczają to niemi już świadkowie Gabisonii.

Musa-Izmał-ogły zeznał, że Loladze bez zgody lekarza wypuścił go z lazaretu, posadził z Zurabem Koridzem i po wymuszeniu zeznań uczył Koridzego, jak ma zeznawać. Także starszy policmajster Bellik radził, żeby zeznawał zgodnie z tym, czego nauczył go Loladze. Wszystko się działo w zamku Metechi [zamienionym na więzienie]. Nawet Bellik przyznał, że za zeznanie obiecał Mgeladzemu opuszczenie pojedynczej celi i złagodzenie kary. Jest też niewątpliwie prawdziwe zeznanie Dmitrija Sapary-Szwilego. Sapara-Szwili mówił, że Mgeladze i Koridze obwiniali się wzajemnie o to, że za namową Loladzego złożyli fałszywe zeznania i że przed śmiercią Mgeladze bardzo się męczył. Poprosił Saparę-Szwilego, żeby wyjawiał, że męczony przez Loladzego, niesłusznie oskarżył niewinnych ludzi.

Panowie sędziowie, sąd słusznie więc postąpił, odrzucając półprzyznanie się Mgeladzego i Koridzego do winy, jako skażone organiczną przywarą, jako wymęczone i jawnie bezprawne.

Podczas odcinania porażonych gangreną członków trzeba działać energicznie i stanowczo, trzeba wyciąć zgniliznę z korzeniami, trzeba głęboko ciąć jabłko i odrzucać nie tylko ciemnobrązowe plamy, ale i jasnobrązowy miąższ, oddzielać zgniłe od zdrowego. Sąd nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Nie oddał pod sąd Loladzego, więc głęboko nie ciął, nie usunął wszystkich porażonych zgnilizną plam, lecz wiele z nich wykorzystał. Przyjrzyjmy się na przykład zeznaniu Dgebuidzego. Świadek ten, mówi sąd, podczas śledztwa wstępnego zeznał, że tydzień przed zabójstwem Andriejewskiej Gabisonia radził się, jak ma postąpić, bo jest namawiany do zabicia Andriejewskiej. Zeznanie nie zostało zdementowane, zatem jego wiarygodność nie budzi podejrzenia. Kim jest Dgebuidze? To katorżnik pozbawiony praw stanu, na pewno podsunięty przez śledczego Cinamzgwarowa. Przepadł bez śladu, nie można było go odszukać. Na próżno Gabisonia się zaklinał, że go na oczy nie widział, że nie jest jego znajomym, że w Ogrodzie Aleksandrowskim nie mógł się nikogo radzić. Ze sprawy wynika, że tydzień przed wypadkiem nie istniał jeszcze nawet powód do niezadowolenia, który eksploatuje się w akcie oskarżenia jako motyw zbrodni – zwolnienie Dawida Czchotuy z funkcji zarządzającego. Tak czy owak, oświadczenie Gabisonii powinno się przyczynić do obalenia zeznania Dgebuidzego. No tak, ale kto przed takim podstępem, przed takim sądem wytrwa i oczyści się z zarzutów? Włosy stają dęba na głowie. Złodziejaszek, włóczęga, nie pamiętający, skąd pochodzi, powie mi w oczy: „Przyznałeś mi się, że kradłeś, że zabiłeś i cudzołożyłeś”. Zostanę osądzony, bo tego nie zdementowałem. Co mam dementować, jak mam udowodniać fakty, których nie było, że ani nie kradłem, ani nie zabijałem. Powiniennem teraz pokłonić się przed sądem i powiedzieć: „Zginałem”, bo złodziejaszek postanowił mnie obmówić, a ja jego zeznania nie zdementowałem?

Jest też drugi świadek podsunięty przez Cinamzgwarowa, Kirył Kowalski, strażnik leśny w Dre, który zeznał, że Dawid Czchotua chwalił się, że niedługo znów zostanie zarządzającym. Na nieszczęście usłyszał to od innego strażnika leśnego, Gieorgija Modebadzego, co więcej – Modebadze zaprzecza, jakoby coś takiego powiedział. Wszystko na próżno.

Zeznanie Kowalskiego się ostało. Pojawia się przypuszczenie, że być może chodzi o innego strażnika leśnego o imieniu Gieorgij, ale tego przypuszczenia nie jest w stanie podważyć nie kwestionowane zeznanie Dawida Czchotuy, że strażników leśnych było niewiele i że związek ze

śledztwem miał tylko jeden z nich, i to podobno jako świadek (zasugerował go sędzia pokoju – rzadka sprawa, i pikantna). Tego rodzaju świadków urabiał Cinamzgwarow. I jeszcze rybacy, którzy wcześniej przeszli przez jego ręce i już urobieni trafili do śledczego. Ich zeznania złożone przed Cinamzgwarowem zostały potem spisane. W ciągu całego śledztwa Cinamzgwarow jest w centrum wszystkich działań, z nim się naradzają, kiedy przesłuchują Ceretelego i innych świadków katorżników, słuchają go. Wszystkie nitki śledztwa łączą się z jego osobą. Jedna ciemna plama, przez sąd już nieco podczyszczona, to Loladze, druga, po przeciwległej stronie, to Cinamzgwarow. Nie uczynię Cinamzgwarowowi takiej krzywdy, żeby postawić go choćby na jedną minutę w szeregu z oficerem policji Waalem Loladzem. Różnica jest ogromna. Loladze, jak twierdzą aresztanci, lubi się wysługiwać, a Cinamzgwarow sprawia wrażenie gorliwego, bezinteresownego poszukiwacza prawdy. Właśnie dlatego, że ma więcej siły przekonywania, uważam, że bardziej szkodzi niż Loladze. W przekonywaniu, nawet fałszywym, tkwi magnetyczna siła, która jest większa od siły ognia armat Kruppa. Jest porażająca. Właściwie się nie dziwię, że śledczy się nią zarazili. Proszę mi pozwolić pokrótce zarysować tę w najwyższym stopniu oryginalną rolę, jaką w tej sprawie odgrywał Cinamzgwarow.

Cinamzgwarow opowiada, że jest stałym świadkiem wszystkich ważniejszych spraw dziejących się w Tyflisie (na przykład zabójstwa konsula) i dlatego nie może odmawiać śledczemu swoich rad... Taki stały świadek nie mieści się w zakresie definicji świadka. Taki świadek przywódca, taki ochotnik nie związany obowiązkami swojego zawodu i nie odpowiadający za popełnione błędy, ten Gaboriau<sup>15</sup> przemieniony w sędziego śledczego, jest straszny i niebezpieczny. Cinamzgwarow nie znał pań Andriejewskich. Mógł o nich słyszeć mimochodem od swojego krewnego Sułchanowa. Pierwszy raz był w domu Szarwaszidzego w nocy, gdy zniknęła Nina. Cinamzgwarow to szczerza natura, bardzo prosto i naiwnie przedstawił procesy psychiczne zachodzące w jego duszy. Ścieżka rzeczywiście była stroma. Cinamzgwarow nabrał przekonania, że Nina Andriejewska nie schodziła po tej ścieżce. Podniósł trzewiki, obejrzał je. Były objawieniem – suche, ze śladami zieleni. Uznał, że doszło do przestępstwa, natychmiast zasugerował, żeby aresztować służących. Kiedy zostali już aresztowani i się niepokoili, zamienili kilka słów z Dawidem Czchotua. Cinamzgwarow w trakcie zeznania momentami zachowywał się



jak policjant na służbie. Krzyknął: „Przyłapaliśmy ich, Gabisonia mówił, czyli starał się ukryć przestępstwo”. Cinamzgwarow nie miał już wątpliwości, że to przestępstwo. Suche trzewiki ostatecznie przekonały go o winie zarówno służących, jak i Dawida Czchotuy. Zachowuje się niczym Hamlet w znakomitej scenie w teatrze. Wbija oczy w twarz Czchotuy i najmniejsze nerwowe drżenie w czasie tej nocy, tak bogatej w przeżycia, przypisuje wyrzutom sumienia. Widzi białe jak płótno twarze braci Czchotua, gdy myślą o rewizji. Dawid wyłamywał sobie palce, tarł brodę, czuł, że robi mu się niedobrze. Zeznanie Iwana Sumbatowa złożone podczas śledztwa sądowego było inne. Sumbatow mówił, że Dawid Czchotua obojętnie podchodził do tego, co się działo. Dziwi się. Cinamzgwarow jedzie z Kobijewem, żeby obejrzeć zwłoki Niny Andriejewskiej, bierze udział w ich obdukcji, przygląda się powstałym za życia podbiegnięciom krwawym, uczestniczy w urabianiu fałszywych policyjnych świadków i w ich przesłuchiowaniu, między innymi Ceretelego. Utwierdza się coraz bardziej w przekonaniu o winie Dawida Czchotuy albo raczej obserwuje, jak jego przekonanie stało się powszechne, definitywne i triumfująco dominuje. Nie przebiera w środkach. Doprowadza katorżnika Dgebuidzego. Przyczynia się do tego, że bandyci dochodzą do głosu, że wyrzutki społeczeństwa wypływają na powierzchnię.

Z Cinamzgwarowem działo się to, co dzieje się z osobą skłoną do uniesień, co dzieje się z fanatykiem. Cały się oddał idei, która go zawojowała, gotów był się na nią zaklinać, na nią przysięgać. Tacy ludzie to twórcy legend. Legendy nie jest w stanie stworzyć ani jej rozprzestrzenić byle Loladze, gdyż legenda potrzebuje wiary. Kiedy ta żywa wiara się uaktywnia, kiedy poddają się jej setki i tysiące wyznawców, którzy są słabi, przeciętni, wtedy i tylko wtedy zjawiają się kombinatory. Oni na tej wierze opierają swoje chytrze pomyslane kalkulacje. Jedni przypominają uduchowionych proroków (to początek każdej religii), a drudzy augurów doświadczonych w nabieraniu publiczności. Cinamzgwarow mógł więc leć pudowym ciężarem na wadze i przeważyć szalę oskarżenia. Nie znająca szczegółów publiczność, żadna pikantnych szczegółów, widząc i słysząc człowieka z samego ołtarza wymiaru sprawiedliwości, znającego ostatecznie protokoły i zdradzającego wyniki ostatecznego przesłuchania i ostatecznego zatrzymania, z otwartymi ustami łowiła każdą sentencję i powtarzała na tysiąc sposobów jako rzetelną prawdę osobiste, subiektywne poglądy Cinamzgwarowa, przywykła na wszystkie okoliczności sprawy, nawet

drobne, patrzeć jego pełnymi uprzedzeń oczyma. Temu nastrojowi publiczności wtórowała prasa, a prasa woli rozpoznawać życzenia tłumu, niż iść pod prąd. Pojawiło się dziwne zjawisko – nagonka na ludzi, wobec których całe społeczeństwo było wrogo nastawione. Jak grzyby po deszczu pojawiali się świadkowie oskarżenia. Przeważnie fałszywi, na przykład Oskanow, później oskarżony o oszustwo. Powołał się na Chundzadzego i podał numer powozu (406), którym wywozili schowane w worku ciało Niny Andriejewskiej. W trakcie konfrontacji Oskanow nie rozpoznał Chundzadzego. Jest też interesująca informacja redakcji „Tyfliskiego wiestnika”, że prawie każdego dnia otrzymywała sugestie i rady, proponowano rozpoczęcie zbiórki pieniędzy na rzecz policji, by miała więcej środków na odnalezienie zabójcy Niny Andriejewskiej. Nie mam odpowiednich danych, ale słyszałem, że podobne zbiórki już przeprowadzono. Być może na te pieniądze liczył rozporządzający środkami na upijanie podsądnych Waal Loladze. Na ten sam ton co publiczność nastroiła się władza sądownicza, która zaprosiła Cinamzgwarowa w charakterze stałego świadka, w charakterze doradcy oraz uczestnika śledztwa. Są postanowienia i protokoły, które porażają swoją niezwykłością, nikt czegoś takiego nie widział, jak Rosja długa i szeroka, chyba że gdzieś nie obowiązują ustawy sądowe. Dla przykładu wskażę postanowienie o aresztowaniu Melitona Kipianiego, służącego zwolnionego przez Dawida Czchotę. Dwudziestego drugiego lipca [trzeciego sierpnia] przyszedł do domu Szarwaszidzego – jedyna mocna poszlaka, jedyna podstawa aresztowania. Dodatek był taki: „Są przeciwko niemu też inne poszlaki, których oskarżenie nie mogło podać, bo ich ujawnienie zaszkodziłoby sprawie”. Drugi przykład. Prowadzący śledztwo w Kutaisie polecieli miejscowej policji sprawdzenie, z kim przestawał Szarwaszidze i czy nie miał zamiaru wysłania do Rosji kogoś, kto by zabił jego szwagra, Konstantina Andriejewskiego. Policja może prowadzić dochodzenia w dowolnej sprawie. Jeżeli nakazuje się jej prowadzenie dochodzenia, powinna założyć, że są podstawy prawne, by sądzić, że to Szarwaszidze jest zabójcą. Gdzie są materiały na ten temat? Są jakieś mętne pogłoski i śledczy postanawia sprawdzić, czy nie jest zabójcą człowiek, na którego nie ma nawet donosów. Trzeci przykład. Kiedy zaczęło się śledztwo w Kutaisie, co i gdzie Szarwaszidze i Anczabadze jedzą na śniadanie i na obiad, pojawiły się anonimowe listy. Śledczemu miały grozić różne przykrości. Być może te anonimy pisał Dawid Czchotua, ale skutek

takich samych anonimów 28 sierpnia [9 września] 1876 roku aresztowano go jako podejrzanego o zabójstwo Niny Andriejewskiej. Wbrew artykułowi 398 *Ustawy postępowania sądowego karnego* został przesłuchany dopiero 2 [14] września, więc samowolnie pozbawiono go wolności przez pięć dni, ponieważ postanowienie o aresztowaniu można wydać dopiero po zatrzymaniu i przesłuchaniu.

Pod wpływem powstałego i w społeczeństwie, i wśród przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości podejrzenia wszczęto śledztwo. Szukano sił i osób, dla których Czchotua był jakoby parawanem. Jeśli nie było faktów, stawiano hipotezy, dopasowywano zeznania świadków i fakty do z góry powziętych przypuszczeń i interpretacji. Cały przebieg śledztwa charakteryzował się tendencyjnością. Oczywiście w większości wypadków takiej tendencyjności nie sposób wykazać. Przejawiała się w tym, że okoliczności uniewinniające traktowano mimochodem. Są jednak zeznania, w których widać jak na dłoni, że dostosowywano je do z góry przyjętej koncepcji, czyli zeznania oskarżonych Mgeladzego i Koridzego oraz zeznania Warwary Andriejewskiej. Mgeladzego, Koridzego i Andriejewską przesłuchiowano wielokrotnie. Uzyskane informacje były względem siebie sprzeczne, ale zgodne ze zmieniającymi się przekonaniem i poglądami śledczego.

To przede wszystkim z opowieści Mgeladzego i Koridzego przebija zamiar przedstawienia Niny Andriejewskiej i Dawida Czchotuy w taki sposób, by stała się prawdopodobna ich wrogość. Przypominają one dzieło pisarza, który nie zna realiów, ale myśli, że ukaze swoich bohaterów prawdziwie, jeśli włoży im w usta parę przekleństw. Nina i Dawid wymyślają sobie jak pastuchy. Andriejewska w cudzym domu wyzywa cudzą służbę od suczych synów, Czchotua mówi: „Po co, do cholery, oni przyjechali” i słyszy zapewnienie Zuraba Koridzego: „Niech mi dadzą komunię z psiej krwi, jeśli zdradzę”. Co za dno! Szkoda tylko, że to takie prostackie i świadczy o poziomie inteligencji twórców. Zeznania Mgeladzego i Koridzego dotyczące popełnienia przestępstwa są oparte na wstępnym przypuszczeniu policji, że zwłoki rzucono do rzeki na lewo od wiru i że bez przeszkód popłynęły do Karajazu. By je wrzucić, trzeba było wejść do rzeki. Dlatego zdaniem Koridzego buty Dawida Czchotuy były mokre.

Bodźcem do tego wymuszonego półprzyznania się Mgeladzego i Koridzego była obietnica niekaralności albo zmniejszenia kary. Trzeba

było jednak wymyślić wyjaśnienie typu i wilk był syty, i owca cała. Mgeladzego i Koridzego zmuszono, by stali się niemymi świadkami zabójstwa. Odebrano od nich stosowną przysięgę. Mają obwiniać Dawida Czchotę, więc na scenie pojawiają się widma czterech odzianych w ciemne czerkieski rycerzy z kindzałami. Dawid Czchotua stoi na ich czele. W celu ułatwienia im pracy Dawid Czchotua nakazuje zabić jednego psa, a pozostałe zamknąć. Podczas przeprowadzonej 2 [14] sierpnia rewizji u Czchotuy nie znaleziono ani brudnych butów, ani trzewików, znaleziono jednak rewolwer. Miał nim machać i krzyczeć do Mgeladzego: „Zabiję cię i wrzucę twojego trupa do rzeki”. Mgeladze zeznał, że okno w pokoju Czchotuy na pewno było otwarte, ale z nie budzącego wątpliwości zeznania Warwary Andriejewskiej wynika, że było zamknięte i zasłonięte. Taka była pierwsza seria zeznań zdobytych w czasie, gdy Gabisonia jeszcze się trzymał i gdy obwiniały go tylko języki Ceretelego i Musy-Izmaïła-ogły.

Zeznania Ceretelego nie zweryfikowano, ale jest jego zapis. Jest też zeznanie Musy. Sam je wspaniale obalił w sądzie. W obu zeznaniach jest już nowe wyjaśnienie zabójstwa w związku z rozpowszechnianymi wątpliwościami, czy ciało Andriejewskiej mogło przepłynąć w jedną noc z Tyflisu do Karajazu. Jeżeli nie przepłynęło, to zostało wywiezione i wrzucone do wody, powinien więc się znaleźć ktoś, kto widział powóz. Zaczęto poszukiwać ludzi, którzy widzieli odznaczający się czymś szczególnym w sposobie jazdy powóz. Pojawiły się zeznania osób, które coś podobnego zauważyły. Chodziły słuchy, że jakaś kobieta w jadącym brzegiem Kury powozie biła dwóch mężczyzn. Karapet Agarow, generałowa Minckwitz i stróż jej domu Grikur Eliazarow, Princewowie i major Alichanow widzieli na własne oczy powóz czy też powozy z wieloma pasażerami (mężczyznami i kobietami). Pędził czy też pędziły od Kólecza do mostu Michajłowskiego. Czy był to jeden powóz, czy było ich więcej – to kwestia do wyjaśnienia. Wiadomo przynajmniej, że powóz, w którym zdaniem Minckwitzów siedziała między mężczyznami kobieta w czerni z rozpostartymi ramionami, mógł być powozem, z którym miał do czynienia Alichanow. Starał się obciąć szablą uprzęż i widział, że u nóg mężczyzn leżało coś w worku. To poplątanie z pomieszaniem dopełnia informacja, że Iwana Wartanowa, właściciela duchanu (gospody) usytuowanego przy jednym z zejść do Kury, obudziła rano jakaś wesoła kompania. Prawie wybito mu okno. Ktoś krzyknął: „Ośli synu, dawaj wódki” i rzucił rubla, na resztę nie czekał. Kompania odjechała. I do tej

opowieści dodali: „Być może zabójcy tak się z radości rozochocili, że zakończyli swoje ciemne sprawy”. W wyniku tych zeznań legenda stanowczo przyswoiła sobie powozy, a w ślad za legendą pojawiło się zeznanie Gabisonii złożone w lazarecie, już całkowicie różne od zeznań Mgeladzego i Koridzego. Niny nie uduszono w kuchni, ciała nie niosą na placyk, lecz prosto przez dziedziniec do powozu, wkładają do worka i wiozą pędem w stronę tyfliskiego przedmieścia Ortaczali (to wtedy powóz chce zatrzymać Alichanow), a za Ortaczali do zejścia nad rzekę. Tak wyobrażał sobie sprawę doktor Markarow. Znamy imię powożącego (Niko) i numer powozu, wiemy, ile pieniędzy otrzymał każdy najemnik. Jak pogodzić zeznania Mgeladzego i Koridzego z zeznaniami Gabisonii? Znając melodię, łatwo pominąć dysonanse i poprzestać na zgodnych akordach. Jedni mówią: wrzucili do rzeki, drudzy – wywieźli. Wszyscy mówią – zabili. Jeśli jednak została zabita, to czemu gubią się w sprzecznościach?

Wskutek dalszej obróbki sprawy szczegóły coraz bardziej się ulatniały, nawet powóz zniknął, ale ostało się to, co najważniejsze i niczym nie udowodnione – hipoteza o rycerzach w czerkieskach, o wszechmocnych zabójcach i ten miraż, ta kwintesencja legendy, naraża teraz oskarżonych na ciężkie roboty (katorgę). Niejasne zeznanie dotyczące powozu zmusiło do zapomnienia o zeznaniach Mgeladzego i Koridzego, ale wspomnieli o nich apelujący wiceprokurator Chłodowski w swoim proteście. Dlaczego by po nie nie sięgnąć i nie dowieść, że są sfabrykowane? Mam nadzieję, że ja już tego dowiodłem i dowiodę raz jeszcze. Przypomnijmy sobie mokre buty i rewolwer Czchotuy. Mokrych butów nie znaleziono, a rewolwer według zeznania Konstantina Dadaszikolaniego został kupiony razem z nabojami za dwadzieścia jeden rubli i pięćdziesiąt kopiejek następnego dnia po wypadkach 22 lipca [3 sierpnia], gdy Czchotua zdał sobie sprawę, że jest narażony na niebezpieczeństwo nie tylko ze strony wymiaru sprawiedliwości, ale i ze strony społeczeństwa. Dlatego nabył to śmiertelne narzędzie. Sprzeczności w zeznaniach Warwary Andriejewskiej nie będę wyłuszczał, już na nie wskazywałem, biją w nos i rażą oczy. Wiadomo, że gorliwi śledczy Kobijew i Cinamzgarow przesłuchiwali Warwarę Andriejewską w Tyflisie, tymczasem w Odessie, podczas szczegółowego wypytywania o to, o co była już pytana w Tyflisie, wydobyto od niej zeznania różne od tych, które złożyła wcześniej w Tyflisie. Przypomnę tylko końcowe słowa zeznania złożonego

w obecności Kobijewa i Cinamzgwarowa 28 lipca [9 sierpnia] w Tyflisie: „Między Niną a Czchotwą nie dochodziło do nieprzyjemności. Jest mi niezmiernie przykro, że z powodu tej sprawy pojawiły się publiczne zarzuty pod adresem Czchotuy i mojego zięcia. Ja tym pogłoskom nie wierzę i jestem pewna, że nie doszło do przestępstwa. Był to nieszczęśliwy wypadek podczas kąpieli, na którą moja córka Nina, a znam jej charakter, śmiało mogła się zdecydować”.

Wiele takich stwierdzeń i opinii poszło w zapomnienie. Z zeznań Warwary Andriejewskiej wzięto jej następne, późniejsze wypowiedzi, kiedy tej słabej kobiecie wmówiono już, że Nina została zabita, i to one znalazły się w uzasadnieniu wyroku.

Działalność Sądu Okręgowego w tej rozprawie scharakteryzowałbym następująco: Sąd Okręgowy miał przed sobą najtrudniejszy materiał – czyste, krystaliczne strugi przekazu historycznego zlewające się z mętными potokami bezwiednie kłamliwej legendy, z brudnymi i cuchnącymi osadami z kloak fałszu, z umyślnie spreparowanymi zeznaniami. Sąd, przynajmniej w swoim mniemaniu, starał się być krytyczny, ale mu się nie powiodło. Pływającą po powierzchni widoczną padlinę i nieczystości odrzucił, ale potem zapomniał, że do tak oczyszczonej cieczy, bez widocznych drobin, wmieszał się brud, że niewidoczne dla oka miazmaty zostały rozcieńczone w całym roztworze i zanim sięgnie się po tę wodę, trzeba ją przefiltrować, a być może nawet poddać destylacji.

Nie urażę panów sędziów, jeśli powiem, że i ja, i moi klienci mamy nadzieję, że panowie sędziowie wykonają tę wielką i trudną pracę. Odwołujemy się do sumień panów sędziów. Kończę więc bez retorycznych ornamentów i bez frazesów – jestem przekonany, że oskarżeni są niewinni.

---

Tyfliska Izba Sądowa utrzymała w mocy wyrok sądu przysięgłych. Włodzimierz Spasowicz we wstępie do wydanego w 1894 roku szóstego tomu dzieł tak wspominał ten wyrok: „W sprawie tyfliskiej do tej pory nie mogę się uwolnić od najgłębszego przekonania, że skończyła się żalną pomyłką, że ucierpieli niewinni ludzie wskazani przez wypaczoną, fałszywą wieść gminną”.

## 2

# Sprawa o przestępstwo przeciwko państwu (tak zwana sprawa nieczajewowska)<sup>16</sup>

Proces toczył się od 1 [13] lipca do 28 sierpnia [9 września] 1871 roku przed Petersburską Izbą Sądową.

### Mowa w obronie Aleksieja Kuzniecowa

Panowie sędziowie. W Chersoniu mieszkała pewna kupiecka rodzina, niezbyt typowa dla tego środowiska. W tej składającej się z ojca i trzech synów rodzinie odnoszono się do siebie serdecznie. Stosunki między nimi opierały się bardziej na przyjaźni niż na władzy rodzicielskiej. Ojciec nie szczędził środków na możliwie najlepsze wychowanie synów, najstarszego z nich, Aleksieja, wysłał najpierw do szkoły handlowej, a potem na najlepszą uczelnię – Pietrowską Akademię Rolniczo-Leśną pod Moskwą. Z nim wiązał największe nadzieje. Aleksiej Kuzniecowa był pod każdym względem uczciwym człowiekiem. Za takiego miano go w Akademii. Z całą pewnością można stwierdzić, że przez całe lata nie miał wroga lub kogoś mu nieżyczliwego. Był dobrym synem, dobrym przyjacielem i kolegą, wyrozumiałym i serdecznym człowiekiem. Taki był Aleksiej Kuzniecowa we wrześniu 1869 roku. W nocy z 2 [14] na 3 [15] grudnia, po upływie niespełna dwóch i pół miesiąca, widzimy Kuzniecowa oderwanego od swego gruntu, od zajęć, rzucającego się w wir agitacji i propagandy, wykładającego studentom zasady działania organizacji, świadomego bądź nieświadomego uczestnika machinacji i akcji, zdaniem organizatora spisku zmierzających do dokonania w Imperium Rosyjskim straszliwego przewrotu, postawienia wszystkiego, co istnieje, do góry nogami, zlikwidowania wszystkich wyższych warstw społecznych i nawarzenia takiego piwa, nie tylko rosyjskiego, ale też europejskiego, którego – jak pisał w jednym z listów [Siergiej] Nieczajew – nasi potomkowie nie zdołają wypić nawet przez pięćdziesiąt lat. Wszyscy wiemy, że pomysły młodych ludzi są tak zmienne jak morskie fale. Każdy z nas doświadczył tego na

sobie albo zauważył, że młody człowiek po opuszczeniu szkolnej ławy czy też jeszcze w szkole styka się z wymogami swoich czasów, z atmosferą lat, w których żyje. Przez kilka miesięcy młodzi ludzie przechodzą przez wszystkie stadia, przez wszystkie epoki, główne fazy rozwoju ludzkości. W ciągu kilku tygodni młody człowiek może się stać mistykiem bądź skrajnym sceptykiem, konserwatystą bądź rewolucjonistą, protestantem, katolikiem bądź ultraprawosławnym. Każdemu z nas w pewnym okresie wydawało się, że jest tytanem mogącym zdobyć cały świat, stworzyć go od nowa i przekształcić w raj na ziemi. Ten okres mijał i tytan wracał do codziennych zajęć, stawał się dobrodusznym filistrem, gorliwym i solidnym urzędnikiem. Jeśli w tych burzliwych, bezgrzesznych latach młody człowiek związał się z innymi podobnie myślącymi młodymi ludźmi i założył tajną organizację, to nie jest to jeszcze nieszczęście. Takich organizacji powstaje bardzo wiele, powstają dlatego, że największym pragnieniem młodych ludzi pochłoniętych jakąś nową ideą jest nieodparta chęć podzielenia się nią z innymi i uczynienia ich współwyznawcami nowej idei. Jeśli nawet dojdzie do wpadki, to będzie to miało przykre konsekwencje dla młodego człowieka. Trafi do więzienia lub zostanie skazany na zesłanie, ale jest na tyle silny, że więzienie, które dla wielu oskarżonych o udział w słusznej sprawie będzie oznaczało utratę sił i śmierć, nie złamie go. Trzeba przy tym podkreślić, że kary za przynależność do tajnych stowarzyszeń są obecnie znacznie niższe niż dwadzieścia lat temu. Kuzniecowski przydarzyło się jednak gorsze nieszczęście. W ciągu niespełna dwóch i pół miesiąca, trafiwszy w wir działalności spiskowej, nie tylko pociągnął za sobą wielu ludzi, ale też splamił swoje ręce krwią. Przyczynił się, choć niebezpośrednio, do tragicznej śmierci niewinnego człowieka, śmierci swego przyjaciela, kolegi, którego szanował i którego obowiązany był bronić. Jeśli w życiu człowieka następuje taka zmiana, że staje się zupełnie inną osobą, to tę zmianę można wyjaśnić w dwojaki sposób. Jako psychologiczny proces rozwoju osobowości, tego, że człowiek wychowany w konkretnych warunkach, mający taki, a nie inny stosunek do życia, gdy znajdzie się w jakiejś sytuacji, dojdzie do określonych wniosków i z własnej woli zdecyduje się na podjęcie pewnych działań. Może być też inna przyczyna, a mianowicie wpływ osoby, która tak silnie zafascynuje człowieka, że skieruje go na obcą mu drogę. Jeśli w taki sposób ujmie się ten problem, to wydaje się, że nie ma wątpliwości, iż zachodzi tu ten drugi przypadek, to znaczy, że Aleksiej



Kuzniecowa był absolutnie zafascynowany Nieczajewem. Panowie sędziowie zgodzą się zapewne ze mną, że Kuzniecowa był w znacznie większym stopniu urzeczony Nieczajewem niż pozostali członkowie organizacji, którzy wraz z nim siedzą teraz na ławie oskarżonych. Nieczajew miał na Kuzniecowa większy wpływ niż na [Piotra] Uspińskiego czy [Iwana] Pryżowa, ludzi bardziej wykształconych, choć muszę przyznać, że jego zauroczenie nie było tak silne jak mniej od niego dojrzałego [Nikołaja] Nikołajewa, ale wiadomo, że od tego, któremu mniej dano, mniej się wymaga. Można zapytać, jaki z tego, co wydaje się bezsporne, płynie wniosek? Może należałoby uniewinnić Kuzniecowa, zdjąć z niego odpowiedzialność. Nigdy nie zdecydowałbym się oprzeć obrony na tak chwiejnym założeniu, nigdy nie podjąłbym się zastosować tak ryzykownego środka. Żaden sąd nie może kierować się taką zasadą, gdyż wówczas okazałoby się, że trzeba również uniewinnić Nieczajewa, gdyby go sądzono, ponieważ Nieczajew jest produktem swoich czasów i atmosfery, w której żył i działał. Takie wyjaśnienie byłoby sprzeczne z charakterem Kuzniecowa. Kuzniecowa to nie słabeusz, to człowiek o silnym charakterze, z dobrymi zadatkami i zaczątkami, wprawdzie nieolśniewającymi, ale solidnymi. Sądzę więc, że słuszne będzie uznanie jego fascynacji za okoliczność łagodzącą. Mógłbym na tym zakończyć, ale byłaby to banalna mowa obrończa, bo cóż dla sądu oznacza zauroczenie, jeśli nie są określone ani jego granice i skala, ani stopień trudności przeciwstawienia się mu. Obiekt fascynacji należy porównać z podmiotem, na który on oddziałuje, postawić obok siebie kusiciela i kuszonego, określić właściwości i sposoby tego kuszenia, zajrzeć do serca oskarżonego i dopiero wówczas wiarygodnie stwierdzić, jaką cenę musiałby zapłacić Kuzniecowa za opór i czy zasługuje na wyrozumiałość. Jeśli dojdą panowie sędziowie do wniosku, że przeciwstawienie się temu było trudne, to przyznają, że zasługuje on na pobłażliwość, przynajmniej na taką, która jest prawnie dopuszczalna, gdyż prawo zezwala panom sędziom złagodzić karę o jeden stopień lub dwa. Gdyby nawet nie uznali panowie, że zasługuje na pewną wyrozumiałość, i zastosowali pełny wymiar kary przewidziany za takie przestępstwo (niezależnie od wielkości kary Kuzniecowa nie uzna jej za niewspółmierną do swojej winy), to opowieść, o której wysłuchanie proszę, będzie mimo wszystko korzystna dla mojego klienta, jako uzupełnienie szczerej spowiedzi ze śledztwa wstępnego i rozprawy sądowej. W wystąpieniu pana prokuratora pojawiło się podejrzenie, że

Kuzniecowa być może nie powiedział wszystkiego, co wie, że pewne fakty przemilczał. Ja natomiast sądzę, że opowiedział wszystko szczerze, że jego słowa to spowiedź człowieka, który był w malignie, a teraz otrzeźwiał i stoi przed wami jako zupełnie inny człowiek niż ten aresztowany w nocy z 2 [14] na 3 [15] grudnia i inny niż Kuzniecowa, student Akademii. Wyjaśniewszy plan obrony, z konieczności muszę zacząć od scharakteryzowania osoby pojawiającej się w każdym punkcie tej sprawy, chociaż jej tutaj nie ma, a mianowicie od Dmitrija Fiodorowa bądź Kiniawskiego, bądź Iwana Pietrowicza, bądź Iwana Pawłowa, bądź oficera łączności Panina, jednym słowem – od tego Proteusza, który pod setką różnych nazwisk zjeździł całą rosyjską ziemię, czyli od Nieczajewa.

W akcie oskarżenia sformułowano pogląd, że rozruchy studenckie rozpoczęte w 1868 roku i zakończone krachem w 1869 roku wznieśli ludzie spoza uniwersytetu, spoza uczelni. Wymienia się wśród nich też Nieczajewa. Mimo że Nieczajew tak niedawno był wśród nas, bardziej przypomina bohatera baśni. Mówi się o nim jako o synu duchownego, choć okazuje się, że urodził się w mieszczańskiej rodzinie malarza. Jedni twierdzą, że ma dziewiętnaście lat, inni, że dwadzieścia trzy lata, niektórzy uważają, że nie ma żadnego wykształcenia, że w szesnastym roku życia umiał zaledwie czytać i pisać, ale w ciągu trzech lat doskonale opanował niemiecki i francuski i czytał książki filozoficzne. Ja wiem tylko tyle, że Nieczajew był nauczycielem religii w Szkole św. Sergiusza w Petersburgu i wolnym słuchaczem na uniwersytecie. Oskarżona [Jelizawieta] Tomiłowa, studentka uniwersytetu, widziała wieszak, na którym wisiał płaszcz z wypisanym jego nazwiskiem. Zarówno studentom, jak i wolnym słuchaczom przysługiwały takie same prawa. W jaki sposób Nieczajew korzystał z tych praw, to już inna sprawa. Prawdopodobnie już w tym czasie nosił się z myślą, która nadała kierunek jego późniejszej działalności. Już wtedy starał się buntować studentów, mówiąc im, że nauka nie jest potrzebna, że przeszkadza w prawidłowym widzeniu spraw, że jest onanizmem myślenia w trakcie działań praktycznych, że trzeba pobudzać ludzi do czynu, że nasze społeczeństwo składa się z niewolników. Wtedy zaczął też zbierać podpisy pod petycją całej społeczności studenckiej mającą być protestem przeciw warunkom umysłowego rozwoju i kształcenia. Chociaż ten kierunek już się uwydatnił w jego charakterze, wydaje mi się, że sporo mu jeszcze wtedy brakowało. Nieczajewa słuchano niezbyt gorliwie, nie zwracano na niego specjalnie uwagi. Gdy młodzież

zbiera się na wiec, to wszyscy się tłoczą, hałasują i krzyczą. W takim harmidrze trudno się wyróżnić i zmusić ludzi do słuchania. Nieczajew za wszelką cenę chciał się znaleźć na piedestale, stanąć na scenie, pokazać, że jest kimś ważniejszym, niż był w rzeczywistości. Już w styczniu 1869 roku wpadł na genialny pomysł, postanowił stworzyć sobie legendę, uczynić z siebie męczennika i tym sposobem zasłynąć na rosyjskiej ziemi. Nie wiem, czy za udział w studenckich wiecach wzywano go do pana Kołyszki<sup>17</sup>. Może go wzywano, ale nie był aresztowany. Postanowił zniknąć z Petersburga. Za pośrednictwem Wiery Zasulicz<sup>18</sup> przekazywał przyjaciołom informację o rzekomym aresztowaniu. Napisał, że został osadzony w twierdzy, i prosił przyjaciół, żeby postarali się mu jakoś pomóc. Po przybyciu do Moskwy urozmaicił swoje opowiadanie, wymyślając coraz bardziej dramatyczne warianty. Według jednego z nich zamknięto go w zamrażniętych kazamatkach Twierdzy Pietropawłowskiej, gdzie nożem rozwierano mu zaciśnięte zęby, żeby wlać do ust parę kropli spirytusu. Zbiegł z Twierdzy w płaszczu jakiegoś generała. Zjawił się w Moskwie, skąd pojechał do Odessy. I tu kolejna bajka. Aresztują go i wiozą kibitką pod eskortą żandarma i urzędnika. Biję ich i ucieka. Znowu jest w Moskwie. Wreszcie wyjeżdża za granicę. Naprawdę ten wyjazd był mu bezwzględnie potrzebny, ponieważ umożliwił skontaktowanie się z częścią rosyjskiej emigracji. Spodziewał się, że da mu ona, że tak powiem, namaszczenie, że będzie miał poręczenie autorytetów, bez cienia sprzeciwu uznawanych przez tych, na których zamierzał oddziaływać. Panowie sędziowie, muszę teraz powiedzieć o bardzo delikatnej i trudnej sprawie. Należałoby ją raczej przemilczeć. Mam na myśli kontakty Nieczajewa z rosyjską emigracją. Właściwie nie powinno się mówić o emigrantach, ponieważ ich tutaj nie ma i nie mają możliwości nic powiedzieć ani się bronić, nie mogę jednak pominąć tego milczeniem, ponieważ oskarżenie uważa, że organizacja wyrosła na gruncie rosyjskim, bez obcego oddziaływania. Zamysł jej stworzenia powstał rzekomo już w marcu [1869 roku], organizacja stopniowo się rozwijała, aż wszystko zakończyło się katastrofą. Wydaje mi się, że na gruncie czysto rosyjskim nie mogłaby się rozwinąć, konieczny był czynnik zewnętrzny. Wiele elementów, które sprzyjały oddziaływaniu na rosyjską młodzież, Nieczajew zapożyczył z zagranicy, od emigrantów zaczerpnął określony sposób myślenia, a nawet pomysł stworzenia organizacji. O kontaktach z emigrantami Nieczajew opowiadał po drugim przyjeździe do Rosji różne rzeczy. Od księcia

[Warłaama] Czerkieszowa dowiedzieliśmy się, że Nieczajew trafił do Belgii, gdzie związał się z robotnikami. Zorganizował strajk, a następnie jako delegat tych robotników został wysłany do Genewy. Tam poznał [Michaiła] Bakunina i został członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników. Oskarżonemu Uspienskiemu opowiedział o znajomości z [Aleksandrem] Hercenem (który zmarł w 1870 roku), o tym, że Hercen powiedział mu: „Cóż, Siergiej Giennadijewiczu, panu tylko rzezie w głowie”. Nikołajewowi, który był bardziej prostolinijny i ufny, mówił, że Hercen po kilku miesiącach urabiania stał się jego zwolennikiem i całkowicie się z nim zgadzał, co znalazło oddźwięk w odezwie *Narodnaja rasprawa* (Zemsta ludu).

Nieczajew wiele jeszcze rzeczy opowiadał o [Nikołaju] Ogariowie, Hercenie, o Hercenowskiej księdze gości, wreszcie pokazywał wiersz *Student* – opatrzony dedykacją: „Młodemu przyjacielowi Nieczajewowi” – który odegrał ważną rolę podczas rozruchów studenckich. Nieczajew starał się go rozpowszechnić, chciał nawet dorobić do niego muzykę, by młodzież mogła go śpiewać. Oczywiście, że w tych opowieściach jest mnóstwo zmyśleń i łgarstw. Można powiedzieć, że Nieczajew przypomina Marka Wołochowa, jednego z bohaterów powieści [Iwana] Gonczarowa *Urwisko*, ale jest w nim wiele z Chlestakowa [bohatera komedii Nikołaja Gogola *Rewizor*]. Mark Wołochow to człowiek uczciwy, a Nieczajew to łgarz. Posługiwał się kłamstwem zapewne dlatego, że było ono środkiem do celu, a wiadomo przecież, jak ten środek szkodliwie działa na charakter człowieka. Kłamstwo może mocno wejść w krew. Kłamca będzie się nim posługiwał bez potrzeby, sztuka dla sztuki. Mógłbym przytoczyć mnóstwo przykładów niewiarygodnych czy wątpliwych opowieści Nieczajewa o emigracji. Jako dowód niech posłuży choćby wiersz *Student*. Jednostronicową odbitkę tego wiersza proszę dołączyć do dowodów rzeczowych. Karteczkę podpisał Ogariow. Chociaż Ogariow nie jest poetą pierwszej wielkości i nie pierwszej młodości, wiersz jest tak lichy, że trudno uwierzyć, że wyszedł spod jego pióra. Gdyby to był wiersz Ogariowa, to należałoby założyć, że Ogariow związał z Nieczajewem spisek w celu oszukania rosyjskiego społeczeństwa, wyłącznie po to, by Nieczajewowi wyświadczyć przysługę, wręcz ze szkodą dla sprawy. Gdyby Nieczajew nie zamierzał wracać do Rosji, to można by pomyśleć, że leciwy autor wiersza uległ następującemu złudzeniu: „A niechże rosyjskiemu narodowi przybędzie jeszcze jeden męczennik, który rozliczy naród i rząd”.

Proszę jednak zważyć, że Nieczajew wybierał się do Petersburga i Moskwy, gdzie go znano, gdzie miał mnóstwo znajomych, i zarówno on, gdyby zobaczono, że żyje, jak i Ogariow zostaliby zdemaskowani. Mało tego, w wierszu Ogariowa jest fragment brzmiący jak bardzo jadowite szyderstwo: „Przez całe życie wierny prawdzie, pozostał wierny walce”. Czyż nie jest szczytem zakłamania podawać się za męczennika, jeśli się nim nie było? I wreszcie zdanie, którego Ogariow w żadnym wypadku nie mógł napisać: „Zakończył życie na tym świecie”. Jest ono całkowicie sprzeczne ze świeckim światopoglądem Ogariowa. Sądzę zatem, że absolutnie nie ma podstaw, by twierdzić, że wiersz *Student* został napisany w Genewie, a jego autorem jest Ogariow. Wydrukowano go w podziemiu na ręcznej prasie w Moskwie, Petersburgu bądź za granicą, gdzie według słów Nieczajewa robiono takie odbitki. Nieczajew mnóstwo rzeczy zmyślił, nie ma jednak żadnych wątpliwości, że pozostawał w bliskich kontaktach z niektórymi emigrantami, na przykład z Bakuninem. Podczas rozprawy odczytano pełnomocnictwo, którego Nieczajewowi jako zaufanemu przedstawicielowi rosyjskiego oddziału Wszechświatowego Związku Rewolucyjnego udzielił Bakunin. Opatrzył je numerem 2771 i podpisał. Nie jest tajemnicą, że w Moskwie z rąk do rąk krąży statut międzynarodowej organizacji z dopiskiem Bakunina zaczerpniętym z pewnej jego odezwy. Wedle słów Uspienskiego do Bakunina miał pojechać oskarżony Pryżow, by złożyć sprawozdanie. Najważniejsza jest jednak opowieść Uspienskiego o wydarzeniu, które nastąpiło w okresie poprzedzającym przyjazd Nieczajewa do Rosji latem 1869 roku. W lecie 1868 roku przyjechał z zagranicy [Michaił] Niegrieskuł (obecnie już nieżyjący), człowiek godny podziwu. Był w bardzo złych stosunkach z Nieczajewem, z pewnością spotkałoby go w Petersburgu to samo, co [Iwana] Iwanowa, gdyby zaczął przeciwdziałać planom i zamierzeniom Nieczajewa. Niegrieskuł, który wręcz nienawidził Nieczajewa, opowiadał, że w Genewie widywał Bakunina z Nieczajewem. Słyszał, jak Bakunin, klepiąc Nieczajewa po ramieniu, mówił: „Proszę, jacy ludzie są u nas w Rosji”. Fakty te nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że Nieczajew miał kontakty z niektórymi emigrantami. Zapewne w Genewie naopowiadał mnóstwo łągarstw o sytuacji w Rosji, o tym, jak bliska jest rewolucja, jak z dnia na dzień rozszerza się jej zasięg, jak silne jest wrzenie wśród młodzieży itd. Takie opowieści dla emigrantów, ludzi oderwanych od Rosji, którzy nie wiedzieli, co się w niej dzieje, ale chcieli mieć na nią wpływ, były jak

manna z nieba. Gotowi byli uwierzyć w każdą bajkę, w niestworzone rzeczy, jeśli choć trochę były zbieżne z ich pragnieniami. I nagle zjawił się człowiek energiczny, śmiały, wypowiadający się odważnie, więc dlaczego mieli go nie zaakceptować i nie pobłogosławić, gdy mówił, że wraca do ojczyzny. Ale czym go pobłogosławić? Pieniędzmi – nie, bo pieniądze emigranci mają niewiele, muszą oszczędzać. Nieczajew opowiadał o swoich kontaktach, przyjaciółach, o funduszach, więc miał obiekcje, by prosić o pieniądze, chyba że tylko na przejazd do granicy. Ale czemu nie pobłogosławić go tym, co nie wymaga wielkiego trudu, co jest niewiele więcej warte niż modlitwa, czyli odezwy, paroma broszurkami, kilkoma drukami. I z takim właśnie lekkim pakunkiem Nieczajew wyjechał do Rosji. Zabrał też ze sobą, bądź wysłano w ślad za nim, pieczęć z toporem i jeszcze pewną książeczkę wypisaną pismem cyfrowym, której bardzo strzegł i którą później oddał na przechowanie Uspienskiemu. Nikt jej nie czytał. To *Katechizm rewolucjonisty*. Proszę pozwolić mi powiedzieć kilka słów o tej książeczce. Ze wszech miar zasługuje na uwagę, jest w tej sprawie najbardziej charakterystycznym dokumentem. Część odezw przywiezionych przez Nieczajewa lub dostarczonych później pocztą miała bez wątpienia służyć zastraszeniu rządu. Zaliczam do nich odezwę brukselskiego komitetu rewolucyjnego, mówiącą o tym, że rosyjska szlachta z potomkiem Ruryka na czele powinna przegnać szarą urzędniczą masę, a także niemiecką zbieraninę i zająć należne jej miejsce. Z całą pewnością miała być rozesłana w Rosji tylko po to, by osoby, do których dotarła, przekazały ją policji lub III Wydziałowi<sup>19</sup>. Ciekawe, jakie wrażenie wywarła odezwa nawołująca do przegnania niemieckiej zbieraniny na panu baronie Wolfie, którego dzieci uczył Nieczajew. Nie ma wątpliwości, że tego rodzaju odezwy miały natychmiast trafić do policji. Były też odezwy mające w określony sposób oddziaływać na młodzież, jak na przykład *Narodnaja rasprawa* (Zemsta ludu), zawierająca efektowny fragment, w którym dokonano porównania Nieczajewa z Bakuninem i stwierdzono, że Nieczajewowska odezwa do studiującej młodzieży góruje nad Bakuninowską. Jeśli chodzi o *Katechizm*, to uważano go za znak, po którym można było poznać komisarza bądź delegata międzynarodowego stowarzyszenia. Skoro *Katechizm* miał być wyłącznie znakiem, dlaczego go wybrano, dlaczego na przykład zamiast pieczętki z jednym toporem nie można było zrobić pieczętki z dwoma toporami lub czegoś podobnego? Rosjanie uwierzyliby w każdy znak. Dlaczego *Katechizmu*, tak starannie

opracowanego, nie czytano? Sądzę, że lektura byłaby czymś odrażającym. Nawet młodych ludzi bezkrytycznie odnoszących się do sprawy musiałaby zastanowić treść paragrafu 10 i 11. Stwierdza się w nich, że każdy członek organizacji jest wyłącznie kapitałem będącym w dyspozycji organizacji i jeśli zostanie aresztowany, to organizacja zatroszczy się o jego uwolnienie tylko wtedy, gdy nie będzie to wymagało zbyt dużych nakładów, w przeciwnym wypadku musi się zdać na zrządzenie losu. Podobne wrażenie wywarłby paragraf mówiący o konieczności wyzbycia się uczucia przyjaźni i miłości, poczucia szlachetności, a nawet honoru. Wstręt wzbudziłby fragment *Katechizmu* zalecający przenikanie do najrozmaitszych stowarzyszeń, wykorzystywanie ludzi, których jedyną winą jest to, że są ustosunkowani, mają określoną pozycję społeczną lub pieniądze. Zaleca się ich omotać, poznać ich sekrety i potem wydać władzom. Wiele osób odrzuciłoby też z oburzeniem dziwną koncepcję, że jedyną niezawodną siłą rewolucyjną są sprawni rozbójnicy. Każdego myślącego człowieka może zdziwić również to, że *Katechizm* niczego nie ustala, wręcz całkowicie odrzuca cele przewrotu. Jaki miałby być ustrój społeczny – nie wiadomo. Ma być bezstanowy, świecki i bezpaństwowy, ale to są cechy wyłącznie negatywne, poza nimi nie ma nic. Sądzę, że nawet program rewolucyjny znaleziony u [Marii] Antonowej, nie wiem czyjego autorstwa, jest znacznie sensowniejszy, mówi się w nim przynajmniej o tym, że w danej chwili zbiorą się prawnicy i ekonomiści rewolucji, którzy określą formę rządów i ustroju społecznego, o czym w *Katechizmie* się nie wspomina. Przypuszczam, że podstawowe zasady zawarte w nim w niewielkim stopniu odbiegają od przekonań Nieczajewa, że są prawie zbieżne z jego przemyśleniami. Nieczajew w miarę możliwości urzeczywistniał te zasady w praktyce. Niemniej jednak między autorem *Katechizmu* a Nieczajewem jest ogromna różnica, taka jaka jest między działaczem rewolucyjnym a teoretykiem rewolucji. Nieczajew był przede wszystkim działaczem rewolucyjnym. Jeśli nawet myślał o tym, co napisano w *Katechizmie*, to przecież nikomu nie powiedziałby, że ludzi trzeba oszukiwać, ponieważ nikt by się nie zgodził, żeby go oszukiwano. Nikt, naturalnie, nie wstąpiłby do organizacji. Zmagając się z tymi problemami, Nieczajew postąpiłby tak jak król Francji Ludwik XI, który stwierdził: „Rzuciłbym do ognia kapelusz mój, gdyby znał me myśli”. Autor *Katechizmu* jest teoretykiem, w wolnym czasie, z dala od sprawy, organizującym ruch rewolucyjny. Układa na papierze plan i dokonuje

według niego podziału ludzi – jednych skazuje na śmierć, innych zaleca ograbić, a jeszcze innych zastraszyć. To najczystszej wody abstrakcyjna teoria. Moim zdaniem między treścią *Katechizmu* a sposobem myślenia Nieczajewa zachodzi podobieństwo, by tak rzec, chemiczne. Nieczajew wiele z *Katechizmu* zapożyczył. Panowie sędziowie, proszę przypomnieć sobie to, co powiedział Kuzniecowski po zabójstwie: „Jesteś teraz człowiekiem poświęconym na ofiarę”. To określenie „poświęcony na ofiarę” pojawia się w *Katechizmie* trzy razy. Przypomnę tu fragment o rozbójnikach z ludu, których należy werbować. Nieczajew cały czas o tym myślał, gdy wrócił do Rosji, i dlatego właśnie poznał się z Pryżowem, tym bezpośrednim jak dziecko pocziwcem, marzycielem, lubiącym bez żadnego celu kręcić się wśród ludzi. Pamiętajmy, że Nieczajew próbował założyć z Pryżowem kółko, by werbować prostytutki, rzezimieszków i innych tego typu ludzi. Przypuszczam więc, że *Katechizm* powstał na emigracji i wywarł na Nieczajewa bardzo duży wpływ, więc Nieczajew przyjął wiele jego ustaleń, uznając je wręcz za zasady podręcznikowe. Nie śmiem przypisywać autorstwa *Katechizmu* Bakuninowi, ale uważam, że na pewno powstał w środowisku emigracyjnym<sup>20</sup>. Z lekkim pakunkiem, który już opisywałem, Nieczajew przybył do Rosji, by dokonać przewrotu państwowego. Nie miał pieniędzy i nie miał środków, więc musiał je zgromadzić. Uciekał się do oszustw i kłamstw. Czynił to bezustannie. Przykładem arogancji jego postępowania jest wzięcie weksla na sześć tysięcy rubli od [Andrieja] Kołaczewskiego, o czym w Petersburgu dowiedział się [Wiktor] Skipski, a także o tym, że weksel został potem przekazany Kuzniecowskiemu. Oczywiście przed przyjazdem do Rosji Nieczajew nie miał jeszcze gotowych, spisanych zasad organizacji, opracowanej sieci wydziałów i przygotowanych odezw dla kółek scalonych i rozproszonych – wszystkie te dokumenty powstały później, gdy był już w Moskwie. Niemniej jednak latem 1869 roku powziął zamiar stworzenia organizacji. W ogólnych zarysach plan ten zakładał, że organizacja będzie się składać z kółek. Kółka to nic nowego, to zwykła, niezbędna w każdej rewolucji forma organizacyjna, najstarszy, nie wychodzący z użycia rutynowy środek. Jeśli w Niniwie czy Egipcie były jakieś tajne stowarzyszenia, to bez wątplenia i one zaczynały od kółek. Różnice mogą być w szczegółach, w liczbie członków. Wydaje mi się, że Nieczajew nie wzorował się na organizacji spiskowej Karakozowa<sup>21</sup>. Kółka powstały w sposób naturalny, same z siebie. Dla nas ważne jest ich



stopniowanie i związek kółek wyższych stopni z zagranicą. Ogólne zasady organizacji były następujące: podstawę stanowiły kółka pierwszego stopnia, ich większa liczba tworzyła kółko centralne, w którego skład wchodził przedstawiciel kółka pierwszego stopnia. Z kolei większa liczba kółek centralnych tworzyła wydział obejmujący większy obszar, na przykład Petersburg czy Moskwę. Na czele wydziału było kółko centralne wydziału złożone z reprezentantów kółek centralnych. Wydział obejmujący kółko wydziału, kółka centralne i kółka pierwszego stopnia tworzył jednostkę i otrzymywał swój numer. Petersburg był oznaczony numerem dziewięć, Moskwa numerem trzy, Besarabia cztery. Jednym słowem – czyniono to, co robią wydawcy gazet, którzy chcąc dowieść, że mają dużą liczbę prenumeratorów, publikują kupony z numerem dwa tysiące. Ten fikcyjny numer służy wykazaniu dużej liczby osób zainteresowanych prenumeratą. W całym wydziale, od najwyższego do najniższego szczebla, panowała jedna zasada – nieograniczone zaufanie do przedstawiciela jednostki wyższego szczebla. Członkowie poszczególnych kółek nie znali się nawzajem. Kółka kontrolowali rewizorzy, członkowie kółek wiedzieli, że zjawi się ktoś, kto będzie spisywał, co robią i jak pracują. W takim kółku był Nieczajew wraz z kolegami. Mógł nimi kierować, oddziaływać słowem i osobistym autorytetem. To mu jednak nie wystarczało – przywykł do wodzostwa i nie był w stanie tolerować dyskusji. Żeby osiągnąć cel, zwiększyć swoją władzę i się zabezpieczyć – dopuścił się mistyfikacji. Wymyślił, że w Moskwie istnieje specjalny komitet, z którym się porozumiewał i od którego otrzymywał polecenia. Ten komitet miał oparcie w mitycznej sieci bądź rosyjskim oddziale Wszechświatowego Związku Rewolucyjnego, utożsamianym przez niego z Międzynarodowym Stowarzyszeniem Robotników. Rosjanie, którzy niewiele wiedzieli o tym, co się dzieje za granicą, łatwo mogli pomylić ten Wszechświatowy Związek Rewolucyjny z rzeczywiście istniejącym Międzynarodowym Stowarzyszeniem Robotników, mającym swoje cele i zadania, nie ma jednak podstaw, by dopatrywać się związku Stowarzyszenia z niniejszą sprawą. Takie były podstawowe zasady organizacji, mówiące między innymi o tym, że celem organizacji nie jest przekonywanie, lecz skupianie przygotowanych już sił, a jej członek nie polemizuje i nie dopytuje się o nic, zobowiązuje się natomiast do pełnej subordynacji wobec zarządzeń komitetu. Tym zasadom odpowiadały w rozumieniu organizatora wielkie nadzieje: stowarzyszenie się rozrasta, zwiększa się liczba wydziałów,

w ślad za wydziałem moskiewskim powstaje petersburski, praca wre, przenosi się do miast gubernialnych, następnie do powiatowych, agitacja dociera do wszystkich osiedli, przyciąga chłopów, powstają szajki złodziei i oszustów i wreszcie następuje finał – 19 lutego [3 marca] 1870 roku<sup>22</sup> – ogólny zamęt, koniec świata i powszechne wrzenie. Im bliżej było do 19 lutego [3 marca], tym mniej realne stawało się urzeczywistnienie tych nadziei właśnie wtedy. Ci, którzy powstrzymywali Nieczajewa, otrzymywali różne odpowiedzi. Na przykład, że 19 lutego [3 marca] 1870 roku będzie oczywiście tylko punktem wyjścia ruchu rewolucyjnego, początkiem pracy, natomiast właściwa praca będzie trwała trzy, cztery lata, będzie dłuższa, ale niech większość tych niesceptycznie nastawionych będzie przekonana, że wszystko zakończy się 19 lutego [3 marca]. Taka właśnie była organizacja Nieczajewa i takie były plany. Szlak jadącego do Rosji Nieczajewa wiódł z południa przez obwód besarabski, w którym zatrzymał się w sierpniu 1869 roku. Ten straszny, upiorny człowiek wszędzie szerzył zarazę, przynosił śmierć, powodował areszty i siał zniszczenie. Jest legenda mówiąca o tym, że zarazę morową uosabia kobieta w krwawej chuście. Tam, gdzie się pojawi, ludzie tysiącami umierają. Wydaje mi się, że Nieczajew bardzo przypomina to uosobienie zarazy morowej. Były tu odczytane zeznania studenta [Gieorgija] Jenieszerłowa, który zaczął podejrzewać, że Nieczajew jest prowokatorem. Daleki jestem od takiej myśli, ale muszę powiedzieć, że gdyby prowokator chciał pozyskać jak najwięcej osób gotowych uczestniczyć w ruchu rewolucyjnym, to faktycznie nie wykonałby tego lepiej niż Nieczajew.

Przejdę teraz do innych spraw. Chodzi o ludzi, z których Nieczajew tworzył swoją organizację. Pierwszą grupę stanowili jego krajanie. Było ich kilku – [Władimir] Orłow, [Nikołaj] Nikołajew i [Jewłampij] Amietistow. Wszyscy byli urzeczeni Nieczajewem, kochali go, o czym mówił prokurator i co jest rzeczywiście prawdą. Ich obecność nie krępowała Nieczajewa, rozmawiał z nimi szczerze. Nawet jednak z tak prostym człowiekiem jak Nikołajew miał rozmowę o komitecie. Nikołajew zapytał go: „Czy to nie ty jesteś komitetem?”. Do drugiej grupy należeli ci, którzy znali Nieczajewa jako nauczyciela religii w Szkole św. Sergiusza w Petersburgu bądź poznali go w 1869 roku podczas rzekomej ucieczki z Twierdzy Pietropawłowskiej do Moskwy. Do trzeciej grupy zaliczam osoby poznane dopiero po przyjeździe do Moskwy. Nieczajew miał zadziwiającą umiejętność manipulowania ludźmi, tworzenia takich

kombinacji, iż wydawało się, że są potężną liczebnie siłą. Jeśli jednego człowieka ulokuje się w dziesięciu różnych miejscach, to można stworzyć wrażenie, że to dziesięciu ludzi. W taki właśnie sposób działał Nieczajew. Przypomnijmy sobie przyjazd [Iwana] Lichutina do Moskwy. Trzeba było przekonać tamtejsze kółko, że jest kontrolowane przez komitet genewski. Nieczajew pojechał więc do Petersburga, spotkał się z Lichutinem, którego znał z wieców, i polecił mu odegrać rolę delegata komitetu genewskiego. Przywiózł go do Moskwy, a Lichutin odegrał wyznaczoną rolę. Sztukę inscenizacji, *mise en sc`ene*, Nieczajew opanował znakomicie. Opowiadał o aresztowaniu całego kółka w Petersburgu, pokazywał się w płaszczu oficerskim i mówił, że właśnie wraca z wiecu oficerów itd.

Oprócz podziału członków organizacji można było dokonać jeszcze czegoś innego, nie mniej ważnego, na co trzeba zwrócić szczególną uwagę. Po pierwsze, do organizacji wstąpili ludzie, którzy przeszli przez różne życiowe burze, wiele w życiu doświadczyli, wybrali określoną sprawę i określony rodzaj zajęcia. Po drugie, wstąpili do niej ludzie nie znający życia praktycznego, spędzający czas nad książkami, czyli ucząca się młodzież. Stosunek Nieczajewa do tych grup był zróżnicowany. Z tymi z pierwszej grupy, rozgoryczonymi życiem, było mu się łatwiej porozumieć, bo swoje wiedzieli, mieli za sobą ciężki bagaż gorzkich wspomnień i nie spełnionych marzeń. W każdym społeczeństwie są partie i jest opozycja. To jest niezbędny warunek funkcjonowania społeczeństwa. W życiu każdego społeczeństwa są okresy powolnego i stopniowego rozwoju i okresy gwałtownych przemian, jest akcja i reakcja. Podczas tych gwałtownych przemian wzrasta liczba ludzi niezadowolonych. Słuchaliśmy zeznań Pryżowa, który przeżył dwie reakcje: pod koniec lat czterdziestych i na początku lat sześćdziesiątych, ale Pryżow jest starszy od innych oskarżonych<sup>23</sup>, pozostali byli świadkami tylko jednej reakcji, ale ta reakcja była podwójna i dlatego silna. W naszych czasach działały dwa potężne prądy. Pierwszy doprowadził do wielkich reform – reformy chłopskiej z 19 lutego [3 marca] 1861 roku, reformy sądownictwa [1864] i reformy ziemstw [1864]. Rząd wziął się energicznie do reform i znalazł poparcie środowisk postępowych, od najbardziej umiarkowanych do najbardziej radykalnych. Po wprowadzeniu reform bywają chwile przerwy, czyli osławiania się ze zmianami, przyzwyczajania się do nich, wdrażania ich w życie. Taka reakcja następuje po każdym ruchu reformatorskim i rewolucyjnym. Drugi prąd, którego wpływu doznało społeczeństwo, nie

przewidywany, to polskie powstanie [styczniowe, 1863]. Były ustępstwa, a potem zdławienie powstania, co także spowodowało reakcję. Podczas tej podwójnej reakcji wielu ludzi poniosło bardzo duże straty, zostali oderwani od bliskich, stracili rodzinę, majątek. Trudno mieć im za złe rozgoryczenie, ponieważ ich sytuacja istotnie była ciężka. Do takich ludzi Nieczajew łatwo dotarł. Oświadczył im: „Jesteście załamani, ja was z tego wybawię i zaprowadzę do świata waszych marzeń, pójdźcie ze mną”. Wobec takich ludzi mógł sobie pozwolić na dużą dawkę szczerości, mógł im powiedzieć, że dla dobra sprawy coś trzeba zmyślić, przedstawić jako rzeczywisty komitet, który nigdy nie istniał, itp. Druga grupa ludzi werbowanych to ucząca się młodzież. W tym wypadku technika werbunku była trudniejsza, należało znaleźć sposób oddziaływania na młodzież, wykoncypować, jak się do tego zabrać. Muszę powiedzieć, że sposób, który znalazł Nieczajew, przynosi zaszczyt sprawności jego myślenia i wskutek takich, a nie innych warunków rozwoju naszego społeczeństwa jest konieczny. Spójrzmy na młodzież. Głównym uczuciem młodego człowieka wkraczającego w życie jest piękne, nad wyraz szlachetne uczucie umiłowania ludu, zbliżenia się do niego. Znam dzieci arystokratów ubierające się w chłopskie stroje i mieszkające na wsi. U wielu ludzi to uczucie mijało, gdy osiągnęli dojrzałość bądź gdy marzenia popadły w konflikt ze sprawami materialnymi, ale część z nich do końca życia pozostała mu wierna. To nieokreślone demokratyczne uczucie musi się jednak jakoś wyrazić. Sposób jego uzewnętrznienia w znacznej mierze zależy od narodowości osoby. Weźmy dla przykładu dwóch ludzi: młodego Polaka i młodego Rosjanina. Polak kocha naród, swój naród, a ma on bogatą przeszłość, jest w niej wiele wspomnień, które i dziś poruszają serca. Ta przeszłość jawi mu się przed oczami w purpurze i złocie, w cudownej wielkości, więc rzuca się w tę swoją narodową przeszłość, by urzeczywistnić dzięki niej swoje demokratyczne marzenia. I w ten sposób zostaje rewolucjonistą. Z młodym Rosjaninem jest inaczej. Ma przeszłość niebogata, bardzo niebogata, cokolwiek by o niej mówili słowianofile, a terażniejszość suchą, biedną i gołą jak rozległy step, można na nim pohulać, ale nie ma się gdzie zatrzymać. Ten rozmach rosyjskiej natury, o którym tak dużo się mówi, ten radykalizm widoczny u większości rosyjskich działaczy jest właśnie wynikiem braku przeszłości, braku kultury, tego, że nie ma się na czym oprzeć. Radykalizm to największa, najwspanialsza cecha rosyjskich działaczy. Prawie każdy młody człowiek staje się radykałem, czyli

z konieczności w naturalny sposób wnika w istotę rzeczy, w sedno stosunków, w ich najgłębsze podłoże, przedziera się swoim analitycznym umysłem przez państwo, stosunki społeczne, religię, naukę, sztukę, przez ich zewnętrzną powłokę, i zatrzymuje się tam, skąd nie ma już żadnego wyjścia – na ekonomicznych warunkach bytu, na sprzecznościach, na walce kapitału i własności z jednej strony, a pracy z drugiej. Zatrzymawszy się w tym miejscu, styka się z bogatą literaturą zagraniczną dotyczącą problemu robotników na Zachodzie i z konieczności staje się socjalistą. Można powiedzieć, że prawie wszyscy tam byliśmy, w tym socjalistycznym kraju, że te wędrówki nie są wynikiem jakiegoś spisku, na przykład Karakozowa, ani nawet nie wywodzą się z tajnego stowarzyszenia, zwanego kółkiem Pietraszewskiego. Młody Rosjanin przyjmuje to w sposób naturalny, zwyczajnie. W rosyjskim socjalizmie nie ma nic szkodliwego dla państwa. Samo w sobie stworzenie związku ludzi wyzyskiwanych, zwierających szeregi, by w uczciwy sposób wspólnym wysiłkiem pokonać wyzyskujących ekonomicznie, by zorganizować wzorcowe fermy, robotnicze artele, szkoły itp., jest przedsięwzięciem szlachetnym. Wszystkie te pożyteczne inicjatywy mają jednak jedną zasadniczą wadę – nawet maksymalny wysiłek nie równoważy skrajnie mizernych rezultatów w porównaniu z zakładanymi. Zorganizowano, powiedzmy, artel składający się z pięciu, sześciu czy nawet dwudziestu paniczyków, którzy według podręcznikowych zaleceń zaczęli orać albo wyrabiać sery. Z całą pewnością przez całe lata nie zrobią nic znaczącego, poważnego. Nie znajdą wspólnego języka z prostym ludem. Rosyjski kmiotek ma własny artel, swoją gminę (*obszczina*). Czasem jest mu ciężko, wiadomo przecież, że korzyści płynące z chłopskiej gminy to dziś jeszcze kwestia sporna. Jeśli chodzi o robotników, to jest ich u nas niewiele, nie ma więc środowiska, na które można by oddziaływać, propagując idee spółdzielczości Schulzego-Delitzscha czy Lassalle'a. Oprócz przedmieścia Czulkowa w Tule są może dwie, trzy miejscowości, gdzie skupiła się uboga ludność robotnicza. Okazuje się zatem, że artel to czerpanie wody sitem. Z powodu znikomych rezultatów zaczynają się konflikty między członkami i artel się rozwiązuje. Ktoś zostaje urzędnikiem, ktoś inny pracuje w kancelarii, ktoś obmyśla, jak się przenieść za granicę, na przykład do Ameryki. Takimi socjalistycznymi idealistami są prawie wszyscy oskarżeni. Do tej kategorii ludzi należał też Kuzniecowa, który jako student Pietrowskiej Akademii Rolniczo-Leśnej chciał założyć wzorcową fermę lub

stworzyć artel wędrownych nauczycieli szkolnych. Przedstawiłem już poglądy Nieczajewa, jego obłąkane idee, dziwi tylko, jak udało mu się znaleźć tylu podobnych do siebie szaleńców. Zauważyli jednak, panowie sędziowie, że oskarżeni wspólnicy opisują Nieczajewa jako człowieka niezwykle silnego i energicznego, któremu nie sposób się oprzeć. Był też znakomitym dialektykiem, nie do pokonania. To człowiek o tak żelaznym charakterze, że wszyscy trzęśli się przed nim ze strachu. Pan prokurator, wysłuchawszy oskarżonych, zadał słuszne pytanie: czyżby ten człowiek stał na najwyższym poziomie natury ludzkiej, a pozostali znacznie niżej? Da się to wytłumaczyć w prosty sposób. Nieczajew to człowiek czynu. Każdy człowiek zaprzątnięty wyłącznie jedną sprawą staje się jednostronny, ale wywiera ogromny wpływ na otoczenie, jeśli odwołuje się do tej sprawy. Wyobraźmy sobie człowieka całkowicie pochłoniętego jedną tylko ideą. Tkwi w jego umyśle, siedzi w nim jak gwóźdź. Otóż taki człowiek wszystko, co go otacza, wszystko, co słyszy, co czyta, odnosi jedynie do tej idei i przetwarza za jej pośrednictwem. Ta idea to nieuchronność, bliskość rewolucji w Rosji. Nieczajew, rozmawiając z setkami ludzi z różnych warstw społecznych wciąż o tej samej idei, posiadał dar przekonywania. Wszyscy mówią o tym, jak zręcznie potrafił prowadzić dyskusję. Gdy mówiono mu, że odezwy to bzdura, odpowiadał, że odezwy przynoszą pożytek, ponieważ uczą ludzi samodzielności i właściwego stawiania problemów. Gdy zastanawiano się, czy można się posługiwać oszustwem, czy nie wejdzie ono w krew, zapewniał, że tak się nie stanie, bo regulatorem i zabezpieczeniem będzie idea. Mówiono mu, że wszystko, do czego dąży, przeczy historii Rosji. Odpowiadał, że w historii Rosji są tylko dwie epoki, reszta zaś nie jest historią Rosji. Rosyjski lud żył według niego tylko w epoce Stieńki Razina i w epoce Jemielki Pugaczowa. Zobaczmy teraz, w jaki sposób Kuzniecowa zetknął się z Nieczajewem. Kuzniecowa był socjalistą i radykałem. Nieczajew odwołał się do obu tych cech jego światopoglądu. Radykałowi jawił się jako najbardziej radykalny radykał, jakiego tylko można sobie wyobrazić, taki, jakiego Kuzniecowa nigdy dotąd jeszcze nie spotkał – nieokiełznany gigant. Jawił mu się też jako socjalista, ale wskazywał bolący punkt socjalizmu: „Postępując tak jak ty, przez tysiąc lat nie ujedziesz nawet jednej wiorsty<sup>24</sup>”. Następowало pytanie: „Dlaczego nie ujedziesz?”. „Dlatego, że nie ma dokąd dojechać, dalej jest pustka”. Ale tego Nieczajew nie dopowiedział. Przedstawił rzecz następująco: „Twoje róże socjalne nie zakwitną na zgniłym błocie, rozpędzą was i zniszczą.

Rząd na nic nie pozwoli”. Potem powiedział mu: „Czy wiesz, że w Europie jest takie stowarzyszenie międzynarodowe, ogromny związek składający się z milionów ludzi gotowych wykonywać jego rozkazy, że to on przygotował wiece w Petersburgu, wywołał ferment wśród robotników i chłopów w ośmiu głodujących guberniach, że czas wyzwolenia głodującego ludu szybko się zbliża, że Petersburg wrze, że wrze też Moskwa, że wkrótce będzie przewrót. Więc jeśli jesteś człowiekiem czynu, a nie bezpłodnych myśli, to powinieneś porzucić swoje socjalistyczne utopie i przystąpić przede wszystkim do zniszczenia tego systemu, w którym nie można ich urzeczywistnić. Jeśli jesteś żywym człowiekiem, a nie trupem, to chodź ze mną, podaj mi rękę”.

W sytuacji Kuzniecowa to natarcie było prawie nie do odparcia. Marzycielowi najtrudniej jest się wyrzec swoich utopii. Poza tym tak niewiele od niego wymagano – tylko podania ręki i bycia w gotowości, kiedy rozpocznie się przewrót. Przychodziły mu do głowy różne straszne myśli: „Niech pan jednak powie, jakie środki i jakie cele ma to stowarzyszenie?”. Nieczajew miał na to gotową odpowiedź – to jest tajemnica, szlachta przywykła siedzieć, rozważać i bawić się w generałów, tymczasem trzeba wstąpić w szeregi żołnierzy, przestrzegać tajemnicy wyższych władz i wykonywać rozkazy. „Potem, gdy zdobędzie pan wyższy stopień – mówił – dowie się pan więcej. Jeśli więc nie jest pan paniczem, ale prawdziwym demokratą, powinien pan z pokorą to przyjąć”. Oczywiście, że należało postąpić tak jak [Siergiej] Prokofjew, który nie wstąpił do organizacji. Stwierdził, że sprawa jest poważna i musi to przemyśleć. Kuzniecowa, jako człowiek słaby, bez namysłu został członkiem organizacji. W pewnej legendzie diabeł zawarł z człowiekiem umowę o jego duszę. W tym wypadku zdarzyło się coś podobnego, różnica dotyczy tylko tego, że w legendzie diabeł w zamian za duszę ofiarował człowiekowi wszelkie dobra ziemskie, natomiast Kuzniecowski żadnym osobistym korzyści nie proponowano. Zresztą niczego dla siebie nie żądał i nie stawiając żadnych warunków, z duszą i kośćmi złożył siebie w ofierze nieznanemu stowarzyszeniu.

Od tego momentu zaczyna się jego powolny, stopniowy upadek. Każdego dnia omotywano go coraz bardziej. Opowiem teraz wysokiemu sądowi historię jego upadku. Moje opowiadanie nie zajmie zbyt wiele czasu, ponieważ dużo faktów już wyjaśniono. Po przyjeździe do Moskwy Nieczajew odnowił przede wszystkim znajomość z Uspienskim, przez

którego poznał Pryżowa, dobrą duszę i marzyciela. Z Pryżowem wiązał duże nadzieje, jeśli chodzi o znalezienie kontaktu z mętami społecznymi, z rosyjskim podziemiem kryminalnym w różnych rejonach Moskwy. Dzięki Uspienskiemu znalazł sobie przystań w Akademii Rolniczo-Leśnej i zwerbował tam mnóstwo ludzi. Tam też poznał [Nikołaja] Dołgowa, a przez Dołgowa [Iwana] Iwanowa, [Aleksieja] Kuzniecowa i [Fiodora] Ripmana. Z tymi właśnie ludźmi stworzył pierwsze kółko. Zauważmy, że organizacja ta nie była zgodna z jego początkowym planem, który był planem wzorcowym, tu zaś trzeba było zacząć od góry, od kółka centralnego, i potem każdemu z jego członków zaproponować, by zorganizował kółko pierwszego stopnia i zapoznał członków organizacji z zasadami. Kuzniecowa wstąpił do organizacji i był bardzo użyteczny. To jest człowiek prostoliniwny i to, co obieca, stara się rzetelnie wykonać, to, na co się zdecydował, realizuje. Wyznaczono mu zbieranie pieniędzy, niezbędnych do dokonania w określonym czasie rewolucji. Według koncepcji Nieczajewa kółka miały być podzielone na dwie grupy. Jedna grupa miała na wszelki wypadek zbierać fundusze dla stowarzyszenia, druga natomiast miała pójść w lud, bezpośrednio na niego oddziaływać i prowadzić pod kule. Następnie założono kółko centralne, z którego wkrótce zabrano Kuzniecowa oraz Iwanowa i przeniesiono do kółka wydziału. Potem kontakty Kuzniecowa ze stworzonym kółkiem i kółkiem centralnym ustały. Kółko wydziału właściwie powinno być nad kilkoma kółkami centralnymi, ale wyszło inaczej – kółko wydziału było organizacyjnie nie dopracowane, znów zbudowano tylko dach, fundamenty zaś miały powstać później. Po założeniu kółka wydziału zamierzano utworzyć jeszcze kilka kółek centralnych, których odnogami miały być kółka pierwszego stopnia. Kuzniecowa otrzymał polecenie, by skontaktował się z Czerkiewowem i Skipskim, założył kółko Pryżowa itd. Nic z tego nie wyszło. Potem Nieczajew zasugerował Kuzniecowskiemu przeniesienie się do Moskwy. Kuzniecowa zamieszkał więc w Moskwie. Na początku października [1869 roku] miał znowu wrócić do Petersburga. Dwudziestego pierwszego listopada [trzeciego grudnia] dokonano zabójstwa Iwanowa. Taka była chronologia wydarzeń. Jaki był w nich udział Kuzniecowa? Gdy Kuzniecowa wstąpił do kółka wydziału, zlecono mu prowadzenie agitacji w środowisku kupieckim, szukanie tam ludzi i pieniędzy. Kuzniecowa nie znał tego środowiska. Jestem absolutnie przekonany, że nie miał w tych kręgach kontaktów, brak na to dowodów. Znalazł się więc w bardzo



niezręcznej sytuacji. Z jednej strony pokładano w nim nadzieje. Bardzo nie chciał ich zawieść. Z drugiej zaś strony nie był w stanie wykonać tego, co mu polecono. Uciekł się więc do wybiegu. Wpłacił do kasy organizacji własne pieniądze, więcej niż pozostali – około trzystu rubli. Powiedział, że je zebrał. W tej opartej na mistyfikacji organizacji każdy starał się wykazać, że robi więcej, niż faktycznie robił. Kuzniecowa zaniepokoiła sytuacja, w której się znalazł – szpiegowanie. Ktoś stale go kontrolował, obserwował, ciągle wybuchały kłótnie o to, że jakiś członek kółka powiedział tej czy innej osobie coś, czego nie powinien powiedzieć. Denuncjatorstwo jest nie do przyjęcia w żadnej organizacji, a zwłaszcza w tajnym stowarzyszeniu. Dlatego Kuzniecowa właściwie bardzo się ucieszył, że ma się przenieść z Akademii do Moskwy. Sądził, że w Moskwie będzie z dala od kolegów, zda egzaminy i skończy studia. Wszystko potoczyło się jednak inaczej – jego mieszkanie stało się przystanią dla innych. Powiedziano mu, że będzie to skład ubrań. W mieszkaniu ulokowano podejrzanego człowieka, Nikołajewa. Kuzniecowa nie mógł go rozgryźć. Nikołajewowi polecono, by był skryty, nie prowadził rozmów i trzymał w tajemnicy to, że przepisywał odezwy. Kuzniecowa i Nikołajew mieszkali razem i się obserwowali, jeden bał się drugiego. Kuzniecowa uciekał z mieszkania, chodził do biblioteki i do znajomych. Znów kłamał. Nienawidził chlestawszczyzny, ale czuł, że ona dominuje nad nim, że pogrąża się w niej. Nie miał własnego kąta, niczego własnego. Od wszystkiego był oderwany, zupełnie zbity z tropu. Taki był pierwszy rezultat wstąpienia do organizacji. Gdy 12 [24] listopada polecono mu, by pojechał do Petersburga, to właściwie ucieszył się z tej zmiany, bo w Moskwie nie miał już życia.

Przed wyjazdem nakazano mu udział w jednym z najstraszniejszych dramatów, jaki można sobie wyobrazić, w zabójstwie Iwanowa. Muszę teraz przedstawić logikę rozwoju tego dramatu. Mówiłem już, że Nieczajew w celu zwiększenia swojej władzy i nadania sobie większego autorytetu uciekał się do mistyfikacji. Taką mistyfikacją był komitet, który miał stać ponad wszystkimi członkami wydziału, budzić strach i respekt. Kółkom pierwszego stopnia i kółkom centralnym komitet właściwie nie był potrzebny, nie jest nawet wymieniany w ogólnych zasadach organizacji. Komitet istniał tylko na potrzeby wydziałów. Ale w jakim celu? Jakie było ryzyko? Bardzo duże. Załóżmy, że członkowie organizacji wierzyli w jego istnienie i podporządkowywali się mu, ale przecież mógł nadejść moment,

w którym przestaliby wierzyć w komitet, i wówczas okazałoby się, że cała władza jest oparta na mistyfikacji. Znacznie praktyczniej byłoby powiedzieć, że komitet jest wydziałem – wydział miałby duży autorytet i mógłby odgrywać główną rolę. Nieczajew przedkładał jednak spokojne zarządzanie i rozkazywanie nad dyskusje. Skłonność do wodzostwa, o co oskarżał tych, którzy pytali go o stowarzyszenie, była jakby jego organiczną cechą. Nie sądzę, żeby wszyscy członkowie organizacji w takim samym stopniu wierzyli w istnienie komitetu. Z zeznań Uspienskiego wynika jednoznacznie, iż wiedział o tym, że komitet nie istnieje, gdy po wyjeździe Nieczajewa został sam w Moskwie i cała praca organizacji, w tym wysyłanie za granicę raportów dla Bakunina, spadła na jego głowę. Jeśli chodzi o Pryżowa, to kwestia komitetu nie była jego sprawą i zmartwieniem. To człowiek postronny, inny niż wszyscy i nie zainteresowany strukturą organizacji. [Jelizawieta] Bielajewa, oryginalna osoba, również nie zajmowała się tym problemem. Pozostają Kuzniecowa i Iwanow. Kuzniecowa zdecydowanie, bez żadnych wątpliwości wierzył w istnienie komitetu. To człowiek prostolinijny, który niezmiennie szedł jedną wytyczoną drogą, póki nie uderzył głową o mur, póki się nie przekonał, że to nieprawda. Iwanow był zupełnie innym człowiekiem. To był prawdziwy demokrat, syn ludu, chłop ze Żmudzi. Przyjechał do Moskwy, by się uczyć. Żył w strasznej biedzie, zarabiał na życie korepetycjami. Mówiono, że często całymi miesiącami z braku pieniędzy nie jadł nic ciepłego. To był człowiek samodzielny, krytycznie myślący, a jego najszlachetniejszą cechą było umiłowanie wolności, wstręt do wszelkiego przymusu, bez względu na jego źródło. Miał jeszcze jedną cechę, na którą podczas procesu zwróciły uwagę strony, mój kolega obrońca, książę [Aleksandr] Urusow, oraz prokurator. Iwanow miał pewne aspiracje. Być może po wstąpieniu do organizacji nie chciał być po prostu pionkiem, narzędziem, może chciał świadomie uczestniczyć w ruchu społecznym i odegrać w nim jakąś rolę. Podstawowymi cechami jego charakteru były wielka szlachetność i uczciwość. Początkowo był niebywale oczarowany Nieczajewem, ale później niewykluczone, że zaczął się czegoś domyślać i krytycznie odnosić do zarządzeń Nieczajewa, niektóre z nich kwestionując. Jak to rozwiązać? Zwrócić się do komitetu. Ale komitet wydawał zarządzenia potwierdzające polecenia Nieczajewa. Wtedy zrodziło się podejrzenie, że tym komitetem jest Nieczajew. Iwanow podzielił się swoimi przemyśleniami z kolegami. To właśnie zaniepokoiło

Nieczajewa do tego stopnia, że stało się tematem dyskusji z zaufanymi ludźmi, zwłaszcza z Uspienskim, i tej teoretycznej rozmowy, o której mówił Uspienski. Nie padło w niej wprawdzie nazwisko Iwanowa, ale dotyczyła właśnie jego, a także tego, co należy z nim zrobić. W rozmowie z Uspienskim Nieczajew posłużył się znakomitym, nieszablonowym wybiegiem. Uspienski miał wątpliwości co do zakresu władzy stowarzyszenia, czy może ono decydować o życiu człowieka. Nieczajew zareplikował ostro: „Czyżby przejmował pan kompetencje sądu? Jest przeszkoda, więc trzeba ją usunąć”. W ten sposób sprawa była z góry przesądzona. Jedną z głównych potyczek Nieczajewa z Iwanowem odbyła się 4 [16] listopada. Tego dnia na wiecu padła propozycja, żeby odezwy przechowywać w studenckiej garkuchni. Studenci byli bardzo do niej przywiązani, należała do korporacji studenckiej, miała dla nich duże znaczenie. Iwanow się sprzeciwił. „No, a jeśli komitet nakaze?” – spytał Nieczajew. „Komitetu też nie posłucham, jeśli nakaze zrobić jakąś głupotę” – odpowiedział Iwanow. „Zatem komitetu też nie posłuchasz?” – dopytywał się Nieczajew. Potem zaczęły się poważne spory i stosunki stawały się coraz bardziej napięte, groziło to wręcz zerwaniem kontaktów. Zainterweniował Kuzniecowa, powstrzymał przeciwników. Na chwilę nawet udało mu się ich pogodzić. Iwanow ustąpił. Wtedy powstała kwestia teoretyczna – czy należy stosować się do zarządzeń komitetu? Problem jakoś rozwiązano i sprawy zaczęły się toczyć zwykłym torem. Nieczajew postanowił wyjechać z Petersburga, lecz tuż przed wyjazdem Iwanow zdecydował się zerwać z Nieczajewem. Stwierdził: „Nie będę więcej wykonywać żadnych zarządzeń”. Powiedział to Pryżowowi i dodał, że zamierza założyć własne kółko z oddzielną kasą. Rozmowa z Pryżowem odbyła się 19 listopada [1 grudnia]. Na drugi dzień, 20 listopada [2 grudnia], Pryżow przekazał tę informację Uspienskiemu. Nikołajew pojechał od Uspienskiego do Nieczajewa i przekazał mu tę informację. Nieczajew udał się do Kuzniecowa, ale go nie zastał. Kuzniecowa miał tego dnia wyjechać do Petersburga, ale przed wyjazdem wybrał się pod Moskwę, gdzie gościł u Iwanowa, który niczego nie podejrzewał i spokojnie z nim rozmawiał. O ósmej wieczorem zjawił się u Kuzniecowa Nieczajew. Stwierdził, że teraz nie czas myśleć o wyjeździe, że Iwanow się buntuje, przeciwstawia, że trzeba jakoś z nim skończyć. „Ponieważ to ja wprowadziłem go do stowarzyszenia, komitet wydał mi polecenie rozprawienia się z Iwanowem, zlikwidowania go” – powiedział. Kuzniecowa

oniemiał, zrozumiał, że szykuje się coś niedobrego. Udawał, że nie rozumie, o czym mówi Nieczajew. Poszli do Uspienskiego, wywiązała się długa rozmowa. Brał w niej też udział Pryżow, ale szybko opuścił sprzecających się kolegów – wszystkie te rozważania były mu wstrętne. Zostali Nieczajew, Uspienski i Kuzniecowa. Nieczajew naciskał, by Iwanowa zlikwidować. Kuzniecowa udawał, że nie wie, o co chodzi, że jest to niewłaściwe, niemożliwe, jednym słowem – starał się jakoś udaremnić przedsięwzięcie. Wtedy Uspienski, który we wcześniejszej rozmowie podjął teoretycznie decyzję o zabójstwie, powiedział, że teraz nie można się zatrzymać, trzeba skończyć z Iwanowem. Ostatecznie sprawę rozstrzygnął Nieczajew, szermując rozkazem komitetu. Kuzniecowa wierzył w istnienie komitetu i uważał, że ma obowiązek podporządkować się jego zarządzeniom, więc musiał zamilknąć. Potem zaczęto rozważać, jak to wykonać. Proponowano różne sposoby: otrucie, uduszenie itd. Kuzniecowa oprotestowywał każdy z nich: to jest nieodpowiednie, to się nie uda, a tamto jest niewykonalne. Wtedy Nieczajew przypomniał sobie grootę koło Akademii, w której kiedyś był. Kuzniecowa zaproponował, mówiąc, że grota się nie nadaje, bo tam są dozorczy i spacerują ludzie. Nieczajew stwierdził: „Bzdury, zdecydowano!”. Po tej decyzji Kuzniecowa wrócił do domu. Był strasznie wzburzony, nie wiedział, co robi. W tym momencie tracę prawie wszystkie możliwości obrony. Jestem głęboko przekonany, że postąpił źle, że po wyjściu od Uspienskiego powinien wziąć dorożkę i pojechać do Iwanowa, żeby go uprzedzić. Co prawda, w jego mieszkaniu znajdował się Nikołajew, który – jak uważał – śledził go. Kuzniecowa powinien był rano pojechać do Akademii, nie powinien zaglądać do gospody ani iść za Nikołajewem, gdy ten pojechał po Iwanowa do [Eduarda] Laua, nie powinien udać się do groty ani uczestniczyć w eksperymentach Nieczajewa, kiedy ten wypróbowywał swoją wytrzymałość i przygotowując się do pierwszego krwawego czynu, zakładał sobie pętlę na szyję, usiłując się dusić, i odpytywał kolegów, czy słyszeli, jak charczy. Kuzniecowa powinien był pobiec do Iwanowa i powiedzieć mu, żeby uciekał, ale nie pobiegł, nie powiedział, podporządkował się i niczym automat wykonał wszystko, co mu kazano. Postąpił tak nie dlatego, że nie pałał oburzeniem, że to mu odpowiadało, przeciwnie, wewnątrz wszystko skręcało się w nim w strasznej męce, w dręczącym go koszmarze. Wszyscy mówili, że był bardzo zmieniony na twarzy. Ale to jest taki człowiek – jeśli komuś coś przyrzeknie, to wykona to, dopóki wierzy człowiekowi coś mu

nakazującemu. Zatem żeby zrobić to, o czym mówiłem, musiałyby zniweczyć swoje ideały, swoje wyobrażenie o wspólnej sprawie, dla której wszystko poświęcił, swoje przekonanie o tym, że ta sprawa istnieje i wymaga bezwzględnego i ofiarnego posłuszeństwa. Nie miał dość sił, by z tego wszystkiego zrezygnować, a wydarzenia rozgrywały się w nieprawdopodobnym tempie: 20 listopada [2 grudnia] podjęto decyzję, a następnego dnia Iwanow już nie żył. Kuzniecowa był przy jego śmierci, ale nie przyczynił się do niej, nie dotknął swoimi rękami Iwanowa. Był prawie w obłądnie. Wsunęto mu w rękę pieniądze z portmonetki Iwanowa – wyrzucił je. Kazano mu ciągnąć ciało zabitego – ciągnęli je wszyscy. Potem wrócił do mieszkania, do wszystkich czuł wstręt, do Nikołajewa i Uspienskiego. W mieszkaniu nastawił samowar, a mordercy w tym czasie zmywali z siebie krew i palili ubranie w piecu, potem rozległ się wystrzał. Następnego dnia Nieczajew zabrał ze sobą Kuzniecowa do Petersburga. Zanim skończę swoje opowiadanie, muszę powiedzieć kilka słów o charakterze tego zabójstwa, o pobudkach, które skłoniły Nieczajewa do popełnienia przestępstwa, i o tym, kiedy takie przestępstwo może być usprawiedliwione – jeśli mamy do czynienia z tajną organizacją, tajnym podziemnym stowarzyszeniem. Sądzę, panowie sędziowie, że tajne stowarzyszenie, organizacja spiskowa, z powodu ograniczonej konieczności istnienia może udzielić przyzwolenia na gwałtowną śmierć swojego członka tylko w jednej jedynej sytuacji – zagrożenia zdradą. Uważam, że każda osoba werbowana do tajnego stowarzyszenia bądź nie powinna do niego wstępować, bądź jeśli już wstąpi, musi być świadoma, że gdy sprawa dojrzeje, gdy pracują dla niej setki ludzi, gdy wystarczy jedno słowo, by cała budowla runęła, i nagle pojawia się donosiciel, szpicel, który może całą tajemnicę ujawnić, to w tym wypadku, chcąc zapobiec donosowi, trudno nie podjąć decyzji o zlikwidowaniu go. Taki czyn będzie przestępstwem z punktu widzenia prawa karnego, lecz z moralnego punktu widzenia będzie w pewnym sensie usprawiedliwiony. Oprócz tej jedynej sytuacji przyzwolenie na zgładzenie człowieka jest niedopuszczalne. Załóżmy, że między wieloma członkami w stowarzyszeniu zaczynają się antagonizmy i spory, każdy z polemistów ma swoje racje, ale czy z tego wynika konieczność zabójstwa? W żadnym wypadku. Jeśli dwóch mężczyzn kocha jedną kobietę i jeden z nich, widząc, że ona woli tego drugiego, postanawia go z za węgła zabić, to oczywiście nie można tego usprawiedliwić. Nie można tego usprawiedliwić również wtedy, kiedy dwóch rywali występuje

we wspólnej sprawie. Jeśli pan Nieczajew miałby choć odrobinę szlachetności, jeśli nie byłby stuprocentowym despota, to zapewne znalazłby sposób, żeby rozwiązać konflikt z Iwanowem. Gdyby był naprawdę szlachetny i oddany sprawie, to mógłby po prostu powiedzieć Iwanowowi: „Ty, bracie, chcesz postępować tak, a ja inaczej, jeśli uważasz, że masz rację, to zastąp mnie, zajmij moje miejsce, bo to jest wspólna sprawa i trzeba działać zgodnie”. Mógłby też powiedzieć w ten sposób: „Ty się, bracie, mylisz, zbierzmy kolegów, niech będą naszymi rozjemcami i powiedzą, który z nas ma rację, a który się myli, jesteśmy szlachetnymi, uczciwymi ludźmi, więc przedstawmy kolegom nasze poglądy i ten, kto zdobędzie przewagę, zostanie, a ten drugi odejdzie i nie będzie szkodzić”. Na taki sąd Iwanow prawdopodobnie by przystał, to był dobroduszny, łagodny człowiek. Gdy mu powiedziano, że ma pójść do groty, żeby zainstalować tam ręczną maszynę drukarską, poszedł bez żadnych podejrzeń, bez złości do Nieczajewa. Gdyby miał choć odrobinę złości bądź coś na sumieniu, gdyby obawiał się tych ludzi i podejrzewał ich o coś, to oczywiście nie poszedłby na pewną śmierć, nie poszedłby, gdyby wiedział, że rozprawią się z nim w taki sposób, jak uczynił to Nieczajew. Nieczajew, wstąpiwszy na tę fałszywą drogę, od razu poszukał różnych, bardziej lub mniej przekonujących uzasadnień: brak subordynacji, złamanie słowa przez Iwanowa, a nawet obowiązku posłuszeństwa wobec zarządzeń komitetu, potrzeba pokazania innym przykładu, wzbudzenie w nich zbawczego strachu, scementowanie sprawy krwią, jako że krew najlepiej cementuje sprawę. To żałosne sofizmaty! Subordynacja jako zasada organizacji to podporządkowanie się wspólnej sprawie, nie zaś panu Nieczajewowi. Bezwzględne posłuszeństwo zarządzeniom komitetu obowiązuje tylko pod warunkiem, że komitet rzeczywiście istnieje, ale jeśli okazuje się, że go nie ma, to naturalną reakcją członków organizacji powinna być rezygnacja z obowiązku podporządkowania się mu i stwierdzenie, że rzeczywiście zobowiązano się do posłuszeństwa komitetowi, ale skoro on nie istnieje, to nikt nie chce być oszukiwany, więc wypowiada swoje zobowiązanie. Jeśli chodzi o scementowanie sprawy krwią, to rozumiem doskonale tę sentencję Nieczajewa. Związek został scementowany, ale dotyczy to tylko czterech zabójców, których połączyło to, że teraz we czwórkę siedzą na ławie oskarżonych, natomiast organizacji ta krew nie scementowała. Wielkie i szlachetne czyny dokonywane dla dobra narodu nigdy nie są cementowane niewinną, na darmo przelaną krwią. Nieprawdą jest również to, że gdyby

Iwanow był na miejscu Nieczajewa, też uciekłby się do zabójstwa. Iwanow nigdy by tego nie uczynił, to był szlachetny, dobry człowiek.

Muszę powiedzieć jeszcze kilka słów. Chodzi o wyjazd Nieczajewa i Kuzniecowa do Petersburga. Kuzniecowa nie mógł spać. Nie był sobą, podobnie jak w Moskwie biernie wykonywał to, co mu kazano. Mówiono mu, żeby poszedł, powiadomił kogoś o czymś, poszukał jakiejś osoby, więc szedł i robił to. Chodził po mieście... Oskarża się go o to, że jako przestępca chodził po ulicach bez wstydu. Chcę zapytać – a dlaczego miał nie chodzić po ulicach? Miał zdrowe nogi i ruch fizyczny dobrze mu robił. On zupełnie nie myślał o niebezpieczeństwie, o tym, czy go złapią, czy nie, szukał na zewnątrz ratunku przed strasznymi wspomnieniami, które prześladowały go podczas pobytu w Petersburgu. Przed wyjazdem i po wyjeździe Nieczajewa coś tam robił, przeczytał dwóm młodym ludziom, [Piotrowi] Toporkowowi i [Władimirowi] Swiatskiemu, zasady organizacji, był przy wyjeździe Nieczajewa do Moskwy, wziął papiery, żeby od razu je przekazać. Potem został aresztowany. Kiedy go aresztowano i znalazł się w więzieniu, z niezwykłą siłą wróciły sceny, które go prześladowały i które próbował od siebie odepchnąć. Zaczął mieć halucynacje, ukazywały mu się widma ojca i Iwanowa. Był prawie obłąkany. Ale to jest człowiek o silnym charakterze, przeżywszy te straszne męki, otrzeźwiał i wszystko opowiedział. Panowie sędziowie, ten człowiek stoi przed wami i sądzę, że wydając wyrok, znajdziecie okoliczności łagodzące. Los tego człowieka jest w panów rękach.

—

Na mocy wyroku sądu 15 [27] lipca 1871 roku [Aleksiej] Kuzniecowa został pozbawiony wszelkich praw stanu i skazany na dziesięć lat ciężkich robót (katorgę).

### 3

## Sprawa o zabójstwo [Nikołaja] von Zona

Proces toczył się od 28 marca [9 kwietnia] do 29 marca [10 kwietnia] 1870 roku przed Petersburskim Sądem Okręgowym.

---

Panowie przysięgli! To jest sprawa, która mogłaby być rozpatrzona przez sąd bez sporu stron, bez postępowania sądowego. Żadne wypowiedzi ani słowa nie mogą nic tu dodać ani też nic ująć, nie mogą zmienić niesamowitego wrażenia, jakie wywiera ten straszny zwierzęcy czyn. W centrum stolicy, dwa kroki od aresztu wojskowego, istniała zbójcka melina, uwiła tam sobie gniazdko szajka bandytów szykujących napady. Jedni zwabiali do niej ludzi, inni siedzieli w kryjówce, czekając na zdobycz. W końcu dokonali krwawego zabójstwa, zabili staruszka, który zapomniał o wstydzie oraz o szacunku dla swoich siwych włosów i dał się zaciągnąć do tego brudnego barłogu. Zdaniem oskarżenia zbrodnię tę popełniono na polecenie jednego człowieka, a zdaniem mojego kolegi obrońcy nie wiadomo na czyje polecenie. Muszę powiedzieć, że jeśli chodzi o te dwie wersje, zdecydowanie opowiadam się za pierwszą. Są oczywiście zasady, których obrona powinna przestrzegać, ale jest również prawda. Ona też ma swoje prawa. Wydaje mi się, że na podstawie przewodu sądowego i opowieści wszystkich uczestników przestępstwa, opisujących je w najdrobniejszych szczegółach, dojdą panowie do wniosku, że jego motorem był Maksim Iwanow kierujący tym przedsięwzięciem.

Przestępcy jakby starali się połączyć w tej zbrodni wszystkie elementy, spośród których wystarczyłby jeden, by w świetle prawa uznano ich czyn za zabójstwo, a zabójstwo zwykłe za zabójstwo szczególne, kwalifikowane. Mamy tu do czynienia ze znęcaniem się, truciem, duszeniem, biciem żelazkami. Przy tym okazuje się, że tylko dwoje z przestępców osiągnęło pełnoletność, pozostali to młodociani. Sprawa jest, powtórzę jeszcze raz, straszna. Nie będę się starał osłabiać wrażenia, jakie wywiera – zbrodni



dokonała cała szajka, w tym moja klientka. Niemniej jednak ten wspólny czyn nie wszystkich obciąża jednakowo, ci, których udział w przestępstwie był drugorzędny, mają prawo do sądenia ich proporcjonalnie do stopnia udziału. Jednocześnie wszyscy obrońcy, prócz obrońcy Maksima Iwanowa, mają duże możliwości powiedzenia czegoś w obronie swoich klientów, by złagodzić ich kary. Muszę stwierdzić, że moje możliwości obrony są szczególnie małe. Proszę tylko zajrzeć do aktu oskarżenia i wygłaszanych przez innych oskarżonych oszczerstw. Gdyby panowie zapoznali się wyłącznie z aktem oskarżenia i wysłuchali tych potwarzy, gdyby panowie nie przyjrzeni się Awdiejewej i nie wysłuchali jej, to doszliby do wniosku, że po Maksimie Iwanowie właśnie Aleksandra Awdiejewa jest kolejną główną sprawczynią tego przestępstwa. Rzeczywiście, to ona pojechała z von Zonem do jego mieszkania, to ona dowiedziała się, ile von Zon ma pieniędzy, to ona mu je ukradła, a potem to ona, jeśli nie podała mu trucizny (zaprzecza temu i być może jest to prawda, co wyjaśnię potem), to w każdym razie trącała się z nim kieliszkiem, wiedząc, że w jego kieliszku jest trucizna, a kiedy zaczął się mord, kiedy w ruch poszły rzemień, bat i żelazka, usiadła do pianina i zaczęła bębnić w klawisze rękami i nogami, żeby zagłuszyć jęki nieszczęsnej ofiary. Gdyby panowie nie przyjrzeni się tej kobiecie i nie wysłuchali jej logicznego opowiadania, to mogliby pomyśleć, że to jest jakiś potwór – nie kobieta, lecz demon, bestia, monstrum, że nie ma w niej żadnych ludzkich cech. Sądzę, że to nie jest rozwiązanie problemu. Kim jest potwór? Jest istotą odmienną od spotykanych w naturze, jest w nim coś niezwykłego. Jest zagadką. Jeśli stwierdzą panowie, że Awdiejewa jest potworem, to zamiast problemu będzie zagadka, a potem powstaną takie oto pytania. Co zrodziło takiego potwora? Czy myślał i czuł tak jak wszyscy ludzie? Oprócz fizycznego udziału, jaki był jego emocjonalny udział w przestępstwie? To są pytania, z którymi szedłem do mojej klientki do więzienia, słuchałem jej, analizowałem to, co mówi, obserwowałem ją też podczas procesu. Pozwolę podzielić się z panami rezultatem moich spostrzeżeń, to znaczy przekażę to, co zauważyłem, i wnioski, jakie z tego wyciągnąłem. Być może ta analiza w pewnej mierze posłuży jej obronie, spowoduje, że nie będą panowie patrzeć na Aleksandrę Awdiejewą zbyt surowo. Aleksandra Awdiejewa czy, jak ją nazywają koleżanki, Sasza Duża, to, jak to się mówi, kobieta zgubiona, zatraciła się w bardzo wczesnych latach, oddała się rozpuście, co zaprowadziło ją na ławę oskarżonych. Wiedzą panowie, że Awdiejewa,

która skończyła siedemnaście lat, zaczęła osiemnasty rok życia, już dwa lata temu znalazła się w domu publicznym, z czego wynika, że została uwiedziona w wieku piętnastu lat. Pochodzi z biednej rodziny, jej ojciec, krawiec, zmarł bardzo wcześnie. Aleksandra mieszkała trochę na wsi, trochę w mieście, często jeździła do Moskwy. Pewnego razu podczas wyjazdu poznała oficera. Oczarował ją i uwiódł, a po tygodniu porzucił. Miała wtedy piętnaście lat. Wróciła na wieś, uczyła się, a później przeniosła się do matki. Żyło się jej ciężko i smutno. Zaczęła uciekać od matki, czasem na dwa miesiące przepadała z domu. Matka była dla niej bardzo surowa. Aleksandra chciała się nawet utopić, by uniknąć jej gniewu. Podczas tych wędrówek poznała jakieś kobiety, które pouczyły ją: „Po co ty pracujesz, jeszcze zdążysz się napracować, przecież możesz żyć lepiej, ubierać się w jedwabie, pić wino, wódkę i się bawić”. Pod wpływem tych rad piętnastoletnia Awdiejewa zaczęła pracować w domu publicznym Rybakowej czy Rybakowskiej na Newskim Prospekcie. Była tam dwa lata. Wiadomo, jak żyją prostytutki – bardzo monotennie mimo wszystkich swoich łajdactw. Nie mają nic własnego, to, co mają na sobie, należy do właścicielki domu publicznego. Kobieta, która uprawia prostytutkę, nigdy nie ma grosza przy duszy, ma co jeść i pić... jeśli znajdzie się ktoś, kto zechce ją ugościć... W taki sposób Awdiejewa spędzała czas zimą w Petersburgu, a latem na okolicznych wyspach. I pewnego razu w jednym z takich przybytków rozkoszy, w Eldorado czy Elizjum, poznała Maksima Iwanowa, który pod koniec lipca [na początku sierpnia] 1869 roku podczas festynu w Peterhofie zwabił ją do siebie. Została przewieziona do jego domu, przyodziana, a dawne ubrania odesłano właścicielce domu publicznego. Awdiejewa zaczęła zarabiać nierządem dla Maksima Iwanowa. Żyło się jej lepiej, nie była tyranizowana tak jak wcześniej. Maksim Iwanow traktował ją z większą wyrozumiałością niż Rybakowa czy Rybakowska. Darija Turbina [kochanka Maksima] też odnosiła się do niej dobrze.

Opiszę teraz dom Maksima Iwanowa. W zaułku Spaskim na tylnym podwórzu był lokal składający się z salonu z dwoma oknami, czyli pokoju reprezentacyjnego, gdzie przyjmowano gości, sypialni, kuchni i przedpokoju, właściwie były to dwa pokoje, mieszkało w nich siedem czy osiem osób. W kuchni jak śledzie w beczce tłoczyli się mężczyźni. [Anton] Graczow pełnił obowiązki służącego, [Iwan] Fiodorow i [Aleksandr] Iwanow [brat Maksima] czekali, aż nadarzy się jakaś dobra okazja.

W przedpokoju mieszkał Maksim Iwanow z Dariją. Sypialnia również była dla gości bądź dla dwóch, trzech kobiet. Spały tu też, jak słyszeli panowie przysięgli, inne kobiety – Jelena [Dmitrijewa] i Kławdija [Strieszniowa]. Naturalnie gdy jedna czy dwie z nich spały, pozostałe myszkowały po mieście. Całe to dość liczne towarzystwo trzymał w garści Maksim Iwanow, który w różny sposób odnosił się do swoich lokatorów, to znaczy inaczej do kobiet, inaczej do mężczyzn. Pytałem Aleksandrę Awdiejewą, jak się układały ich stosunki z mieszkańcami kuchni. Stale usługiwał Graczow, wykonywał polecenia wszystkich. Biegał po zakupy, sprzątał pokoje itd. Pozostali usługiwali tylko wtedy, gdy jego nie było – wyłącznie wtedy. Warunki życia kobiet można odtworzyć na podstawie opowieści Aleksandry Awdiejewej i drugiej Aleksandry – Siemionowej, Saszy Młodszej. Jak słyszeliśmy, każda z nich żyła u Maksima Iwanowa tak, jak zazwyczaj żyją tego typu kobiety u właścicieli domów publicznych, to jest w całkowitej zależności od nich. Każda z nich musiała miesięcznie płacić czterdzieści rubli za wyżywienie i mieszkanie, ponadto otrzymywała rachunek za ubranie. Oczywiście żadna z nich nie była w stanie pokryć należności, zwłaszcza że ubrania wyceniano dwukrotnie powyżej ich wartości. Zatem Aleksandra Awdiejewa, tak jak Siemionowa i inne te kobiety, nigdy nie miała grosza przy duszy. Krótco po związaniu się z Maksimem Iwanowem – nie mogę tego przemilczeć – widziała, jak otruto koty, jak dawano im truciznę i jak zdychały. Awdiejewa to potwierdziła. Co było później, czego dotyczyły rozmowy? To nie były normalne rozmowy, mówiono o tym, jak kogoś zwabić, ograbić i za zdobyte pieniądze żyć w Moskwie. Można zapytać: dlaczego kobieta, trafiwszy w takie bagno, słysząc wciąż takie rozmowy, uczestnicząc w zabijaniu kotów i przygotowaniach do otrucia ludzi, nie uciekła, jeśli nie z powodu oburzenia, to choćby z lęku przed odpowiedzialnością, z obawy, że zostanie złapana wraz z innymi przestępcami. Odpowiem na to pytanie w następujący sposób. Panowie przysięgli na podstawie tych opowieści wyrobili sobie już zapewne zdanie o tym, kim jest Awdiejewa, o tym, jaki jest stopień jej rozwoju umysłowego i moralnego. Awdiejewa opowiadała o wszystkim, jak mi się wydaje dość rzeczowo, ale o czym mówiła? O sprawach błahych: o tym, co zaszło, o tym, co kto powiedział, co robił, jak coś załatwiła. Ona ma pewien nawyk mówienia. Jest to nawyk wyniesiony z Eldorado i innych tego typu przybytków. Ona pewnie potrafi żartować z mężczyznami, podtrzymywać z nimi określonego typu

rozmowę, lecz nic poza tym. Jeśli odrzuci się blichtr Eldorado, okaże się, że Awdiejewa jest w całym tego słowa znaczeniu dzikuską. Ona nie ma, panowie przysięgli, żadnego wykształcenia, ona może przeczytać tylko tekst wydrukowany dużymi literami, a i to z błędami, ona niczego się nie uczyła. Próbowałem się dowiedzieć, czy umie grać na pianinie, okazało się, że nie ma pojęcia o grze – po prostu gdy zaistniała potrzeba, żeby grała, bębniła w klawisze rękami i nogami. Niepiśmienność nie zawsze oznacza brak wykształcenia, są ludzie niepiśmienni, lecz mądrzy, rozsądni. Główną cechą człowieka jako istoty ludzkiej, to znaczy istoty rozumnej, różniącej się od zwierzęcia, jest to, że myśli o sobie, iż „nie jest w ciemni bity”, że stara się być samodzielny, nie ulega innym, lecz przeciwnie, chce stanąć ponad nimi i podporządkować ich sobie. Jest to zwykły egoizm, ale egoizm jest właściwy człowiekowi. Otóż tej cechy charakteru Aleksandra Awdiejewej brakuje. Ona jest w całym tego słowa znaczeniu dzikuską, była nią u właścicielki domu publicznego na Newskim Prospekcie, a potem u Maksima Iwanowa. Zachowywała się absolutnie biernie, robiła tylko to, co jej kazano. Powiedziano jej, że ma przywieźć von Zona, to go przywiozła, powiedziano, że ma się dowiedzieć, ile on ma pieniędzy, więc się dowiedziała, przykazano jej, że ma mu je zabrać, to zrobiła to, polecono jej grać, to bębniła w klawisze rękami i nogami! Ona przez cały czas zachowywała się jak wytresowany pies. Zobaczmy, jak postępowała w innych sytuacjach, podczas podziału łupów. Podział odbył się zgodnie z życzeniem Maksima Iwanowa. Awdiejewej przypadło w udziale pięć rubli, ale ich nie wzięła. Mogą panowie uwierzyć jej albo Maksimowi Iwanowowi, sądzę jednak, że nie ma powodu przedkładać jego stwierdzenia nad jej zeznania... gdyby miała pieniądze, poszłaby dokądkolwiek, ale nie miała ani kopiejki. Jeśli chodzi o rysy charakteru Awdiejewej, to w jej postępowaniu widoczna jest tylko jedna cecha – dziecięca ciekawość. Ona chciała się przyglądać, jak dogorywają w drgawkach koty, chciała wiedzieć, jak działa trucizna na von Zona. Następnego dnia po zabójstwie prosiła, by wpuszczono ją do sypialni, bo chciała popatrzeć na leżącego pod łóżkiem von Zona. Spośród wszystkich oskarżonych tylko ona spokojnie wytrzymała to, czego nie mogli znieść nawet mężczyźni, którzy mają silniejsze nerwy. Oni, w tym również Maksim, nie chcieli być świadkami otwierania walizki i wyjmowania z niej na wpół zgniłego trupa nieszczęsnej ofiary, ona zaś podeszła, dokładnie go obejrzała, spojrzała zabitemu w twarz, obeszła go naokoło. Gdy pytano ją, jak mogła znieść tak straszny

widok, odpowiedziała: „Cóż mogę począć, taki już mam charakter”. To jest, panowie przysięgli, poziom jej myślenia. A morale – tu jest jeszcze gorzej! Ta kobieta nie jest do niczego przywiązana, nigdy nikogo nie kochała. We wczesnym dzieciństwie straciła ojca, matka była dla niej bardzo surowa, bała się jej i nawet chciała się utopić. Tak wczesnie zaczęła oddawać się rozpuście, że prawie nie przeszła przez etap przejściowy między stanem, gdy dziecko nie ma jeszcze poczucia wstydu, a stanem, gdy takiego poczucia już nie ma i nie może mieć. Ona, by tak rzec, już w dzieciństwie trafiła do domu publicznego. Nikogo nie kochała, znajomość z oficerem była przelotnym związkiem, w domu publicznym była w całym tego słowa znaczeniu siłą roboczą. Zarabiała pieniądze dla właścicieli, wykonywała wszystko, czego od niej wymagano, nie miała kontaktu z ludźmi, którzy mogliby mieć na nią pozytywny wpływ, nie stykała się z nikim, kto mógłby wpoić jej pojęcie dobra i zła, obowiązków moralnych i obywatelskich, zaszczepić skłonności do jakichś ideałów. Całe życie Awdiejewej nie wychodzi poza ramy najbardziej ordynarnego cynizmu. Wynikiem całkowitego braku rozwoju moralnego jest brak świadomości obowiązków obywatelskich i moralnych, tego, co nazywa się humanitaryzmem, człowieczeństwem. Panowie przysięgli wiedzą, czym jest człowieczeństwo. Mówiłem o egoizmie, pierwszym etapie w życiu człowieka, drugim, wyższym etapem, jest człowieczeństwo czy też zdolność widzenia nie tylko siebie, ale również innych, dostrzegania tego, że ktoś cierpi, i odczuwania tego samego bólu i cierpienia, którego doznaje ktoś inny. Do tego Awdiejewa zupełnie nie jest zdolna. Nie można powiedzieć, że jest to kobieta całkowicie pozbawiona uczuć: ona nie jest kamieniem, ma nerwy, płakała przy mnie, ale płakała nad sobą, nie nad innymi. Ta obojętność na cierpienia innych nie może być jednak poczytana jej za winę. Panowie przysięgli, proszę zanalizować te cechy jej charakteru, które starałem się opisać. Wydaje mi się, że wyjaśnieniem jej sposobu postępowania nocą z 7 [19] na 8 [20] listopada są właśnie te cechy, ten brak prawidłowego rozwoju umysłowego i moralnego, oraz jeszcze jeden czynnik, a mianowicie wino, które wypijała tej nocy. Od kiedy znalazła się w przybytku Maksima Iwanowa, ciągle słyszała, że kogoś trzeba zwabić, ograbić, zabić, ale to jej nie dotyczyło, to były sprawy Maksima Iwanowa. Były to tylko projekty, które nie stały się jeszcze konkretnymi czynami. Powiedziano jej: „Przywieź von Zona”. Zrobiła to, zwłaszcza że nie było to dla niej nic nowego, zawsze przyprowadzała ze sobą mężczyzn... Nie ma podstaw, by

sądzić, że po przywiezieniu von Zona uczestnicy przestępstwa natychmiast obmyślili plan działania. Jeśli taki plan istniał, to tylko w głowie Maksima Iwanowa. Pozostali przyłączyli się, gdy zaczęła się akcja, to znaczy dopiero wtedy, gdy von Zon wrócił do mieszkania, które wcześniej opuścił. Akcja wyglądała tak. W pokoju są tylko von Zon i Maksim Iwanow, po jakimś czasie wchodzi Aleksandra Awdiejewa i Darija Turbina, pozostali są w kuchni, Aleksandra Siemionowa i Jelena Dmitrijewa śpią. O tym, co działo się wtedy w pokoju, mamy bardzo skąpe informacje. Maksim Iwanow idzie do kuchni, nie mówi kobietom, co będzie robił. Przygotowuje środek, który potem uznano za truciznę (czy była to trucizna, to jest inna kwestia, i jeśli zaczniemy ją rozpatrywać, to wniosek będzie raczej negatywny). Z całą pewnością ta zatruta substancja się zepsuła i nie mogła być szkodliwa. Według mnie nie ma to zupełnie znaczenia, jestem nawet gotów uznać, że przestępcy naprawdę sądzili, że jest to trucizna. Nawet jeśli panowie przysięgli uznają za bardziej wiarygodne wypowiedzi tych uczestników przestępstwa, którzy twierdzą, że truciznę nalewała Awdiejewa, czemu ona zaprzecza, to nie będzie to według mnie czyniło żadnej różnicy. Przyznaje się do tego sama Awdiejewa. Ona nie zaprzecza, że gdy Maksim Iwanow powiedział do von Zona: „Proszę wypić” i zaproponował jej, by poczęstowała gościa, naląła sobie kieliszek wina i trąciła się z von Zonem, co oznacza, że skłoniła go do wypicia trucizny. Potem zaczęło się okładanie von Zona rzemieniem i bicie żelazkami. Właśnie wtedy Awdiejewa na polecenie Maksima Iwanowa bębniła w klawisze rękami i nogami, a także wrzeszczała – aż do chwili gdy odesłano ją do kuchni. Tam spokojnie ułożyła się obok Aleksandry Siemionowej i spała do rana. To, co obciąża Awdiejewą, odnosi się do nocnych wydarzeń. W kolejnych poczynaniach przestępców, czyli sprzedaży rzeczy, zakupie walizki, wkładaniu do niej trupa i pozbywaniu się jej oraz podziale pieniędzy bezpośrednio nie uczestniczyła. Wszystko odbywało się bez jej udziału, a te pięć rubli, które miały być jej dołą, zabrał Maksim Iwanow. Po dokonaniu zbrodni wszystko zaczęło się rozpadać: cały ten dom, cała ta niby-rodzina, cała ta szajka, żyjąca w przyjaźni i trzymająca się razem dzięki autorytetowi Maksima Iwanowa. Najpierw odszedł Iwan Fiodorow, który miał się udać na przejażdżkę, wziął pieniądze i już nie wrócił, potem zaczęła się kłótnia Maksima Iwanowa z Aleksandrem Iwanowem, doszło do sporu między Maksimem Iwanowem a Turbiną i między Awdiejewą a Aleksandrem Iwanowem. Wszyscy się ze

sobą pokłócili, więc Aleksandra Awdiejewa chciała uciec do jakiegoś innego domu publicznego. Aleksandr Iwanow poszedł do wydziału śledczego i złożył doniesienie, na podstawie którego aresztowano całą grupę. Awdiejewa od razu szczerze opowiedziała, co się stało, tak jak szczegółowo zeznała to również teraz. Muszę powiedzieć kilka słów o jeszcze jednej okoliczności, do której w śledztwie uczyniono tylko aluzję, a mianowicie o zamiarze zabicia Kławdii Strieszniowej i zagarnięcia jej dobytku. Zamysł ten przedstawiano w następujący sposób: mieszkankom domu Maksima Iwanowa rzekomo podobały się rzeczy Kławdii. Maksim Iwanow zamierzał zabić Kławdiję niby po to, żeby jej rzeczy oddać Awdiejewej. To, że nie chciał, by w podziale łupów uczestniczyła męska część grupy, stało się powodem kłótni z Aleksandrem Iwanowem. Sądzę, że we wszystkich tych wydarzeniach jedyną aktywnie działającą osobą był właśnie Maksim Iwanow. Raz zasmakowawszy w zabójstwie, natychmiast ułożył plan następnego. Nie ma podstaw, by sądzić, że w powstaniu tego planu brała udział Awdiejewa. Może rzeczywiście Maksim chciał rzeczy Kławdii podarować Turbinie lub Awdiejewej, lecz Awdiejewa nie musiała przecież podzegać go do nowego zabójstwa. Jeśli nawet – założmy – podzegała go do zamordowania Kławdii, to nie jest to sprzeczne z naszkicowanym przeze mnie opisem jej charakteru. Ta kobieta jest na tak niskim poziomie rozwoju umysłowego, a zbrodnia, którą widziała, musiała go jeszcze obniżyć i doszczętnie zniszczyć jej morale, że nie zdawała sobie sprawy z nikczemnego i przestępczego charakteru zabójstwa Kławdii, podobnie jak nie uświadamiała sobie przestępczego charakteru zabójstwa von Zona. Ona nie pojmowała, że świadek zabójstwa ma obowiązek interweniować i zasłonić ofiarę własną pierśią. Nie wiedziała też i nie rozumiała, że należało uciekać, ujawnić przestępstwo, żeby uniknąć odpowiedzialności. Świadomość to wynik doświadczenia, wiedzy, a tego doświadczenia i tej wiedzy Aleksandra Awdiejewa nie miała.

Panowie przysięgli, dotychczas właściwie tylko opowiadałem i opisywałem wydarzenia, ale wydaje mi się, że ten opis może posłużyć obronie Awdiejewej. Proszę, by panowie popatrzyli na Awdiejewą jeszcze raz. Wnikliwa analiza sprawiła, że jej wizerunek skarlłowaciał. Zamiast budzącego strach potwora, jakiegoś demona, kobiety owładniętej w swoich uczynkach porywem czegoś przerażającego mamy przed sobą istotę przypominającą człowieka upośledzonego, z którym trzeba postępować jak ze zwierzęciem. Nie można powiedzieć, że ta kobieta nie jest zdolna do

zmiany swojego postępowania, do poprawy. Słyszeli panowie jej dość rzeczowe zeznania... Jeśli więc otrzyma grożącą jej karę, to sądzę, że kara ta będzie miała na nią dobroczynny wpływ, że na pewno odniesie skutek. Sytuacja, w której po werdykcie panów przysięgłych znajdzie się Awdiejewa, nawet jeśli będzie straszna, i tak będzie lepsza od sytuacji panującej w domu Maksima Iwanowa. Awdiejewa jest istotą zupełnie bierną. Gdyby nie znalazła się w domu Maksima Iwanowa, gdyby trafiła do innego miejsca, byłaby zwyczajną kobietą lekkich obyczajów. Pozostałe osoby siedzące na ławie oskarżonych, z wyjątkiem Maksima Iwanowa, to także zwyczajni ludzie, którzy, prawdę mówiąc, powinni wzbudzać litość. Bardzo proszę panów przysięgłych, by w trakcie ustalania wymiaru kary uwzględnili rzeczywistą winę każdego z nich. Myślę zatem, że wezmą panowie pod uwagę nie tylko niski stopień rozwoju umysłowego Aleksandry Awdiejewej, ale także dwie inne okoliczności. Awdiejewa zasługuje na wyrozumiałość. Jej czyn nie był samodzielny, została wplątana w to przestępstwo przez osobę pełnoletnią. W jej oczach był to ktoś silny i mający duży autorytet, ponieważ był jej panem, który traktował ją jak towar. Skończyłem.

---

Ława przysięgłych uznała, że Aleksandra Awdiejewa zasługuje na wyrozumiałość, i skazała ją na pozbawienie wszelkich praw stanu oraz zesłanie na osiedlenie na Syberii.



## 4

# Sprawa Diemientjewa

Proces toczył się [w 1873? roku] przed Petersburskim Wojskowym Sądem Okręgowym.

---

Panowie sędziowie! Mimo że losy (a być może życie) trzech osób zawisły teraz na końcówce pióra, którym sąd podpisze werdykt, obrona nie będzie apelować do uczuć panów sędziów i grać panom na nerwach. Obrona uważa, że nie ma prawa uciekać się do takiego wybiegu, ponieważ niniejsza sprawa przypomina kij, który ma dwa końce. Teraz rozpatrujemy tylko jeden koniec, drugiego jeszcze nie widać. To, co zrobił żołnierz, i to, co zrobił oficer, tak się scalało, że rozdzielenie tego jest możliwe tylko teoretycznie, praktycznie zaś nie wchodzi w rachubę. Złagodzenie sytuacji żołnierza będzie oznaczać pogorszenie sytuacji oficera. Jeśli kij uderzy jednego, drugi uniknie uderzenia. Oskarżony znalazł się w bardzo trudnym położeniu z powodu specyfiki sądownictwa wojskowego. Z paragrafu zawartego w artykule 769 wynika, że ze względu na racje wyższego rzędu porucznik Dagajew nie może być wezwany do sądu. Jego nieobecność bardzo utrudnia dotarcie do istoty rzeczy, ustalenie, kto mówi prawdę. Gdyby Dagajew był w sądzie, gdyby własnymi słowami przedstawił szczegóły zajścia, to jako młody, wykształcony człowiek, niewykluczone, że zmieniłby częściowo zeznania złożone podczas śledztwa wstępnego i być może sytuacja oskarżonego by się poprawiła. A nawet gdyby Dagajew nie zmienił zeznań, to w jego słowach, w zachowaniu podczas rozprawy można byłoby dostrzec tę prawdę, do której jesteśmy zmuszeni dochodzić z wielkim trudem, na podstawie przemyśleń, zestawień, porównań i wniosków. Wymaga to zimnej krwi, do tej sprawy trzeba przystępować tak jak do analizy chemicznej, ze skalpelem i wagą w rękę, i tylko w ten sposób, nakazując sercu milczenie, panując nad uczuciami, ustalić fakty. Po ich ustaleniu będzie można ujawnić nastawienie do winnego, okazać

współczucie jednemu i drugiemu, ponieważ obie strony go potrzebują, jako że oficer jeśli nie oczernił żołnierza, to sprowokował go swoim postępowaniem i jest winny tego, że żołnierzowi grozi poważna kara. Wtedy dopiero będzie można powodować się racjami wojskowych, uznaniem konieczności przestrzegania surowej dyscypliny. Przed rozpoznaniem faktów nie można kierować się tymi względami, do czasu ustalenia faktów dla sądu nie ma oficera i szeregowego, są tylko Dagajew i Diemientjew.

Zanim dojdzie do ustalenia faktów, obrona musi stwierdzić, że nie może zaakceptować porządku przyjętego przez oskarżenie, które zaczęło rozpatrywanie sprawy od końca. Zajście od samego początku miało bardzo logiczny przebieg, zdarzenia przez cały czas rozwijały się konsekwentnie.

Trzeba zacząć od Daniłowej i jej psa.

Na ulicy Małaja Dworianskaja jest duży dom. Pierwsze piętro zajmują Daniłowa i inni mieszkańcy, a mansardę Diemientjew, jego żona i córka. Daniłowa ma dużego, złego psa. Z wyroku sędziego pokoju wynika, że pies rzucał się na dzieci i je straszył. Piątego [siedemnastego] kwietnia tego roku okropnie przeraził ukochaną córeczkę Diemientjewa. Ojciec poświęcił dla niej swoją wolność, zamieniając ją na wojskową dyscyplinę. Dziewczynka na polecenie rodziców schodziła ze schodów. Pies zaatakował ją i zaczął kąsać w pięty. Mała się przestraszyła, zagryzła do krwi wargi i zaczęła uciekać. Usłyszawszy krzyk córki, ojciec wybiegł jak stał, w koszuli, spodniach i w butach, bez kurtki wojskowej. To szeregowy. Często wychodził tak na dwór, do sklepiku. Nie było czasu na zastanawianie się, bo pies mógł być wściekły. Psa wniesiono do mieszkania. Diemientjew wszedł do przedpokoju i oznajmił: „Jak pani nie wstyd trzymać takiego psa”. Nie ma w tych słowach nic obraźliwego. Daniłowa o to go nie oskarża. Nieprzyzwoitość polegała na tym, że wszedł do jej mieszkania w samej koszuli, nie miał kurtki. W ręku trzymał kij. Daniłowa twierdzi, że uderzył psa, on zaś mówi, że pies warczał i rzucał się na niego. Jeśli chodzi o nieprzyzwoitość, to jest ona rozumiana bardzo różnie. Osobę z własnej sfery traktujemy inaczej niż osobę z niższej sfery. Jeśli mężczyzna z wyższej sfery wejdzie do pokoju gościnnego tylko w koszuli, to ludzie z jego kręgu mogą się na niego obrazić. Ale Diemientjew mimo że jest absolwentem wyższej uczelni, jest wszakże tylko szeregowym, więc znał swoje miejsce w domu wdowy po radcy dworu i nie poszedł dalej niż do przedpokoju. Daniłowa poczuła się obrażona, że szeregowy śmiał wejść do

przedpokoju tylko w koszuli, a jej niezadowolenie wzrosło jeszcze bardziej, gdy została wezwana do sędziego pokoju. Z damami w podeszłym wieku, wychowanymi wedle dawnej obyczajowości, niezwykle trudno rozmawia się o okolicznościach, które dotyczą ich osobiście. Taka dama może być bardzo szlachetna i serdeczna, ale nie sposób jej wytłumaczyć, co jest słuszne, a co nie, ciężko zmusić taką damę, by obiektywnie spojrzała na własną sprawę, i ciężko jej uzmysłować, że to, co dla niej nie jest bolesne, dla innej osoby może być przykre. Członkowie rodziny Daniłowej zapewne myśleli, że skoro pies nie warczy i nie rzuca się na nich, to nie jest możliwe, by rzucał się na innych czy ich straszył. Pies jest niewinny, winni są natomiast ludzie, którzy występują z takimi zarzutami, to są pieniacze. Ona, Daniłowa, na nikogo nie składała skargi do sędziego pokoju, dlaczego więc została do niego wezwana? To ciężka obelga. Była pewnie przekonana, że to nie mieszkańcy domu są ofiarami, lecz właśnie ona, właścicielka psa, jest ofiarą ludzkiej złości i cierpi z powodu szeregowego, zwykłego żołnierza. Wszystkie te przemyślenia zostały oczywiście przekazane Dagajewowi, gdy 7 [19] kwietnia zjawił się wraz z teściową, żoną i służącą w mieszkaniu Daniłowej. Żona powiedziała mu, że Daniłową nęka grubianin, mieszkaniec mansardy. Prawdopodobnie pojawił się też argument typu: „Przecież to jest żołnierz, a pan jest oficerem, niech pan pokaże, że jest oficerem, użyj swojej władzy, wezwie i ukarze żołnierza, któremu należy się nauczka”. Trzeba mieć sporo odwagi i siły charakteru, żeby oprzeć się takim argumentom, zwłaszcza bliskich, kochanych osób. Rodzi się wtedy przemożna chęć odegrania roli bohatera. Dlatego Dagajew, niewiele myśląc, uwierzywszy całkowicie w to, co mu powiedziano, postanowił zawezwać żołnierza. To był z jego strony duży błąd, od którego zaczęła się cała sprawa. Dagajew nie miał prawa wzywać Diemientjewa. Między nimi powstał raczej spór cywilny. Powinien go rozpatrywać sędzia pokoju. Każdy oficer ma prawo żądać, by szeregowy okazywał szacunek nie tylko jemu, ale również jego rodzinie, pod warunkiem że żołnierz wie, że to jest rodzina oficera, i swoim zachowaniem wobec tej rodziny obraża go. Diemientjew do 5 [17] kwietnia nic nie wiedział o istnieniu Daniłowej, o tym, że w jej rodzinie są oficerowie, dowiedział się tego dopiero 7 [19] kwietnia, gdy wezwano go do Dagajewa. Wykorzystywanie wyższości stopnia wojskowego wobec człowieka, który ponad wszystko jest związany dyscypliną wojskową, i nakazywanie mu, by stawiał się w mieszkaniu Daniłowej, było absolutnie niesłuszne. Diemientjew nie poszedł tam

i z tego powodu na mocy artykułu 113 został oskarżony o niewykonanie polecenia zwierzchnika. Zastosowanie tego artykułu w stosunku do człowieka będącego w jego sytuacji jest zdaniem obrony problematyczne. Czy rzeczywiście było to polecenie zwierzchnika? Otóż nie, ponieważ oskarżony nie służy w jednostce dowodzonej przez Dagajewa. Zgodnie z artykułem 110 zniewaga oficera, której dopuszcza się szeregowy, jest równoznaczna ze zniewagą zwierzchnika. Ale to jest sprawa innego typu, oparta na innych przesłankach.

Mamy do czynienia z wieloma przestępstwami przeciw prawu, jak niesubordynacja czy zaniedbanie obowiązków. Jeśli szeregowy dopuści się zniewagi oficera, to niezależnie od tego, kim jest szeregowy i kim jest oficer, odpowiada tak jak za zniewagę zwierzchnika. Ale artykuł 113 mówi tylko o niesubordynacji wobec zwierzchnika, o niewykonaniu przez podwładnego wydanego mu polecenia. Rozszerzenie go oznaczałoby znaczną zależność żołnierzy od oficerów, co raczej nie jest zgodne z zasadami i wymogami dyscypliny. A słowo „polecenie” nie jest dokładnie zdefiniowane. Z analizy prawodawstwa innych krajów wynika, że na przykład w prawie pruskim stosowany jest termin „polecenie służbowe”. My też nie powinniśmy rozumieć tego słowa w nieograniczonym zakresie i odnosić go do każdego polecenia. Istnieje przepis mówiący o tym, że jeśli szeregowy na polecenie zwierzchnika popełni czyn przestępny, ponosi za niego odpowiedzialność. Zatem z terminu „polecenie” zostaje wyłączone polecenie dotyczące czynu przestępnego. To samo można odnieść do poleceń o charakterze nieetycznym, jak na przykład polecenie przyprowadzenia przez żołnierza swojej żony czy córki. Zgodność bądź niezgodność z prawem polecenia ma dużo większe znaczenie, niż zakłada to przedstawiciel oskarżenia. W myśl pruskiego kodeksu karnego, uznawanego za najlepszy, szeregowy, który otrzyma polecenie niezgodne z prawem, może złożyć na nie skargę zwierzchnikowi, ale polecenie musi wykonać. W każdym razie ta niezgodność z prawem skutkuje zmniejszeniem i złagodzeniem winy. Dlatego czynu Diemientjewa (niestawienia się w mieszkaniu Daniłowej) w żadnym wypadku nie można uznać za niesubordynację. Jeśli sąd, wbrew dowodom obrony, uzna oskarżonego za winnego niesubordynacji, to powinien w znacznym stopniu zmniejszyć wymiar jego odpowiedzialności, ponieważ polecenie było niezgodne z prawem i gdyby zostało wykonane, to Bóg wie czym by się to skończyło i w jakiej sytuacji znalazłby się oskarżony. Diemientjew miał się

stawić w mieszkaniu Daniłowej, a tam wszyscy byli wrogo do niego nastawieni, nie było ani jednej osoby, która mogłaby zostać jego świadkiem. Jeśli na ulicy omal go nie zabito, to do czego mogło dojść w mieszkaniu? Na ulicy znaleźli się przynajmniej świadkowie, zaświadczejacy, że to czy tamto się nie wydarzyło. Diemientjew był w konflikcie z oficerem i przewidywał, że on, człowiek prawie równy oficerowi, który na Wielkanoc ma szansę otrzymać stopień oficerski, może zostać spoliczkowany. Obawiał się tego i dlatego tam nie poszedł.

Od drugiej po południu do szóstej wieczorem, kiedy nastąpiła katastrofa, mieszkanie Diemientjewa było oblężone. Przez trzy godziny Dagajew, który postanowił wezwać i ukarać Diemientjewa, chciał na wszelkie możliwe sposoby postawić na swoim, przy czym każda nieudana próba zwiększała jego rozdrażnienie i potęgowała gniew.

Przypomnijmy stwierdzenie Dagajewa, że wysłał kucharkę, później dwie pokojówki i wreszcie stróża, który przyniósł mu odpowiedź: „Jeśli pan oficer zechce wyjść, to jestem gotów do wyjaśnień”. Ta odpowiedź sprawiła, że Dagajew, wedle jego własnych słów, zdecydował się na złożenie skargi na żołnierza do jego zwierzchnika i dlatego wyszedł z mieszkania Daniłowej. Żeby złożyć skargę do zwierzchnika, trzeba wiedzieć, kto jest tym zwierzchnikiem. Dagajew tego nie wiedział, wiedział tylko, że Diemientjew jest absolwentem wyższej uczelni. By się dowiedzieć, do kogo należy złożyć skargę, wysłał stróża po książkę meldunkową, ale zanim stróż wrócił, wyszedł z mieszkania Daniłowej. To znaczy, że Dagajew wyszedł wcale nie po to, by złożyć skargę na Diemientjewa. Można to udowodnić też w inny sposób. Zgodnie ze słowami Dagajewa minęło pięć, sześć minut od momentu, gdy wyszedł. Ze swojego mieszkania wyszedł również Diemientjew. Wedle stwierdzeń Daniłowej od wyjścia do powrotu Dagajewa upłynął kwadrans. Biorąc pod uwagę, że to, co się wydarzyło, trwało niezwykle krótko, odbyło się prawie błyskawicznie, trzeba założyć, że minęło nie mniej niż dwanaście minut od chwili, gdy Dagajew wyszedł od Daniłowej, do momentu, kiedy nastąpiło zajście. Zwierzchnik Diemientjewa mieszka w twierdzy. W tak krótkim czasie można dotrzeć najwyżej w okolice mostu Troickiego. Zatem Dagajew nie poszedł do twierdzy, czekał na Diemientjewa. Wiedział, że często wychodzi z domu. Można sobie wyobrazić, jak podczas tego oczekiwania narastał jego gniew. Wreszcie Diemientjew wyszedł i doszło do zajścia. Jest tu wiele szczegółów, które nie zostały wyjaśnione

w śledztwie, na przykład sprawa płaszcza, zadrapań na podbródku, utraty wąsa. Diemientjew nie pamięta, kiedy go stracił, bo wydarzenia toczyły się bardzo szybko. Niemniej jednak można je podzielić na dwa etapy: przed dobytciem szpady przez oficera i po dobytciu. Zanim doszło do dobytcia szpady, odbyła się poważna rozmowa na ulicy przy klatce schodowej. Gdy Diemientjew zobaczył oficera, zaszalutował, a ponieważ miał narzucony na ramiona płaszcz, to Dagajew musiał zobaczyć naszywki na rękawie, które odróżniały Diemientjewa od zwykłego szeregowego, musiał zobaczyć tak szanowany przez wojskowych Krzyż św. Jerzego. Dagajew mówi, że odznaczeń nie było. Skąd więc się wzięły na ziemi, gdzie zobaczyli je podczas starcia dwaj świadkowie, Łopatin i Krugłow? Przecież nie mogły zostać podrzucone przed zajściem, gdy nie było jeszcze wiadomo, jak się ono zakończy, nie mogły też być podrzucone później, ponieważ w czasie zajścia do klatki weszli ludzie i widzieli te odznaczenia.

Zaczynamy teraz rozważać. Jeśli chodzi o tę rozmowę, to zdaniem oskarżenia można albo przyjąć zeznania oficera, albo zeznania oskarżonego. Obrona uważa jednak, że w tej sprawie ważne są zeznania świadka, chłopca o nazwisku Łopatin. Również prokurator nie zgłasza do nich zastrzeżeń. Chłopiec opowiedział o rzeczach bardzo istotnych: o płaszczu, włosach itp. O tych sprawach słyszeliśmy po raz pierwszy. Z zeznań chłopca wynika, że oficer nie doznał zniewagi od żołnierza. Ale nawet jeśli nie damy wiary temu, co mówi chłopiec, to na podstawie zwykłego porównania dwóch opowieści – oficera i żołnierza – każda bezstronna osoba stwierdzi, że prawda nie leży po stronie Dagajewa.

Jeśli niezależnie od innych okoliczności, przyjmiemy za wiarygodne zeznanie oficera, to obrona Diemientjewa nie jest możliwa. Dziwi jednak, że zeznanie oficera jest sprzeczne z zasługującymi na uwagę opiniami trzech generałów. Czasem nie wiemy, jak ktoś się zachował w określonej sytuacji, ale z góry możemy powiedzieć: „Ja go znam, on jest uczciwy i niczego nie mógł ukraść”. Tak właśnie można powiedzieć o Diemientjewie. Jeśli zdaniem generała Osipowa Diemientjew to cichy i spokojny człowiek, zdaniem generała Płatowa to człowiek, który nienagannie wykonuje obowiązki służbowe, a wedle generała Fridego to żołnierz do szpiku kości przesiąknięty dyscypliną wojskową, to jest zupełnie nieprawdopodobne, by taki człowiek mógł postępować tak, jak mu się wmawia. To przeczy jego przeszłości.

Diemientjew, schodząc po schodach, salutował, co oficer przyznaje, mówi tylko, że Diemientjew raz podnosił rękę, a raz ją opuszczał. Jeśli żołnierz chciałby zachować się grubiańsko, to przecież nie musiał salutować. Prokurator poczytuje za winę oskarżonego to, że po pierwszym starciu uciekł do domu, zamiast zostać na ulicy, gdzie łatwiej byłoby mu się ukryć. Ale Diemientjew przecież nie wiedział, że zostanie pokiereszowany, spodziewał się impertynencji i tego, że oficer może go spoliczkować. Dlatego ta jego ucieczka ma określone znaczenie. Można ją wytłumaczyć poczuciem wstydu, niechęcią, by ludzie zobaczyli, jak traktuje go oficer. Opierając się na tych przesłankach, obrona uważa za w pełni wiarygodną opowieść żołnierza i to, że do obrazy słownej oficera nie doszło.

Dobycie szpady. Scena na klatce schodowej kryje dwie zagadki. Pierwsza dotyczy płaszcza, czy był zapięty, czy też nie i kiedy został zrzucony, druga zadrapań na podbródku i utraty wąsa. Rany po cięciu szpadą mają kształt linii, natomiast te zadrapania są koliste, więc nie pochodzą od szpady, tak samo jak szpada nie mógł zostać ucięty wąż, ponieważ jest zbyt tępa. Wyrwać wąż można tylko ręką. Wyjaśnienie sprawy wąsa wymaga zanalizowania kolejności zadawanych ran i na tej podstawie odtworzenia wydarzeń. Pierwsza rana, którą Diemientjew otrzymał jeszcze na schodach, to była rana w prawe oko, biegnąca przez skroń ku włosom. Jeśli założymy, że rana została zadana w tym czasie, gdy oficer i żołnierz stali twarzą w twarz, to znaczy, że oficer trzymał prawą rękę ukośnie i zakończenie szpady zahaczyło powiekę prawego oka, rozerwało skórę i przeszło przez skroń. Druga rana, na czubku głowy, sięgająca do lewego ucha, to znów rana, która musiała być zadana cięciem od połowy głowy, a potem szpada ześlizgnęła się w dół. Dwa zadrapania są na wewnętrznej stronie lewego przedramienia przy zakończeniu kości łokciowej. Na podstawie tych zadrapań można stwierdzić, że Diemientjew bronił się łokciem, a nie rękami, jak zeznawali świadkowie. Taka jest kolejność zadawanych ran według świadków i nawet według słów Dagajewa.

Powstaje pytanie: kiedy zostały zerwane naramienniki, co jest sprawą najważniejszą w tym zajściu. Dagajew twierdzi, że dobył szpady już na ulicy i tam dźgnął Diemientjewa w ramię. Ciosu w ramię żołnierz w narzuconym na ramiona płaszczu mógł nie poczuć, ale prawdopodobnie wskutek tego uderzenia szpada się zgięła. Później, gdy obaj byli na klatce: „Chciałem – jak stwierdza Dagajew – zadać cios żołnierzowi i może nawet

go zadałem, gdy wczepił się w moje naramienniki i je zerwał”. Z zeznania Dagajewa wynika, że nastąpiło to wtedy, kiedy smagnął Diemientjewa szpadą po oku, co spowodowało ranę biegnącą przez skroń ku włosom. Jeśli weźmie się pod uwagę zeznanie chłopca, który widział, jak oficer zepchnął żołnierza ze schodów, to nietrudno sobie wyobrazić, że oficer najpierw zrzucił z siebie płaszcz, potem lewą ręką schwycił żołnierza za wąsy, a prawą go uderzył, po czym, wedle jego słów, żołnierz wczepił się w jego naramienniki. Czy jest możliwe, że Diemientjew mógł coś takiego zrobić? Silne uderzenie w oko rozrywające powiekę, cios, który nie mógł nie uszkodzić gałki ocznej, musiał na trzydzieści, czterdzieści sekund pozbawić go świadomości. Mógł więc działać tylko odruchowo. Zazwyczaj między doznaniem a czynem istnieje obszar przemyśleń, skojarzeń, przyzwyczajzeń, tego, co składa się na charakter danej osoby. Ale tu nic takiego nie mogło być, nie było stanu przejściowego między uderzeniem a odruchem, więc gdyby Diemientjew w momencie, w którym otrzymał cios, zranił oficera w głowę, uderzył go w twarz, to musiano by uznać, że uczynił to w stanie niepoczytalności. Prokurator stwierdził, że sąd nie może w tym wypadku uznać tego stanu za niepoczytalność, ponieważ nie ma ekspertyzy lekarskiej. Ekspertyza jest niezbędna do zdiagnozowania stanu choroby, lecz oprócz choroby jest jeszcze cała sfera tego, co nazywa się afektami, silnymi wewnętrznymi wstrząsami spowodowanymi nagłymi zdarzeniami. Każdy człowiek wie, jak silne jest uczucie przestachu nie tylko u ludzi, ale także u zwierząt. Wiadomo, jak zachowuje się niedźwiedź, gdy się go przestraszy. Takie zjawiska nie są poddawane ekspertyzom. Wynika z tego, że są podstawy, by założyć, że Diemientjew po uderzeniu był pozbawiony świadomości, i jeśli w tym stanie cokolwiek uczynił, nie mogłoby to być uznane za jego winę.

Założymy, że nie był w stanie niepoczytalności. Skoro tak – to obrona nie rozumie, dlaczego prokurator neguje, że był to stan obrony koniecznej. Regulamin wojskowy jest surowy, ogranicza zakres obrony koniecznej, dopuszcza jednak obronę konieczną, gdy postępowanie zwierzchnika wobec podwładnego stanowi dla niego wyraźne zagrożenie. A czyż tu nie było wyraźnego zagrożenia? Przecież napaść na bezbronego człowieka, który dostaje w głowę i który nie ma dokąd uciec, może grozić mu śmiercią. Diemientjew chciał uciec do swojego mieszkania, ale został zepchnięty ze schodów, mało tego – wyrwano mu wąż. Niebezpieczeństwo było nieuchronne, nieodwracalne.



Obrona nie skorzysta z możliwości uwzględnienia działania oskarżonego w obronie koniecznej, ponieważ jest całkowicie przekonana, że Diemientjew nie zerwał oficerowi naramienników. Bez względu na sytuację, w jakiej człowiek się znajduje, nie może w tym samym czasie myśleć o dwóch sprawach. Jest oczywiste, że gdy Diemientjew dostał w oko, to przede wszystkim musiał się w nim odezwać instynkt samozachowawczy. Nie był w stanie o niczym myśleć. Tymczasem zakłada się, że w momencie gdy trafiono go w głowę i groziły mu kolejne ciosy, zastanawiał się nad następującymi sylogizmami: „Oficer obraził mnie, więc muszę się zemścić. Jak to zrobić w sposób najbardziej dotkliwy? Dla oficera naramienniki są tym, czym dla pułku jest sztandar, są symbolem honoru. Zatem najboleśniejszą obrazą jest zerwanie naramienników, zerwę więc naramienniki, a potem pomyślę, jak się ratować, jeśli do tego czasu mój przeciwnik nie zabije mnie, nie poszatkuje jak główkę kapusty”. Tak musiałby rozważać Diemientjew, gdyby postanowił zerwać naramienniki i je zerwał. Ale to jest psychologicznie niemożliwe. Gdyby do instynktu samozachowawczego przymieszała się chęć zemsty, Diemientjew spróbowałby uderzyć w rękę zadającą ciosy, wyrwać szpadę, uderzyć oficera w twarz, jednym słowem – zrobić coś, żeby się obronić. Tymczasem nic takiego nie było. Mało tego, są jeszcze inne okoliczności, sugerujące, że oskarżenie Diemientjewa o zerwanie naramienników Dagajewa nie jest słuszne. Jedną z nich jest naramiennik, który Dagajew zaniósł zwierzchnikowi. Gdyby Diemientjew, mając świadomość tego, co mu się zarzuca, zerwał z zemsty oficerowi naramienniki, musiałoby to pozostawić poważny ślad w jego świadomości. Kiedy podsuwano mu ten naramiennik, w pierwszym odruchu odsunąłby go od siebie, żeby nie stwarzać wrażenia, że ma z nim coś wspólnego. On zaś go wziął i naiwnie oświadczył, że na podstawie tego naramiennika można rozpoznać oficera, a o tym, że to jego właśnie oskarża się o zerwanie naramienników, dowiedział się dopiero w cyrkule.

Powstaje wszakże pytanie: kto zerwał naramienniki? Ktoś je przecież musiał zerwać. Jeśli nie Diemientjew, to trzeba założyć, że Dagajew. Obrona mogłaby nie poruszać tego problemu, obronie wystarczy, jeśli sąd będzie przekonany, że naramienników nie zerwał Diemientjew, ale żeby doprowadzić sprawę do końca, trzeba sobie uzmysłowić, że nie da się rozwiązać tego dylematu inaczej, niż zakładając, że naramienniki zerwał sobie sam oficer. Nie ma konieczności, by z tego powodu prokurator snuł

mgliste domysły, iż oficer zdał sobie sprawę, że się zagalopował, i rozumiejąc, że grozi mu poważna odpowiedzialność, chciał przygotować sobie środek obrony. Obrona nie może się też zgodzić ze sprzeciwem zgłoszonym przez prokuratora, że Dagajew, będąc w stanie silnego wzburzenia, nie mógł dokonywać chłodnych kalkulacji. Trzeba odróżnić gniew jako afekt od gniewu jako wzburzenia. Gniew, który ogarnął Dagajewa w ciągu trzech godzin, nie był afektem, lecz wzburzeniem, stanem, w którym człowiek w pełni kontroluje swoje poczynania i jest świadomy ich skutków. Zresztą nie ma potrzeby tego rozważać, możliwe jest i jedno, i drugie. Być może Dagajew nie panował już nad sobą, gdy wybiegł na klatkę ze szpadą. Podobno pochodzi z tyfliskiej szlachty, a u ludzi z Południa emocje rosną szybciej i objawiają się gwałtowniej niż u ludzi z Północy, bardziej opanowanych, bardziej flegmatycznych. Być może jest człowiekiem, który gdy wpada we wściekłość, traci poczucie świadomości, jest gotów uderzyć samego siebie i może sam siebie zranić. Mógł zerwać sobie jeden naramiennik, potem zrzucić płaszcz, zerwać drugi naramiennik i niczego nie pamiętać. Przeczy temu natychmiastowe oświadczenie, że zerwano mu naramienniki. Pierwszą osobą, z którą Dagajew zetknął się po tym zdarzeniu, była Daniłowa, ale nic jej o tym nie mówił. Opowiedział to po raz pierwszy w cyrkule po upływie kwadransa lub dwudziestu minut od spotkania z Daniłową. Było więc wystarczająco dużo czasu, by to przemyśleć i rozważyć. Ponieważ nie wiedział, w jaki sposób stracił naramienniki, mógł dojść do wniosku, że pewnie zerwał je żołnierz, i zobaczył w tym środek obrony. Zeznanie Dagajewa też potwierdza, że mógł sam je zerwać i tego nie zauważyć. W swoim zeznaniu Dagajew zaprzecza temu, co się działo na oczach wielu ludzi. Mówi więc, że nie uderzył Diemientjewa, mimo że wiele osób to widziało, twierdzi, że nie wyjmował szpady, podczas gdy ludzie widzieli, że ją wyjmował. Można zatem stwierdzić, że był w takim samym stanie wzburzenia jak Diemientjew, chociaż znalazł się w takim stanie z własnej woli, i faktycznie mógł niczego nie pamiętać.

Podsumowując, nie mogę sformułować innego wniosku niż ten, że Diemientjew jest niewinny, i proszę o jego całkowite uniewinnienie, również dlatego, że jest to zdarzenie specyficzne, jest to kij, który rzeczywiście może kogoś uderzyć. Ten kij uderzył Diemientjewa niesprawiedliwie. Powinien ugodzić kogoś innego. Przypuszczam, że do dyscypliny wojskowej można w pełni odnosić to, co o sprawiedliwości

mówili myśliciele średniowieczni – *iustitia regnorum fundamentum*, sprawiedliwość jest podstawą władzy. Sądzę, że sprawiedliwość to podstawa każdej władzy, czy to państwowej, czy to wojskowej. Dyscyplina oznacza zasady postępowania zwierzchników i ich podwładnych. Dyscyplina zostaje naruszona zarówno wtedy, gdy buntują się i wzniecają zamęt podwładni, jak i wtedy, gdy zwierzchnik postępuje tak, że osobie mającej określone zasługi trudniej jest znieść postępowanie oficera własnej armii niż atak Turków, gdy zgodnie z prawem nie podlegającego karze cielesnej kawalera Krzyża św. Jerzego się policzkuje, wyrywa mu się wąs i masakruje twarz. Proszę zatem o sprawiedliwość.

---

Diementjewa uznano za niewinnego z braku dowodów winy.

## 5

# **Sprawa Mieczysława Strawinskiego i redaktora dziennika „Sankt-Pietierburgskije wiadomości” A[ndrieja] Somowa oskarżonych o opublikowanie w „Sankt-Pietierburgskich wiadomościach” artykułu, w którym Strawinski znieważył lokalne władze guberni estlandzkiej**

Proces toczył się 2 [14] kwietnia 1869 roku przed Petersburską Izbą Sądową.

---

Szanowni członkowie Izby Sądowej! Mój klient stwierdził, że nie przyznaje się do winy nie dlatego, że uważa, że jeśli chodzi o tę sprawę, miał całkowitą słuszość, ale dlatego, że nie może się zgodzić na zastosowanie wobec niego tych artykułów ustawy, na które powołuje się pan prokurator. Nie uważa się za winnego tego, o co się go oskarża, choć przyznaje, że nie we wszystkim miał rację, niczego nie ukrywa i w jasny sposób wyjaśnia swoje postępowanie. Jego wina nie polega na tym, że jako bardzo młody człowiek zaczął pisać i został korespondentem gazety, ani też na tym, że jego artykuł jest napisany z pasją i zaangażowaniem – podoba się właśnie to, w czym widać pasję i zaangażowanie – lecz na tym, że poruszając palący problem społeczny, odniósł się do niego nie dość krytycznie, zebrał poglądy i opinie i poprzestał na ich przekazaniu, bez komentarza. Ponieważ opierał się na cudzych, nie sprawdzonych sądach, nie sięgnął do źródeł informacji, to w artykule są pewne nieścisłości, z powodu których znalazł się w sądzie. Oskarżenie dostarczyło całą stertę dokumentów, my zaś jesteśmy tutaj, że tak powiem, z pustymi rękami. Zatem winą Strawinskiego jest pewna niedokładność opisu. Żeby dowieść, że jest to tylko nieścisłość, nie ma tu zaś chęci szkodzenia, niech mi będzie wolno wyjaśnić, w jakich okolicznościach, a zwłaszcza z jakiego powodu został napisany ten artykuł. Przede wszystkim proszę pozwolić mi

powiedzieć o fakcie ogólnie znanym tym, którzy zapoznali się z historią zagadnienia, o tym, że gubernie bałtyckie nie są dla chłopów arkadią, warunki życia nie są tam najlepsze. Nie będę się zagłębiał w przyczyny tego, są one różne: klimat, ziemia, niewielki obszar, różnorodność ludności, być może uwarunkowania historyczne. Z tego powodu Łotysze i Estowie bardzo chcieliby wprowadzić na zamieszkiwanych terenach system znany jako reforma chłopska z 19 lutego [3 marca] 1861 roku. Kolejna sprawa, też powszechnie znana. W ogromnym rosyjskim państwie od 1863 roku mamy do czynienia z kwestią tak zwanych narodów. Chodzi o to, by w miarę możliwości zniwelować różnorodność występującą na obrzeżach Rosji, wprowadzić ujednoczenie wszystkich dziedzin życia (instytucje, języki, zwyczaje, wypowiedzi, a nawet ubiór). Walka ta, prawie niedostrzegalna w centralnej części państwa, sprowadzająca się do wypowiedzi, artykułów i ogólnych zarządzeń, tu, na miejscu, w zetknięciu ze sprawami materialnymi rysuje się znacznie ostrzej. Na tych różnorodnych obrzeżach jest jednolita masa ludności nierosyjskiej. Są wśród niej małe grupy społeczności rosyjskiej. Działają bardzo aktywnie, zyskując na znaczeniu dzięki współczuciu opinii społecznej i biciu w dzwony potężnych rosyjskich organów prasowych. Zatem duch narodowy się obudził i musi znaleźć jakąś pożywkę. Stały się nią głównie kwestie religii, sztuki, a także wielki społeczny antagonizm między ludźmi bogatymi a biednymi, historyczny antagonizm między ludnością tubylczą – chłopami – a ziemianami, bogatą szlachtą sprawującą władzę. Zrozumiałe jest więc, że każde zjawisko społeczne bez względu na to, czego dotyczy, zostaje od razu sprowadzone do tych dwóch czynników, rozpatrywanych z każdej strony. Opinie te nie zawsze są słuszne, przeważnie są jednostronne, ponieważ duch partyjny zawsze jest jednostronny i nieobiektywny. Zatem ktoś, kto chce zachować neutralność, musi postępować bardzo ostrożnie, wysłuchać każdej ze stron, przejrzeć i rozpatrzeć wszystkie przedstawiane dowody, wiele rzeczy zobaczyć, na co potrzebny jest czas, a jeśli chce podjąć krytykę, musi to czynić z pewną dozą dojrzałości i taktu. Strawinski trafił do środowiska, w którym już powstał problem narodowościowy i rozgorzały namiętności, do środowiska, które w 1868 roku bardzo ucierpiało z powodu głodu. Jako rdzenny Słowianin, nawiązał kontakt z grupą rosyjską. Wysłuchał opowieści, opinii i pogłosek o tym, jak głodowali chłopci i w jaki sposób udzielano im pomocy. Niektóre wypowiedzi były bardzo krytyczne, wynikało z nich, że

nie wszyscy głodujący otrzymali pieniądze. Strawinski zebrał wypowiedzi jednej, drugiej i trzeciej osoby i je opublikował w „Sankt-Pietierburgskich wiadomościach”. Nie wspominał w artykule o tym, kto za to ponosi winę, być może nawet nie wiedział, że w lokalnej prasie gubernialnej ukazują się raporty o podziale zapomóg. Jeśli chodzi o to, czy wszystkie pieniądze przydzielone głodującym dotarły zgodnie z przeznaczeniem, to uważam, że kwestii tej nie należy poruszać, ponieważ nie została jeszcze rozpatrzona ani sprawa 25 000 rubli, które przydzieliła komisja rządowa, ani sprawa 25 000 rubli pochodzących od prywatnych ofiarodawców. Wszczęto tylko dochodzenie w sprawie 60 000 rubli przekazywanych potrzebującym w formie nie oprocentowanej pożyczki. Strawinskiego podkusiło, by zająć się właśnie tymi 60 000 rubli. Niezręcznie i niedokładnie opisał sposób ich podziału. Stwierdził, że pieniądze rozdano ziemianom. Każdy, kto uważnie i obiektywnie przeczyta ten artykuł, z pewnością zrozumie, że Strawinski w żadnym razie nie zamierzał dowodzić, że pieniądze trafiły do ziemian, a oni je sobie przywłaszczyli. Strawinskiemu chodziło o to, że pieniądze otrzymywali ziemianie, którzy mieli je przekazać chłopom, czyli o to, że nie szły one właściwą drogą, że być może dotrą do chłopów, ale ziemianie podczas ich rozdzielania mogą się kierować własnym interesem i mogą starać się zwiększyć swój wpływ na chłopów, przydzielając pieniądze niekoniecznie najbardziej ich potrzebującym. Tak rozumiem stwierdzenie Strawinskiego, będące powodem wszczęcia dochodzenia. Jeśli przyjmiemy mój tok rozumowania, to od strony formalnej stwierdzenie jest bezzasadne, obala je mnóstwo dokumentów, które niezwykle dokładnie zanalizował w swoim wystąpieniu pan prokurator. Faktycznie, chylę czoła przed tymi dokumentami i zakładam, że rzeczywiście zgodnie z nimi 60 000 rubli rozdysponowano następująco: 52 000 rubli przeznaczono na potrzeby chłopskich wspólnot gminnych, a 8000 rubli na potrzeby miejskie. Listy osób potrzebujących zapomogi układano na wiecach, następnie sołtysi przedstawiali listy sędziom parafialnym, którzy z kolei przekazywali je gubernatorowi. Zakładam, że tak było. Wina Strawinskiego dotyczy strony formalnej tej sprawy. Co do strony materialnej – jeszcze raz powtarzam, że kwestia ta nie została rozpatrzona, więc uważam, że jeśli nawet często mówiono o tym, że pieniądze rozdzielano niewłaściwie, to ja absolutnie nie mogę tak twierdzić, choć oczywiście w tych pogłoskach mogła być jakaś część prawdy. Gdyby Strawinski głębiej zbadał sprawę, gdyby przeczytał wszystko, co pisano o podziale pieniędzy, mógłby nie bez racji zadać

następujące pytanie: skoro pieniądze rzeczywiście przydzielają sędziowie pokoju i sołtysi, to kim są ci ludzie, czyż nie tymi samymi ziemianami, baronami i księżętami? Czy te chłopskie wiece, o których wspomiano w dokumentach, nie są przypadkiem mirażem, czy chłopski samorząd rzeczywiście reprezentuje jakąś siłę? Nie twierdzę, że tak jest, ale gdyby Strawinski w taki sposób podszedł do sprawy i wyjaśnił problem, przyniósłby wiele pożytku adresatom artykułu. Nie ograniczyłby się do nie popartego dokumentami zwykłego stwierdzenia, które stało się powodem wszczęcia dochodzenia przeciw niemu. To po pierwsze, a po drugie, popełnił błąd, bo pozwolił osobom o odmiennej orientacji politycznej odnieść nad sobą łatwe zwycięstwo. To jest usprawiedliwienie Strawinskiego czy też wyjaśnienie postępowania, którego się nie wstydy i jako człowiek bardzo prawy uważa za swój obowiązek przyznać się do tego, na czym polega jego błąd, jego pomyłka.

Teraz przechodzę do drugiej części obrony. Jeśli Strawinski jest winny, jeśli popełnił błąd, to czy można podciągnąć jego winę pod te artykuły *Kodeksu kar głównych i poprawczych*, które chce zastosować wobec niego oskarżenie? Sądzę, że nie. Uważam, że przede wszystkim należy odrzucić artykuł 1039 *Kodeksu*. Dotyczy on zamieszczania w prasie informacji o osobie prywatnej bądź urzędowej lub o stowarzyszeniu, o okolicznościach, z powodu których można doznać uszczerbku na honorze, godności, stracić dobre imię. Wydaje mi się, że artykuł 1039 *Kodeksu* ma zastosowanie tylko wtedy, gdy w prasie wymieniono konkretną osobę i podano jakąś informację o niej. Jako że w artykule Strawinskiego nie jest powiedziane, kogo się oskarża, nie jest wymieniony urząd gubernialny, uważam, że w żadnym wypadku nie można tu mówić o zamieszczeniu nagannej okoliczności odnoszącej się do określonej osoby czy instytucji. Zatem pozostaje artykuł 1035 dotyczący opublikowania wypowiedzi podważających szacunek społeczny, zarządzenia organów rządowych i sądowych. Według mnie w artykule, który miałby się stać przedmiotem oskarżenia, wprost byłaby mowa, jakie zarządzenie i jakiej konkretnie instytucji zostało poddane krytyce, a tego w artykule Strawinskiego nie ma. Uważam zatem, że w artykule Strawinskiego nie ma tego najistotniejszego elementu, który pozwala na zastosowanie artykułu 1039, ale nawet jeśli ten artykuł miałby zastosowanie, zwracam się z prośbą, by podczas ustalania wymiaru kary uwzględniono następujące okoliczności: 1. Strawinski nie chciał nikogo świadomie oczernić, po prostu

odniósł się do tej sprawy dość beztrąsko i niewłaściwie, ale z młodzieńczym zapałem, co łatwo można wybaczyć. 2. Wspomnianą przez pana prokuratora niepełnoletność (dwadzieścia lat). 3. Artykuł Strawinskiego nie miał negatywnych skutków, ci, o których traktuje, prawdopodobnie go nie czytali, ponieważ oni nie czytają gazet, poza tym informacje zawarte w artykule Strawinskiego natychmiast zdementowano w ogłoszonym w tychże „Sankt-Pietierburskich wiadomościach” artykule Girarda de Soucanta i Uexküll. Szczegółowo wyjaśniono w nim, w jaki sposób i komu udzielono zapomogi. Zatem „Sankt-Pietierburskie wiadomości” opublikowały artykuł Strawinskiego, ale dzięki zamieszczeniu sprostowania zniwelowały wrażenie, które ten artykuł mógł wyrzucić. Ostatnią okolicznością przemawiającą za uniewinnieniem Strawinskiego jest to, że w procesach dotyczących prasy w większym czy mniejszym stopniu osądza się nie tyle postępowanie, ile określone przekonania. Odpowiedzialność, którą poniosą osoby oskarżone w tym procesie, wyznaczy ogólny charakter tego, w jaki sposób sąd będzie się ustosunkowywał do pojawiających się w prasie artykułów o palących problemach guberni bałtyckich. Surowa kara może spowodować, że ludzie się przestraszą i przestaną poruszać te problemy, zapanuje wtedy zupełne milczenie na ten temat, co zapewni spokój, ale nie wiem, czy to będzie właściwe i korzystne. Natomiast umiarkowana kara udowodni, że sąd przestrzega tego, by każda partia miała równe prawa, by polemiki toczono poważnie i na właściwym poziomie. Jeśli panowie sędziowie uznają, że artykuły prasowe są potrzebne, że mogą posłużyć jako siła napędowa czegoś, co jest korzystne dla obrzeży Rosji, jeśli mogą, zgodnie z zamierzeniami rządu i celami społecznymi, sprzyjać w jakiejś mierze poprawie warunków życia Liwów, Estów i Łotyszy, to uważam, że najlepszym rozwiązaniem w niniejszej sprawie będzie bardzo umiarkowana kara wymierzona oskarżonym, w tym Strawinskiemu.

---

Petersburska Izba Sądowa uznała oskarżonych za winnych i zasądziła Mieczysławowi Strawinskiemu grzywnę w wysokości dwudziestu pięciu rubli, a Andriejowi Somowowi w wysokości pięćdziesięciu rubli.



## Nota bibliograficzna

### **Sprawa Dawida i Nikołaja Czchotua oraz innych (Sprawa tyfliska) (1878)**

*Dieło Dawida i Nikołaja Czchotui i dr[ugich] (Tifliskoje dieło), w: Sudiebnyje rieczzi izwiestnych russkich juristow, wyb. Jewgienij N. Woróżejkin, Moskwa 1957, Gosjurizdat, s. 586–652, przekł. według: [http://az.lib.ru/s/spasowich\\_w\\_d/text\\_0030.shtml](http://az.lib.ru/s/spasowich_w_d/text_0030.shtml) (dostęp: wrzesień 2016).*

### **Sprawa o przestępstwo przeciwko państwu (tak zwana sprawa nieczajewska) (1871)**

*Dieło o gosudarstwiennom priestuplenii, tak nazywajemoje: «Nieczajewskoje», w: Władimir Spasowicz, Za mnogo let. 1859–1871. Statji, otrywki, istorija, kritika, polemika, sudiebnyje rieczzi i procz., Sankt-Pietierburg 1872, druk. F. S. Suszczinskogo, s. 418–442, 460.*

### **Sprawa o zabójstwo [Nikołaja] von Zona (1870)**

*Dieło ob ubijstwie von Zona, w: Władimir Spasowicz, Za mnogo let. 1859–1871. Statji, otrywki, istorija, kritika, polemika, sudiebnyje rieczzi i procz., Sankt-Pietierburg 1872, druk. F. S. Suszczinskogo, s. 378–386.*

### **Sprawa Diemientjewa (1873?)**

*Dieło Diemientjewa, w: Sudiebnyje rieczzi izwiestnych russkich juristow, wyb. Jewgienij N. Woróżejkin, Moskwa 1957, Gosjurizdat, s. 653–696, przekł. według: [http:// az.lib.ru/s/spasowich\\_w\\_d/text\\_0030.shtml](http://az.lib.ru/s/spasowich_w_d/text_0030.shtml) (dostęp: wrzesień 2016).*

### **Sprawa Mieczysława Strawinskiego i redaktora dziennika „Sankt-Pietierburgskije wiadomości” A[ndrieja] Somowa oskarżonych o opublikowanie w „Sankt-Pietierburgskich wiadomościach” artykułu, w którym Strawinski znieważył lokalne władze guberni estlandzkiej (1869)**

*Dieło o studentie Mieczysławie Strawinskom i riedaktorie «S.-Pietierburgskich wiadomostiej» A. Somowie, priedanych sudu za*

*napieczatanije w «S.-Pietierburgskich wiadomostiach» statji Strawinskogo, oskorbitielnoj dla miestnych własiej Estlandskoj gubernii, w: Władimir Spasowicz, Za mnogo let. 1859–1871. Statji, otrywki, istorija, kritika, polemika, sudiebnyje riecz i procz., Sankt-Pietierburg 1872, druk. F. S. Suszczinskogo, s. 359–364.*

## Spis ilustracji

1. Włodzimierz Spasowicz. Rzeźba Czesława Makowskiego, 1905 r.
2. Panorama Tyflisu. Pocztówka fotograficzna barwna, fotochromia, ok. 1897 r.
3. Tyflis, nabrzeże Woroncowa (tu znajdował się dom Gieorgija Szarwaszidzego) i most Michajłowski. Pocztówka firmy Granberg, Sztokholm, do 1905 r.
4. Tyflis, plac Majdan Tatarski, w głębi zamek Metechi, w 1819 r. zamieniony na więzienie. Pocztówka firmy Scherer & Nabholz, Moskwa, do 1905 r.
5. Rzeka Kura, w oddali Tyflis. Fot. John Thomson, platynotyp, 1891 r.
6. Rybacy na tratwie z bukłaków, rzeka Kura, okolice Tyflisu. Fot. Dmitrij Jermakow, po 1870 r.
7. Dawid Czchotua (1849–1929), zarządzający włościami Niny Andriejewskiej i Jeleny Szarwaszidze, uznany przez sąd za współwinnego zabójstwa Niny Andriejewskiej.
8. Nina Andriejewka (1851–1876), ofiara zabójstwa albo nie umiejąca pływać ofiara kąpieli w rzece.
9. Gieorgij Szarwaszidze (1846–1918), NN, Jelena Szarwaszidze (1846–1913), żona Gieorgija, siostra Niny Andriejewskiej, i Warwara Szarwaszidze (1859–1946), siostra Gieorgija. Fot. Jan Mieczkowski, Warszawa.
10. Warwara Andriejewka, z domu Tumanowa (Tumaniszwili) (1818–1876), wdowa po Eraście Andriejewskim, matka Niny Andriejewskiej i Jeleny Szarwaszidze.
11. Siergiej Nieczajew (1847–1882), założyciel Zemsty Ludu, współwiny zabójstwa Iwana Iwanowa. Fot. ok. 1870 r.
12. Nikołaj Ogariow (1813–1877), poeta, prozaik, publicysta i działacz polityczny, od 1856 r. na emigracji. Grawiura.
13. Michaił Bakunin (1814–1876), anarchista, filozof, rewolucjonista, w latach 1840–1851 i 1861–1876 na emigracji. Fot. Nadar (właśc. Gaspard-Félix Tournachon), ok. 1860 r.

14. Aleksiej Kuzniecowa (1854–1928), członek Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa.
15. Nikołaj Nikołajew (1846–po 1880), członek Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa.
16. Iwan Pryżow (1827–1885), członek Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa. Fot. ok. 1869 r.
17. Piotr Uspienski (1848–1881), członek Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa. Fot. ok. 1869 r.
18. Pietrowska Akademia Rolniczo-Leśna (Pietrowsko-Razumowskoje pod Moskwą). Studentami Akademii byli między innymi członkowie Zemsty Ludu, Warłaam Czerkiewow, Nikołaj Dołgow, Aleksiej Kuzniecowa, Fiodor Ripman i zamordowany Iwan Iwanow. Fot. Cassius Clay, 1866 r.
19. Grota koło Pietrowskiej Akademii Rolniczo-Leśnej, miejsce zabójstwa Iwana Iwanowa. Grawiura.
20. Proces nieczajewowski (nieczajewowców), korytarz Petersburskiej Izby Sądowej. Grawiura Karla Weyermanna.
21. Mieczysław Strawinski (ok. 1849–po 1919), adwokat irkucki (w górnym rzędzie trzeci od lewej), także deputowany Dumy Miejskiej w Irkucku, w 1869 r. student prawa Uniwersytetu Petersburskiego. Fot. między 1906 a 1916 r., zbiory adwokata Romana Mielinczenki, Wołgograd.
22. Petersburg, Sąd Okręgowy i Izba Sądowa. Fot. ok. 1900 r.

#### Źródła:

- il. 1: „Tygodnik Ilustrowany” 1906, nr 44, s. 972; il. 2: <https://fotki.yandex.ru/next/users/humus777/album/353125/view>; il. 3: <http://www.filokartist.net/catalog/showgroup.php?id=659&uid=264>; il. 4: <https://fotki.yandex.ru/next/users/humus777/album/353125/view1714571>; il. 5: [http://bibliotheque-numerique.inha.fr/collection/11529-a-collection-of-photographs-taken-in-per/?n=&filemedia\\_id=11586&viewer=image&open\\_viewer=1&current\\_image\\_id=98&dbk=&menu\\_left\\_visible=1&menu\\_left\\_type=signet](http://bibliotheque-numerique.inha.fr/collection/11529-a-collection-of-photographs-taken-in-per/?n=&filemedia_id=11586&viewer=image&open_viewer=1&current_image_id=98&dbk=&menu_left_visible=1&menu_left_type=signet); il. 6: <http://www.liveinternet.ru/users/ketevan/post176718503/>; il. 7: <http://nateba.net/index.php/biographies/261-chkotua>; il. 8, 9: <http://dspace.nplg.gov.ge/handle/1234>; il. 10: <http://nobility.pro/genealogy/individual.php?pid=I8604&ged=tree>; il. 11: [http://www.hrono.ru/biograf/bio\\_n/nechaevsg.php](http://www.hrono.ru/biograf/bio_n/nechaevsg.php); il. 12: <http://www.runivers.ru/philosophy/lib/authors/author131332>; il. 13:

<https://libcom.org/history/bakunin-mikhail-1814-1876>; il. 14, 16, 17, 19,  
20: [http://www.pseudology.org/Bolsheviki\\_lenintsy/LurieNechaev.htm](http://www.pseudology.org/Bolsheviki_lenintsy/LurieNechaev.htm); il.  
15: <http://elib.shpl.ru/pages/756967/zooms/4>; il. 18:  
<http://deadokey.livejournal.com/73750.html?thread=1753366>; il. 21:  
<http://kuluars.info/nashi/derzhat-udar1.html>; il. 22:  
<http://oldsp.ru/old/photo/view/25733>; il. na skrzydełku okładki:  
[http://www.apspb.ru/vel\\_ob\\_adv.php](http://www.apspb.ru/vel_ob_adv.php).  
Il. 2–20 oraz il. na skrzydełku okładki: dostęp: 24 sierpnia 2016; il. 21–22:  
dostęp: 3 czerwca 2016.

- 
- <sup>1</sup> Przypisy oraz dopiski w tekście ujęte w nawias kwadratowy pochodzą od redakcji polskiego wydania. Dotyczy to także dat. W oryginale podano je według obowiązującego wówczas w Rosji kalendarza juliańskiego (starego stylu). Uzupełniono je datami według kalendarza gregoriańskiego (nowego stylu).
- <sup>2</sup> Wiorsta: dawna rosyjska miara długości = 1,0668 kilometra.
- <sup>3</sup> Gieorgij Szarwaszidze (Szerwaszidze, 1846–1918): książę abchaski, oficer armii rosyjskiej, poeta, dramaturg, publicysta, syn ostatniego władcy Abchazji, w 1864 roku przyłączonej do Imperium Rosyjskiego. W 1866 roku po stłumieniu powstania narodowego Abchazów został deportowany do Rosji bez prawa powrotu na Kaukaz. Po dziewięciu latach pozwolono mu zamieszkać w Gruzji. Zgodę na powrót do Abchazji otrzymał w 1905 roku. Od czerwca 1875 roku do sierpnia 1876 roku był adiutantem namiestnika Kaukazu.
- <sup>4</sup> Werszek: dawna rosyjska miara długości = 4,45 centymetra.
- <sup>5</sup> Jej średnica wynosi 2,2 centymetra.
- <sup>6</sup> *Visum [et] repertum* (łac., dosł. widziano [i] znaleziono): rezultat oględzin zwłok, sprawozdanie lekarskie z oględzin, protokół oględzin zwłok.
- <sup>7</sup> Arszyn: dawna rosyjska miara długości = 0,7112 metra.
- <sup>8</sup> Sążeń: dawna rosyjska miara długości = 2,134 metra (1 wiorsta = 500 sążni).
- <sup>9</sup> Sążeń sześcienny: dawna rosyjska miara objętości = 9,712 metra sześciennego.
- <sup>10</sup> Szerokość dłoni: dawna miara długości odpowiadająca w przybliżeniu szerokości dłoni u nasady palców = od 7,5 do 11,25 centymetra.
- <sup>11</sup> Pud: dawna rosyjska miara masy = 16,38 kilograma.
- <sup>12</sup> Krok: dawna miara długości = 0,71 metra.
- <sup>13</sup> Karol XII (1682–1718): od 1697 roku król Szwecji. Uchodził za abnegata, milczka i mizogina.
- <sup>14</sup> W obu cytatach uwagi w nawiasie okrągłym pochodzą od Włodzimierza Spasowicza.
- <sup>15</sup> Émile Gaboriau (1832–1873): pisarz francuski, jeden z twórców powieści kryminalnej.
- <sup>16</sup> Proces nieczajewowski (nieczajewowców): pierwszy w Rosji jawny proces polityczny. Przed sądem stanęło siedemdziesiąt siedem osób, uczestników rozruchów studenckich w Petersburgu zimą przełomu roku 1868 i 1869, a także członków tajnej organizacji Zemsta Ludu, założonej przez Siergieja Nieczajewa we wrześniu 1869 roku, którą wykryto po opisywanym tu zabójstwie Iwana Iwanowicza Iwanowa (1846–1869). Czterdzieści osób uniewinniono, dwadzieścia osiem skazano na karę więzienia, cztery osoby skazano na ciężkie roboty (katorgę), dwie zesłano na osiedlenie na Syberii, dwie na zamknięcie w domu poprawy, jedna osoba zmarła w trakcie procesu. Włodzimierz Spasowicz był obrońcą trojga oskarżonych – Aleksieja Kiriłłowicza Kuzniecowa (1845–1928), Piotra Nikiticza Tkaczowa (1854–1886), który został skazany na rok i miesiąc więzienia, oraz Jelizawiey Christoforowny Tomiłowej (ok. 1839–po 1890), którą uniewinniono.
- Siergiej Giennadijewicz Nieczajew (1847–1882) w grudniu 1869 roku, po zabójstwie Iwanowa i aresztowaniach członków Zemsty Ludu uciekł za granicę, w sierpniu 1872 roku został aresztowany w Zurychu. Dwudziestego stycznia 1873 roku stanął przed Moskiewskim Sądem Okręgowym. Za współudział w zabójstwie Iwanowa skazano go

na pozbawienie wszelkich praw stanu, dwadzieścia lat ciężkich robót w kopalniach, a następnie na osiedlenie na Syberii. Car Aleksander II zmienił wyrok. Nieczajewa pozbawiono praw stanu, ale osadzono w Petersburgu w budynku więziennym zwanym Sekretnym Domem w Bastionie Aleksiejewskim Twierdzy Pietropawłowskiej, gdzie zmarł.

Warto przypomnieć, że Siergiej Nieczajew i Iwan Iwanow stali się pierwowzorami bohaterów powieści Fiodora Dostojewskiego *Biesy* (1871–1872), Piotra Wierchowieńskiego i Iwana Szatowa.

Włodzimierz Spasowicz stał się natomiast pierwowzorem bohatera innej powieści Dostojewskiego, *Bracia Karamazow* (1879–1880), adwokata Fietiukowicza, obrońcy Dymitra Karamazowa, oskarżonego o zabójstwo ojca.

<sup>17</sup> Fiodor Archipowicz Kołyszkin (1820–1880): naczelnik tajnej kancelarii oberpolicmajstra Petersburga.

<sup>18</sup> Wiera Iwanowna Zasilicz (1849–1919): aktywna uczestniczka rozruchów studenckich w Petersburgu zimą przełomu roku 1868 i 1869, późniejsza narodniczka, socjaldemokratka i publicystka. Nieczajewa poznała pod koniec 1868 roku. Jej starsza siostra, Aleksandra, była żoną Piotra Uspienskiego, członka Zemsty Ludu, jednego z zabójców Iwana Iwanowa i jednego z oskarżonych w sprawie nieczajewowskiej (nieczajewowców), młodsza siostra, Jekatierina, była zaś żoną Lwa Nikiforowa, uczestnika rozruchów studenckich w Petersburgu.

<sup>19</sup> III Wydział Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości (1826–1880): najwyższy organ policji politycznej Imperium Rosyjskiego.

<sup>20</sup> *Katechizm rewolucjonisty* powstał w Genewie między kwietniem a czerwcem 1869 roku. Jego autorstwo przez wiele lat budziło kontrowersje. Wątpliwości rozwiązał odnaleziony w Paryżu w 1966 roku list Bakunina do Siergieja Nieczajewa z czerwca 1870 roku, w którym Bakunin pisze: „Pana katechizm”.

<sup>21</sup> Dmitrij Władimirowicz Karakozow (1840–1866): rewolucjonista rosyjski, członek tajnej organizacji Piekło. W 1866 roku dokonał nieudanego zamachu na cara Aleksandra II.

<sup>22</sup> Chodzi o dziewiątą rocznicę reformy chłopskiej.

<sup>23</sup> Urodzony w 1827 roku Iwan Pryżow w 1869 roku miał czterdzieści dwa lata.

<sup>24</sup> Zob. przypis na s. 5.



1. Włodzimierz Spasowicz; 1905 r.





2. Panorama Tyflisu (sprawa 1); ok. 1897 r.



3. Tyflis, nabrzeże Woroncowa (tu znajdował się dom Georgija Szarwaszidzego) i most Michajłowski (sprawa 1); do 1905 r.



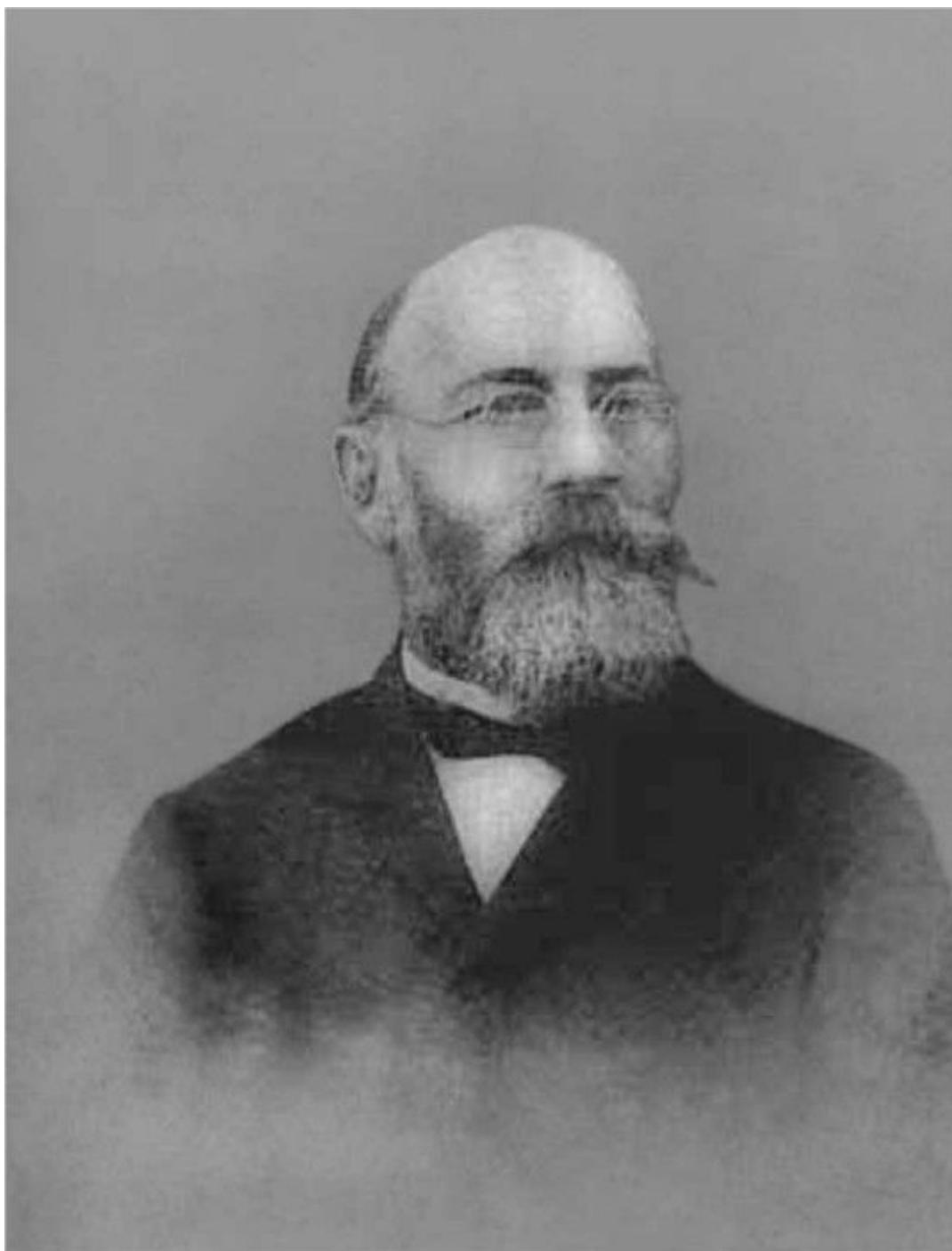
4. Tyflis, plac Majdan Tatarski, w głębi zamek Metechi, w 1819 r. zamieniony na więzienie (sprawa 1); do 1905 r.



5. Rzeka Kura, w oddali Tyflis (sprawa 1); 1891 r.



6. Rybacy na tratwie z buklaków, rzeka Kura, okolice Tyflisu (sprawa 1); po 1870 r.



7. Dawid Czhotua (1849–1929), zarządzający włościami Niny Andriejewskiej i Jeleny Szarwaszidze, uznany przez sąd za współwinnego zabójstwa Niny Andriejewskiej (sprawa 1)



8. Nina Andriejewska (1851–1876), ofiara zabójstwa albo nie umiejąca pływać ofiara kąpieli w rzece (sprawa 1)



9. Georgij Szarwaszidze (1846–1918), NN, Jelena Szarwaszidze (1846–1913), żona Georgija, siostra Niny Andriejewskiej, i Warwara Szarwaszidze (1859–1946), siostra Georgija (sprawa 1)



10. Warwara Andriejewska, z domu Tumanowa (Tumaniszwili) (1818–1876), wdowa po Eraście Andriejewskim, matka Niny Andriejewskiej i Jeleny Szarwaszidze (sprawa 1)





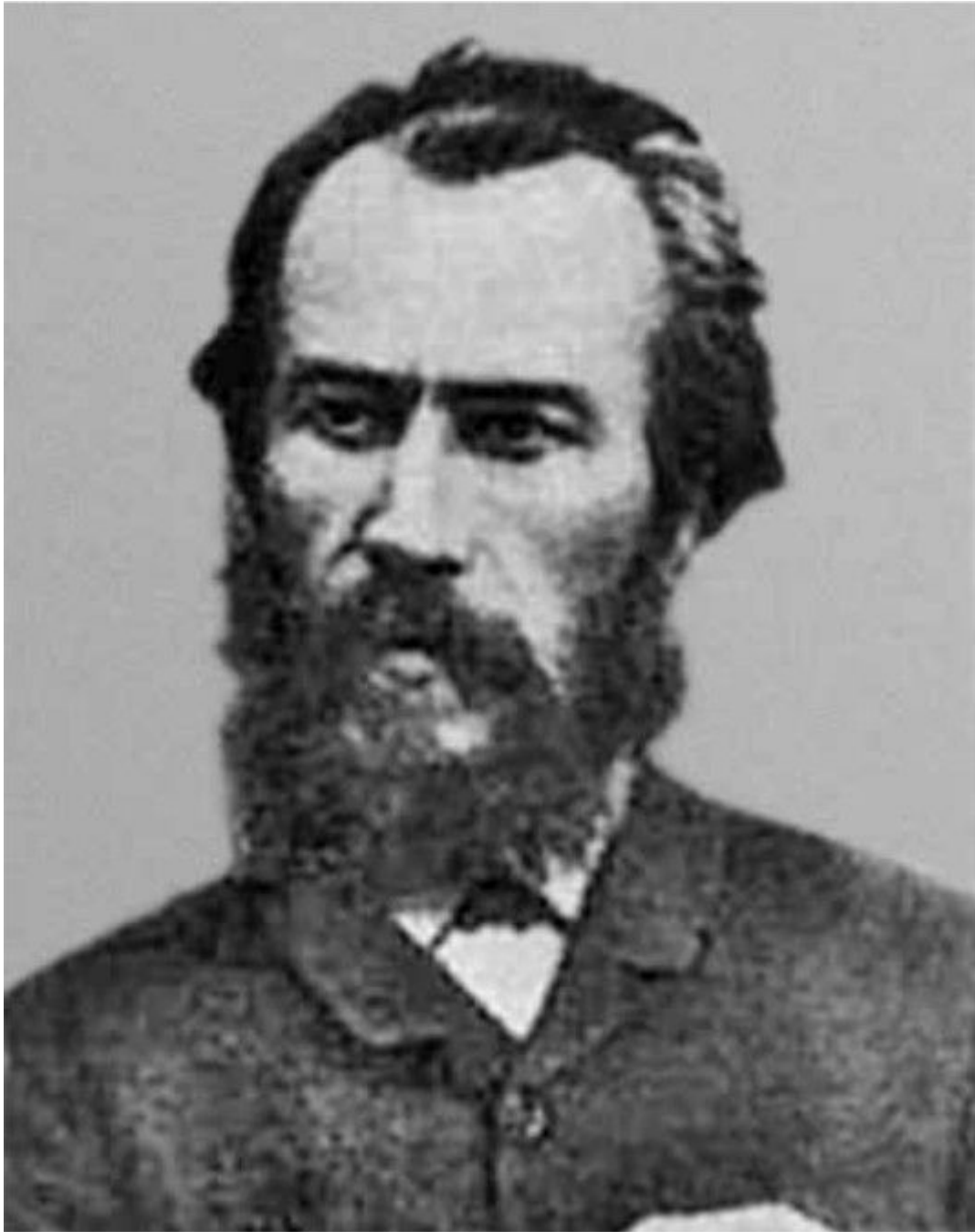
11. Siergiej Nieczajew (1847–1882), założyciel Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa (sprawa 2); ok. 1870 r.



12. Nikołaj Ogariow (1813–1877), poeta, prozaik, publicysta i działacz polityczny, od 1856 r. na emigracji (sprawa 2)



13. Michail Bakunin (1814–1876), anarchista, filozof, rewolucjonista, w latach 1840–1851 i 1861–1876 na emigracji (sprawa 2); ok. 1860 r.



14. Aleksiej Kuzniecowa (1854–1928), członek Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa (sprawa 2)



15. Nikołaj Nikołajew (1846–po 1880), członek Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa (sprawa 2)



16. Iwan Pryżow (1827–1885), członek Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa (sprawa 2); ok. 1869 r.



17. Piotr Uspienski (1848–1881), członek Zemsty Ludu, współwinny zabójstwa Iwana Iwanowa (sprawa 2); ok. 1869 r.



18. Pietrowska Akademia Rolniczo-Leśna (Pietrowsko-Razumowskoje pod Moskwą). Studentami Akademii byli między innymi członkowie Zemsty Ludu, Warłaam Czerkieszow, Nikołaj Dołgow, Aleksiej Kuzniecowa, Fiodor Ripman i zamordowany Iwan Iwanow (sprawa 2); 1866 r.





19. Grota koło Pietrowskiej Akademii Rolniczo-Leśnej, miejsce zabójstwa Iwana Iwanowa (sprawa 2)



20. Proces nieczajewowski (nieczajewowców), korytarz Petersburskiej Izby Sądowej (sprawa 2)



21. Mieczysław Strawinski (ok. 1849–po 1919), adwokat irkucki (w górnym rzędzie trzeci od lewej), także deputowany Dumy Miejskiej w Irkucku, w 1869 r. student prawa Uniwersytetu Petersburskiego (sprawa 5); między 1906 a 1916 r.



22. Petersburg, Sąd Okręgowy i Izba Sądowa (sprawy 2, 3, 5); ok. 1900 r.

Dane o oryginałach w *Nocie bibliograficznej* na s. 205–206

Projekt okładki i stron tytułowych  
Fajne Chłopaki

Redaktor prowadzący  
Kamil Piwowarski

Redakcja, opracowanie przypisów,  
dobór i opracowanie ilustracji  
Elżbieta Staśkiewicz

Korekta  
Katarzyna Bury  
Małgorzata Denys  
Maria Kaniewska

Polub PIW na Facebooku!  
[www.fb.com/panstwowyinstytutwydawniczy](http://www.fb.com/panstwowyinstytutwydawniczy)

Księgarnia internetowa  
[www.piw.pl](http://www.piw.pl)

© Copyright for the Polish translation  
by Małgorzata Migdalska, Jolanta Skrunda  
© Copyright for the Polish edition  
by Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2016

Dystrybucja:  
Dictum sp. z o.o.  
ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa  
Tel. 22 663 98 13, e-mail: [biuro@dictum.pl](mailto:biuro@dictum.pl)

Państwowy Instytut Wydawniczy Sp. z o.o., Warszawa 2016  
ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa  
e-mail: [piw@piw.pl](mailto:piw@piw.pl) [www.piw.pl](http://www.piw.pl)

Wydanie pierwsze  
Skład i łamanie:  
Anter-Poligrafia

ISBN 978-83-64822-71-1

Skład wersji elektronicznej  
Marcin Kapusta

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)